Spór o czerwone paski • Ci straszni Niemcy • Jak złapać hejtera
Szok w PSZOK • Hospicja: wpuścić psy? • Uwięziony w Kongu

BUDYNEK ROKU POLITYKI

POLITYKA.PL

POLITYKA

KULTURA+

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 25 (3569), 17.06–23.06.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195



Prawdziwa cena AI

Bardzo niepokojące raporty o sztucznej inteligencji

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 25

Wydanie w sprzedaży do 23.06.2026

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

PO PIERWSZE, AMERYKA!



W sprzedaży

KUP TERAZ

140 stron



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny m.in.:

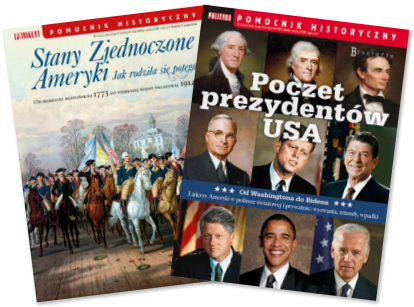

eprasa.pl 5357578c79



© SZYMON PULCYN/PAP

15
Zmora szkolnej ocenozy

Tematy tygodnia

10 Edwin Bendyk
Niepewne scenariusze rozwoju sztucznej inteligencji
15 **Dariusz Chętkowski**, nauczyciel i publicysta, o dyskryminujących świadectwach z czerwonym paskiem

Polityka

18 Rafał Kalukin
Prawicowa fobia niemiecka
22 Jak uzdrowić demokrację, mówi politolożka **Hélène Landemore**
25 Anna Dąbrowska, Katarzyna Kaczorowska
Sieć Badawcza Łukasiewicz: kiepskie rezultaty, intratne posady

Społeczeństwo

28 Zbigniew Borek
Punkty Selektywnego Zbierania Odpadów Komunalnych: niedostępne, oddalone, przepełnione
32 Agnieszka Sowa
Czy zwierzęta mogą towarzyszyć pacjentom hospicjów
36 Prokurator **Maciej Młynarczyk** o walce z hejtem
39 Podróżnik **Mariusz Majewski** o tym, jak przetrwał w kongijskim więzieniu

Rynek

42 Cezary Kowanda **TikTok Shop: tu sprzedają influencerzy**
45 Mariusz Zawadzki
Spór o ceny indywidualne

Świat

48 Łukasz Wójcik IRAN **Mundial: drużyna narodowa czy reżimowa?**
51 Paulina Wilk INDIE **Zabójcze posagi**
54 Marcin Żyła FINLANDIA **Wszystkie fronty obrony przed Rosją**
56 Jędrzej Winiecki ARMENIA
Mistrz przetrwania premier Nikol Paszynian

Nauka/projektpulsar.pl

58 Agnieszka Krzemińska
Pradawne znieczulenia: mak, konopie, trucizny...
61 Jędrzej Winiecki **Japonia: niedźwiedzie kontra obywatele**
64 Przemek Berg
O statkach kosmicznych z napędem jądrowym

Historia

66 Tomasz Targański
60 lat temu Kościół wycofał indeks ksiąg zakazanych
69 O Juliuszu Mieroszewskim, publicyście paryskiej „Kultury", opowiada **Maciej Łuczak**, autor jego biografii

KULTURA+

76 • **Letnie kalendarium**
78 • **The Smiths oddzielnie**
80 • **Zielone festiwale**
82 • **Kneecap przed Open'erem**
84 • **Rytmy Industrii**
86 • **Klasyka pod gołym niebem**
87 • **Baltic Opera Festival: od Wagnera do Pendereckiego**
88 • **Sztuka współczesna na Zamku Królewskim**
90 • **„Król Lew" w wersji koncertowej**
90 • **„Mała miss" w wersji musicalowej**

92 **Zwycięzca tegorocznej Nagrody Architektonicznej POLITYKI: nowa siedziba Wydziału Psychologii UW**
96 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

102–105 • **Modna torba za 3 dolary** • **Memy z Mają** • **Kto breją wojuje...** • **Malowniczy Spisz** • **Magia ziół**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **72** Afisz • **97** Sulej • **98** Lis • **99** Witkowski
• **100** Mizerski • **100**, **106** Galeria POLITYKI
• **101** Do i od redakcji
• **106** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 5357578c79



Polityka histeryczna

Mariusz Janicki

Przy okazji sporu o Order Orła Białego dla ukraińskiego prezydenta widać wszystkie wady tak zwanej polityki historycznej. To pojęcie najpierw pokochała polska prawica, a następnie zaczęto krytykować liberałów, że porzucili patriotyzm, symbole, przeszłość i bez walki oddali tę sferę partii Jarosława Kaczyńskiego, czyli znowu, do znudzenia, że „elity niczego nie rozumieją" i dopiero od niedawna liberałowie coś w tej sprawie robią. Polityka historyczna według jej zwolenników ma służyć promocji kraju, pokazywaniu jego chlubnego dorobku, także obronie przed pomówieniami. Ostatnio jednak prezydent Zełenski pokazał, na czym polega prawdziwa, a nie idealizowana polityka historyczna – otóż służy głównie celom wewnętrznym. Zełenski nadał jednostce nazwę „Bohaterów UPA" raczej nie po to, żeby chciał z premedytacją dopiec Polsce, która Ukrainę od lat wspiera, nawet nie dlatego, że tak mu nakazał kanclerz Merz, aby skłócić oba kraje i nie dopuścić Polski do kontraktów na odbudowę zniszczonego kraju po wojnie – bo i taka spiskowa teza pojawiła się w prawicowym komentariacie.

Zełenskiemu gest z „bohaterami UPA" był potrzebny, aby zyskać w oczach środowisk nacjonalistycznych, odgrywających dużą rolę w wojennym czasie, także w siłach zbrojnych, i podbudować własną, nienajsilniejszą pozycję polityczną. Nawet jeśli to miałoby obrazić polską stronę, bo polityka historyczna z natury rzeczy jest egoistyczna i bezwzględna, co widać zwłaszcza wtedy, gdy uprawia ją ktoś inny. Więc może nie warto aż tak się zachwycać tym pojęciem.

Kiedy PiS uchwalał swoją nowelizację ustawy o IPN w 2018 r. „w obronie dobrego imienia narodu", z której potem musiał się w panice wycofać, także chodziło głównie o wewnętrzny rynek polityczny, czyli o pognębienie „proniemieckiej" opozycji i przypodobanie się nacjonalistycznej, antysemickiej grupie wyborców (więcej o temacie niemieckim w polskiej polityce na s. 18). Bo tak się składa, że w polityce historycznej z reguły chodzi nie o wielką politykę i moralność, ale o zyski partyjne i szantażowanie wroga. A ta sfera nadaje się do tego wyjątkowo dobrze: gra się od razu na wielkim wzmożeniu, racjonalne argumenty są odrzucane z poziomu „godności narodu". I tak jak prawdy historyczne różnych nacji są bardzo trudne do negocjowania (choć trzeba w końcu się jakoś minimalnie ułożyć), podobnie dyskurs wewnętrzny między „patriotami" i „zdrajcami" przebiega w temperaturze wrzenia. Bo chodzi o to, żeby samemu móc mówić pełnym głosem z pozycji absolutu, a zarazem zmusić politycznego przeciwnika do „zgniłego" pragmatyzmu, kluczenia, tego charakterystycznego „z jednej strony, z drugiej strony".

Wszystkie te elementy wystąpiły w sprawie Orła Białego, gdzie rządowi trudno było o jednoznaczną odpowiedź, ale potem także prezydent Nawrocki odłożył decyzję. Jedno jest pewne: w tle tej rozgrywki są rzeczywiste antyukraińskie nastroje w społeczeństwie, co jest fenomenem do dokładniejszego zbadania. Rosja tak jak wcześniej atakuje Ukrainę, zabija ludzi i niszczy miasta, nie wycofała się z zajętych terenów, nie chce pokoju. Nic się tu nie zmieniło od 2022 r., a jednak wtedy były współczucie i wszelka pomoc, a teraz widać głównie niechęć, czasami nienawiść. Kiedy w półfinale Roland Garros grały Rosjanka Andriejewa z Ukrainką Kostjuk, sympatia polskiego X, nawet odliczając podejrzane boty, była w wyraźnej większości po stronie Andriejewej, jej przeciwniczkę spotykał głównie hejt, a motywacja była czysto polityczna (o hejcie w internecie – wywiad na s. 36). Trudno rozstrzygnąć, na ile ta zmiana dokonała się samoistnie, a na ile była suflowana przez polityków, wszak już raz w 2015 r. PiS zmienił poglądy Polaków w kwestii imigrantów: sondaże z pozytywnych i neutralnych zmieniły się we wrogie w ciągu dosłownie kilku miesięcy.

Prawicy wyraźnie spodobał się historyczny konflikt z Ukrainą, tak jak leżą jej wszelkie tego typu spory, i widać, że w tę stronę pójdzie duża część natarcia PiS w kampanii wyborczej, zwłaszcza kiedy nie ma innych pomysłów. Już zaczęło się wypominanie urzędnikom i politykom ukraińskiego pochodzenia, a impuls do szukania takich „kretów" dała dziennikarka Polsatu Dorota Gawryluk, co z zapałem podchwyciła opozycja. Zaczęło się grzebanie w życiorysach i genealogiach, szukanie nieprawdziwych Polaków. Zaś ludzie Kaczyńskiego, ale i z Konfederacji, będą się stawiali w roli rzeczników narodu i z satysfakcją pozwalali drugiej stronie mataczyć, unikać jednoznacznych opinii, wić się pod wpływem sondaży i zmieniać wersje. Tak może być od kwestii LGBT, klimatu, imigrantów, poprzez Unię, Niemcy, aż po Ukrainę. Bo rządzący muszą brać pod uwagę całą złożoność krajowej i międzynarodowej polityki, w tym kwestię ukraińską, a opozycja – tylko nadchodzące wybory; to nie będzie równy mecz.

Takiej strategii sprzyja prezydent Nawrocki, były szef IPN (teraz na jego następcę PSL razem z PiS lansuje byłego zastępcę; to specyficzne ministerstwo historii od lat jest zarządzane przez prawicę), który zapewne będzie wzmacniał godnościowy przekaz, stał na straży „narodowego honoru", zagrożonego przez kosmopolitów na usługach Berlina i Brukseli.

Swoją drogą postać Nawrockiego robi się kluczowa – nie z powodu jego realnego politycznego ciężaru czy wątpliwych osiągnięć (już 36 wet), ale marketingowej obudowy oraz taryfy ulgowej u części mediów, którym nie minęła fascynacja „swojakiem z blokowiska". Donald Tusk zaś dołożył się do wykreowania Nawrockiego na „lidera prawicy", ale widać, że będzie miał rosnący problem, bo Nawrocki z tej atencji korzysta i staje się głównym punktem odniesienia – przy takich samych kompetencjach, jakie miał Andrzej Duda. Łatwiej chyba jednak ścierać się ze słabnącym Kaczyńskim jako „liderem" tamtego obozu. Strategia marginalizacji PiS przynosiła początkowo pewne efekty, ale od kilku tygodni przewaga KO nad głównym rywalem w większości sondaży maleje. Zatem metoda wymaga korekty. Zwłaszcza w czasach polityki historycznej – i histerycznej.

eprasa.pl 5357578c79

Albatros travel

Albatros 40 lat

Gruzja
– klejnot w koronie Kaukazu

Odkryj to, co najlepsze na Kaukazie: zachwycającą przyrodę, wspaniałe zabytki kulturalne i fantastyczną gruzińską kuchnię oraz wina.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Tbilisi. **Dz. 2** Tbilisi. Przyjazd i zwiedzanie miasta, w tym Stare Miasto, Kościół Metekhi, Twierdza Narikhala i Plac Wolności. **Dz. 3** Tbilisi – Signaghi – Sagarejo – Tbilisi. Górskie wioski, degustacja wina i gruziński obiad. **Dz. 4** Tbilisi – Mccheta – Gudauri. Lokalny targ, Katedra Sweti Cchoweli i Góry Kaukaskie. **Dz. 5** Gudauri – Kazbegi – Gudauri. Imponująca natura, Kościół Świętej Trójcy i łatwe wędrówki. **Dz. 6** Gudauri – Gori – Uplisciche – Kutaisi. Muzeum Stalina i starożytne miasto Uplisciche. **Dz. 7** Kutaisi – Tskaltubo – Prometheus – Batumi. Sanatoria w Tskaltubo i imponujące Jaskinie Prometeusza. **Dz. 8** Batumi. Zwiedzanie miasta, czas wolny i kolacja pożegnalna. **Dz. 9** Batumi – Warszawa.

2 posiłki dziennie

NOWOŚĆ

9 dni
Wylot z Warszawy
21/09 2026

od **6.998,-**





3 posiłki dziennie

Safari w RPA i nowy camp Albatrosa

Odkryj Republikę Południowej Afryki – zobacz Pretorię i Soweto, poznaj świat Wielkiej Piątki i zamieszkaj w należącym do Albatrosa Conservation Lodge.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga. Zwiedzanie Pretorii. Rezerwat Przyrody Entabeni. **Dz. 3–8** Rezerwat Przyrody Entabeni. Safari – w poszukiwaniu Wielkiej Piątki. **Dz. 9** Rezerwat Przyrody Entabeni - Johannesburg. Wizyta w Soweto i powrót do Polski. **Dz. 10** Przylot do Warszawy.

10 dni | Wyloty z Warszawy 24/11 2026, 20/03, 10/11 2027

od **11.498,-**



Tajlandia i Laos – pociągiem i statkiem przez Indochiny

Wyjątkowa podróż łącząca przejazd pociągiem z Bangkoku do dawnej królewskiej stolicy Luang Prabang w Laosie oraz rejs po rzece Mekong do północnej Tajlandii.

Podróż z Bangkoku prowadzi koleją Lao-China Railway przez Laos do Luang Prabang, dalej rejsem po Mekongu do Chiang Mai, łącząc świątynie, lokalne wioski, tropikalną przyrodę oraz kulturę i historię Tajlandii i Laosu.



17 dni | Wylot z Warszawy 25/01 2027 | od 14.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL22**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 5357578c79

Kraków liczy kandydatów



Swoje kandydatury w wyborach na prezydenta Krakowa zgłosiło już oficjalnie 13 osób, a można oczekiwać, że do wyścigu przystąpi jeszcze czterech pretendentów. W stawce znajdziemy kandydatki dwóch lewic, dwóch Polsk 2050 oraz jedną, wspólną kandydatkę KO i PSL, która choć kandyduje na prezydentkę Krakowa, została z jakiegoś tajemniczego powodu zaprezentowana w Warszawie. Stolicą Małopolski chcą rządzić stateczni samorządowcy, politycy poważni, politycy zgrani, a także zwyczajowi performerzy. By skutecznie wystartować, należy zebrać tylko 3 tys. podpisów, więc inflacja kandydatów nie dziwi. Cały ten rozgardiasz wygląda jednak nieco komicznie, bo dziś nie wiadomo nawet, kiedy wybory się odbędą – czekające w sądzie na rozpatrzenie trzy protesty wyborcze dotyczące referendum odwoławczego sprawiają, że głosowanie może przesunąć się nawet na wrzesień.

Faworytem niezmiennie jest radny Łukasz Gibała, który jeszcze nie zgłosił swojej kandydatury, ale, jak słychać, z różnych wewnętrznych badań wynika, że może w pierwszej turze liczyć na ponad 40 proc. głosów. Tak wysokie poparcie dla Gibały sprawiałoby, że w licznej stawce pozostałych kandydatów różnice mogą być niewielkie, a awans do decydującej rozgrywki może zapewnić nawet niespełna 20 proc. poparcia. To tłumaczyłoby tak mocne zaangażowanie **Donalda Tuska** i **Władysława Kosiniaka-Kamysza** w poparcie kandydatury **Moniki Piątkowskiej**: logiczna wydaje się kalkulacja, że twardy elektorat zmobilizuje się na wezwanie partyjnych liderów i da obecnej senatorce pewne wejście do drugiej tury.

Daria Gosek-Popiołek liczy z kolei na to, że namaszczenie przez „warszawkę" oraz przeszłość w ekipie Jacka Majchrowskiego osłabią Piątkowską i dadzą kandydatce Nowej Lewicy dostęp również do części liberalnego, centrowego elektoratu. Sama musi się jednak bronić przed atakiem z lewej flanki Aleksandry Owcy z partii Razem. Formacja Adriana Zandberga trzyma kciuki za to, by wybory odbyły się jak najpóźniej, co da im nadzieję na powrót z wakacji młodych wyborców. Dla koneserów interesująco zapowiada się bój o podział kilku procent między dwoma niedawnymi kolegami z Polski 2050: chęć startu wyrazili bowiem posłowie Rafał Komarewicz i Paweł Śliz. Namieszać może też były rajdowiec Rafał Sonik, który miał być kandydatem KO, ale niewykluczone, że wystartuje jako niezależny.

Najbardziej intrygujące dziś pytanie o Kraków dotyczy tego, czy kampania wymknie się spod kontroli na wzór kampanii prezydenckiej z 2025 r. i rozwibruje w kotle debat, performensów i wpadek. Patrząc na osoby w stawce, widać potencjał na taki rozwój wydarzeń. (M.DAN)

Po co naprawdę PiS stowarzyszenia

W PiS mnożą się stowarzyszenia, które mają realizować partyjne cele. 9 czerwca PiS **Jacek Sasin** na Nowogrodzkiej ogłosił powstanie działającego w ramach partii stowarzyszenia Po Pierwsze Polska. Sasin został prezesem, a zastępcami: Tobiasz Bocheński, Patryk Jaki oraz Elżbieta Witek. „Stowarzyszenie jest pięścią Jarosława Kaczyńskiego" – ogłosił Sasin. Jego grupa działa z błogosławieństwem prezesa; ma wspierać kandydaturę Czarnka na premiera i działać na rzecz jedności PiS. Do stowarzyszenia zapisała się już setka parlamentarzystów tej partii (PiS ma 239 posłów, senatorów i eurodeputowanych).

Stowarzyszenie to reakcja na ruch Morawieckiego, który w kwietniu założył własne – Rozwój Plus, do którego zapisało się 40 polityków PiS. Ale to nie pierwsze tego typu grupy w PiS. Mało kto już pamięta, ale w kwietniu 2024 r. Kaczyński ogłosił



powstanie Stowarzyszenia Biało-Czerwonych. Napisał wzniosły list do członków partii, dołączył blankiet wpłat i zaapelował o finansowe wsparcie. Nie wiadomo, ile pieniędzy wpłynęło, bo do dziś w KRS próżno szukać sprawozdania finansowego stowarzyszenia. Prezeską Biało-Czerwonych nadal jest pracująca na Nowogrodzkiej Katarzyna Lubiak, prawa ręka prezesa; rok temu odszedł jego wiceprezes Krzysztof Szczucki – obecnie współzałożyciel stowarzyszenia Morawieckiego.

Dr hab. Grzegorz Makowski z SGH, zajmujący się przejrzystością życia publicznego, zwraca uwagę, że w Polsce obowiązuje rygorystyczny zakaz finansowania partii politycznych przez osoby prawne. Na partie – i to w ścisłych limitach rocznych – mogą wpłacać tylko osoby fizyczne. – *Stowarzyszenia mogą natomiast przyjmować dowolne kwoty w ramach darowizn, zarówno od osób fizycznych, jak i prawnych. Co więcej, w przeciwieństwie do wpłat na partie, darowizny na stowarzyszenia mogą być odliczane od podatku w wysokości do 10 proc. dla osób prawnych oraz 6 proc. dla osób fizycznych* – mówi.

Wiadomo, że z pieniędzy stowarzyszenia będzie finansowana promocja polityki PiS. To powinno zostać zbadane choćby przez Państwową Komisję Wyborczą pod kątem obchodzenia przepisów o finansowaniu partii politycznych. Doświadczenie w rozliczaniu takich spraw PKW już ma. W 2022 r. odrzuciła sprawozdanie partii Szymona Hołowni Polska 2050, bo ta przyjmowała w kampanii wyborczej korzyści od Stowarzyszenia Polska 2050 – w postaci promowania działalności ugrupowania. Sąd Najwyższy podtrzymał to stanowisko. (DĄB.)

eprasa.pl 5357578c79

Gdzie dwóch się bije, tam Rosja korzysta



Przemysław Sadura

Socjolog, profesor UW,
kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej

Radykalizują się. Ten proces dotyczy wszystkich. Radykalizuje się PiS, bo o wyborców musi walczyć ze skrajną Konfederacją, podgryzaną przez renegatów z ultraradykalnej Konfederacji Korony Polskiej Brauna. Radykalizuje się KO, która słabość koalicjantów wykorzystuje, strasząc demokratycznych wyborców recydywą rządów PiS i szantażując ich: wybieraj, my albo oni. Badania terenowe pokazują efekt tych działań na dole: nakręca się spirala nienawiści, a o polityce mówimy coraz ostrzejszym językiem. W raporcie „Ludzie bezwstydni: dynamika emocjonalna populizmu w Polsce" pokazywaliśmy, że w Polsce istnieją dziś dwa główne populizmy: prawicowy i liberalny. Jeden jest rasistowski, homofobiczny, ksenofobiczny. Drugi – klasistowski i pełen pogardy dla wyobrażonego ludu, „pisiorów" i „chamstwa".

Na górze na tej bezpardonowej walce zyskują czasem liderzy lub formacje, cierpią jednak racja stanu i interes publiczny. Nie ma dziś tematu, który wprowadzony do debaty nie doprowadziłby natychmiast do konfliktu na śmierć i życie. Nieważne, czy sprawy dotyczą przyszłości planety, czy bezpieczeństwa narodowego. W konflikcie będącym regułą funkcjonowania polaryzacji nie ma świętości, tematów tabu, słów zakazanych. Epidemia polaryzacji infekuje wszystkie podsystemy społeczne. Ulegają mu względnie autonomiczne dotąd układy, jak dyplomacja, która przez wieki pielęgnowała swój słynący z powściągliwości język oraz dyskretny sposób działania. Dziś dyplomację uprawia się na portalu X w stylu bliższym walkom MMA niż pojedynkom szachowym (nic więc dziwnego, że trawnik przed Białym Domem staje się siedzibą gali MMA).

Logika polaryzacji zdominowała ostatnio relacje polsko-ukraińskie. Z partykularnych powodów, licząc na odwrócenie uwagi od skandali korupcyjnych nękających jego otoczenie, prezydent Zełenski sprowokował zaostrzenie relacji z Polską, nadając jednej z jednostek wojskowych imię Bohaterów UPA. Z równie partykularnych powodów sytuację wykorzystują rywalizujące dziś na antyukraińskość siły polskiej prawicy oraz prezydent Nawrocki. Licytacja na pomysły dotyczące najbardziej wymyślnego sposobu upokorzenia drugiej strony angażuje społeczne emocje. Dwa społeczeństwa mimo wspólnego interesu i wroga stają się stronami wzajemnego konfliktu.

Z badań, które kiedyś prowadziłem z szefami służb specjalnych, zapamiętałem zasadę, którą się posługiwali do analizy wydarzeń: „Oceniaj po owocach" – tzn. zawsze patrz, kto na tym ostatecznie zyskuje, a będziesz wiedział, kto pociąga za sznurki. Komu na rękę spory PiS z KO, Polski z Ukrainą czy USA z Unią? Gary Lineker powiedział kiedyś, że: „Piłka nożna to taka gra, w której 22 mężczyzn biega za piłką, a na końcu i tak wygrywają Niemcy". Dziś polaryzacja polityczna to sytuacja, w której w walkę angażują się całe społeczeństwa i narody, a na końcu i tak cieszy się Rosja. I myśl tę warto rozważyć, zanim poniosą nas emocje kolejnej „świętej wojny".

Tłok na kolei

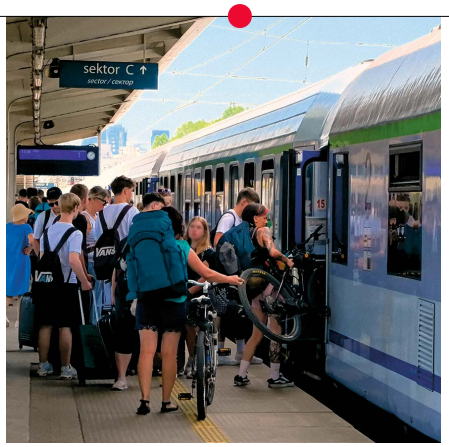

© PAP/PAWEŁ SUPERNAK, MARYSIA ZAWADA/REPORTER, ALEKSIEJ WITWICKI/FORUM

Po awanturze z PKP czeski RegioJet zrezygnował z obsługi polskich tras krajowych i nie dotrwał do swoich pierwszych wakacji. A właśnie teraz byłby najbardziej potrzebny, skoro na wiele połączeń PKP Intercity nie można znaleźć biletów z miejscówką – nawet kupując ze sporym wyprzedzeniem. Tradycyjnie najbardziej obłożone są pociągi nad morze i między największymi miastami. Konkurencja dla PKP Intercity wciąż jest, ale raczej symboliczna – między Warszawą a Krakowem kursuje dwa razy dziennie (a od początku wakacji – cztery) czeski Leo Express. W lipcu i sierpniu pojawią się pojedyncze połączenia przewoźników regionalnych. Koleje Mazowieckie pojadą raz dziennie z Warszawy do Ustki. Koleje Dolnośląskie zapowiadają kursy z Wrocławia do Świnoujścia, a Koleje Wielkopolskie – z Poznania do Świnoujścia. Niestety, w obu przypadkach tylko w weekendy.

PKP Intercity chwali się kolejnymi rekordami: w zeszłym roku miało 89 mln pasażerów, w tym roku prognozy mówiły o 96 mln, ale już wiadomo, że będzie ich więcej. Czyli: będzie ciaśniej. PKP przekonuje, że robi, co może – dostępnych połączeń i wagonów ma być nieco więcej niż rok temu. Jednak na przeszkodzie stają niesolidni producenci i… politycy. PKP Intercity czeka na dostawy 300 nowoczesnych wagonów z Fabryki Pojazdów Szynowych Cegielski. Pierwsze wagony miały jeździć już tego lata, ale z powodu chaosu w poznańskiej fabryce należącej do państwowej Agencji Rozwoju Przemysłu (już czterech prezesów w ciągu ostatniego roku!) doszło do dużych opóźnień. Bez takich problemów powstają nowoczesne jednostki spalinowo-elektryczne w prywatnym nowosądeckim Newagu. Czekając na ich dostawy, PKP Intercity wynajmuje używane składy spalinowe od firmy SKPL Cargo, która sprowadziła je z Holandii.

Jednak to nie kilkudziesięcioletnie holenderskie pociągi wzbudziły największe emocje. Zarząd PKP Intercity kupił niedawno 50 używanych wagonów od kolei niemieckich, co oburzyło polityków PiS. Partia ta jest odpowiedzialna za obecne kłopoty, bo to w czasie jej rządów PKP Intercity kupowało i remontowało zdecydowanie za mało składów, nie wierząc, że liczba pasażerów będzie rosnąć tak szybko. Teraz PiS porównuje niemieckie wagony do niebezpiecznego złomu, tymczasem te okazały się wygodne i dobrze wyciszone. PKP Intercity twierdzi, że chętnie kupi ich więcej, jeśli tylko Deutsche Bahn zechce sprzedać kolejne. Prawica woli tłok, za to patriotyczny – tylko w polskich wagonach. (CK)

eprasa.pl 5357578c79



Porozumienie urodzinowe

W niedzielę wieczorem, w ostatnich godzinach hucznie obchodzonych 80. urodzin, prezydent USA Donald Trump ogłosił „wielkie porozumienie" z Iranem. W skrócie – koniec walk na wszystkich frontach w zamian za otwarcie cieśniny Ormuz. A w dalszej perspektywie – 60 dni na wynegocjowanie przyszłości irańskiego programu nuklearnego. Irańczycy nie chcieli jednak dać Trumpowi tego urodzinowego prezentu i informacja o porozumieniu pojawiła się tak późno w niedzielę czasu waszyngtońskiego, że w Teheranie był już poniedziałek.

Co zawiera porozumienie? Nie do końca wiadomo. Oficjalnie znane są tylko dwa punkty z czternastu. Pierwszy dotyczy Ormuzu, zamkniętego od ponad stu dni – najpierw przez Irańczyków, potem przez Amerykanów. Zdaniem większości ekspertów, gdyby blokada cieśniny i eksportu przez nią węglowodorów potrwała jeszcze cztery, pięć tygodni, światu – w tym Stanom Zjednoczonym – groziłby nieodwracalny kryzys. A tego Trump nie chciałby zrobić swoim wyborcom przed listopadowymi wyborami do Kongresu. Dlatego w niedzielny wieczór, już po **walkach MMA**, które oglądał m.in. wraz z prezydentem Karolem Nawrockim na trawniku Białego Domu, triumfalnie napisał: „Statki całego świata, odpalajcie silniki". Tyle że to nie takie proste.

Cieśnina pozostanie zamknięta co najmniej do piątku, gdy w Genewie porozumienie z Irańczykami ma podpisać wiceprezydent J.D. Vance. Wątpliwa jest też zapowiedź Trumpa, że przejście przez Ormuz będzie darmowe. Irańskie media od kilkunastu dni piszą o „opłacie infrastrukturalno-środowiskowej", którą będą ponosić statki. Odłożenie otwarcia cieśniny ma też związek z minami morskimi, które trzeba wyłowić z kanału żeglugowego. Nie kwapią się do tego Irańczycy, dla Amerykanów będzie to niebezpieczne i czasochłonne, bo nie wiedzą dokładnie, gdzie te miny są.

Drugi znany punkt porozumienia dotyczy zawieszenia broni „na wszystkich frontach", również w Libanie, czego przypilnowali Irańczycy. Biorąc jednak pod uwagę ostatnią ofensywę izraelską w południowym Libanie i niemal otwarty konflikt w tej sprawie między Trumpem i premierem Beniaminem Netanjahu, nie będzie to łatwe. Obaj wchodzą w kampanię wyborczą i nie mogą sobie pozwolić na porażkę w Libanie, a taką będzie dla Netanjahu brak choćby symbolicznego zwycięstwa nad Hezbollahem.

Na koniec zastrzeżenie: tekst porozumienia został zawarty nie pod presją amerykańskich bomb, lecz pod urodzinową presją czasu – niewykluczone więc, że negocjatorzy z USA mogli pójść na znaczące ustępstwa, które już jutro mogą się okazać nie do przyjęcia w Białym Domu. „Wall Street Journal" wyliczył, że od początku wojny (28 lutego) Trump już ponad 40 razy zmieniał zdanie w sprawie Iranu.

ŁUKASZ WÓJCIK

Twarde lądowanie

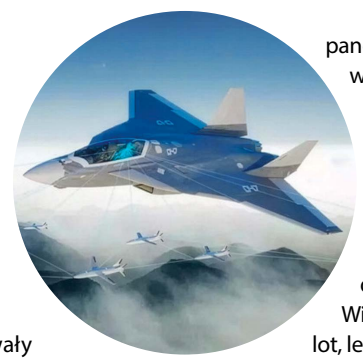

Niemcy i Francuzi nie będą razem budować samolotu bojowego przyszłości. Po ogłoszeniu **projektu FCAS** przez Emmanuela Macrona i Angelę Merkel w 2017 r. i niemal dziesięciu latach godzenia rozbieżnych celów wojskowych, interesów przemysłowych i możliwości technologicznych okazało się, że nie da się ich pogodzić. Niemcy i Francja właśnie zerwały współpracę nad maszyną szóstej generacji, mają rozwijać systemy bezzałogowe i cyfrową chmurę ze sztuczną inteligencją. Dalszą współpracę zatruje żółć, jaka z Paryża wylewa się dziś na Berlin, choć wcześniej to z Niemiec płynęły zarzuty, że SCAF (jak się nazywa we Francji) znalazł się „pod butem" wpływowego Dassault Aviation. W teamie FCAS kojarzony zwykle z Francją Airbus Defense & Space reprezentował interesy Niemiec, a do wiodącej pary dołączyła hiszpańska Indra, która miała status kibica.

Projekt FCAS zainicjowano przed falą obronnego wzmożenia w Europie, wywołaną wojną Rosji z Ukrainą i sygnałami wycofywania się USA, ale podobnie jak francusko-niemiecki program pojazdów pancernych MGCS miał być filarem technologicznej suwerenności i obronnej przewagi Europy. To jednak nie takie proste, gdy w Europie wizje i interesy są różne, a Amerykanie zręcznie podkładają nogę. Jako zdradę Paryż ocenił np. zakup amerykańskich samolotów F-35 przez Niemcy i zgłoszony niedawno zamiar powiększenia ich floty. Dassault ma co prawda sukcesy eksportowe ze swoimi Rafale, ale nie zdołał do nich przekonać żadnego dużego państwa NATO. Wielonarodowy Eurofighter to bardziej popularny samolot, lecz bez jasnej przyszłości, bo jego udziałowcy weszli w konkurencyjne projekty. Trzeci odrzutowiec z Europy, szwedzki SAAB Gripen, jest egzotyczny na kontynencie, a największym jego użytkownikiem może się stać Ukraina. Teraz pozostający na uboczu SAAB stanie się atrakcyjny dla wszystkich. Za rogiem jest też Turcja czy niechętnie widziana wcześniej Korea Południowa, bo oba kraje budują własne samoloty. Europa nie zwija więc skrzydeł i może rozwinie nowe, ale zanim to zrobi, najliczniejszym nowoczesnym samolotem w Europie pozostanie amerykański F-35, stworzony z udziałem europejskich firm (BAE Systems, Leonardo, Rolls-Royce) i zakupiony przez większość europejskich krajów NATO, w tym Polskę.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

eprasa.pl 5357578c79

Gole samobójcze



Piłkarskie mistrzostwa świata ruszyły. Pierwsza faza – rywalizacja w grupach od A do L – ciągnie się niemiłosiernie, faworyci jak na razie robią swoje, a tych, którzy się potknęli, ratuje formuła turnieju (awansować można nawet z trzeciego miejsca w grupie). Nie zwiększa to drastycznie szans na udział w fazie pucharowej reprezentantów Curaçao, wysepki o populacji równej Olsztynowi, ale oni już swoje zrobili, strzelając gola Niemcom i nawet przez chwilę z nimi remisując (skończyło się na 1:7).

Emocje z boiska i z trybun – raczej wypełnionych, a widok pustych miejsc FIFA tłumaczy tym, że kibice znikli gdzieś w stadionowych kuluarach – przysłania mało gościnna, delikatnie ujmując, postawa głównego z gospodarzy turnieju. Reprezentacji Iranu odmówiono założenia bazy w Stanach Zjednoczonych, musiała osiąść w Tijuanie, skąd lata na mecze do Los Angeles (gdzie jest największa w USA irańska diaspora), a kilkunastu członków irańskiej delegacji mundialowej odesłano z lotniska do ojczyzny. Ten sam los spotkał kibiców (m.in. z Maroka, Szkocji i Wybrzeża Kości Słoniowej), dziennikarzy, a nawet mundialowego arbitra.

Somalijczyk Omar Artan, uznawany za jednego z najlepszych sędziów w Afryce i wyznaczony do prowadzenia turniejowych meczów, przeszedł 11-godzinne przesłuchanie na lotnisku w Miami, po czym usłyszał od urzędników imigracyjnych, że nie zostanie wpuszczony na terytorium USA, gdyż podejrzewany jest o związki z terrorystyczną organizacją Asz-Szabab. Dowodów nie przedstawiono, sędzia został wsadzony do samolotu lecącego do Turcji. Prezydent FIFA Gianni Infantino, który podkreśla swoje wyjątkowe relacje z Donaldem Trumpem i podlizuje mu się na każdym kroku, nic nie wskórał. Nazwał całe zdarzenie niefortunnym, poradził, aby złapać trochę luzu, a niebawem FIFA ogłosiła, że Artan otrzyma wynagrodzenie przewidziane za prowadzenie meczów.

FIFA ma z czego płacić – spodziewane zyski z imprezy mają sięgnąć 5 mld dol. Zyski dla gospodarzy będą się jednak miały nijak do obietnic. Według raportu federacji reprezentującej amerykańskich hotelarzy liczba rezerwacji jest o wiele mniejsza od spodziewanej. Powody to nie tylko restrykcyjna polityka wizowa oraz fakt, że przyjezdni zatrzymują się za oceanem u krewnych, znajomych albo wybierają pobyt „niehotelowy". Winna jest też FIFA, która przestrzeliła z oczekiwanymi gośćmi i anulowała 70 proc. rezerwacji. MP

Szwajcaria bez limitu

45 proc. Szwajcarów opowiedziało się w **referendum** za zapisanym w konstytucji ograniczeniem liczby mieszkańców do 10 mln. Taką propozycję zgłosiła skrajnie prawicowa Szwajcarska Partia Ludowa (SVP), od 1999 r. największa siła w parlamencie, która od lat występuje z szeregiem antyemigranckich inicjatyw. Licząca 9,2 mln obywateli ojczyzna Wilhelma Tella jest jednym z najszybciej rosnących państw: od 2002 r. przybyło jej blisko 2 mln mieszkańców, dziś w sumie co trzeci urodził się za granicą, a jeszcze 400 tys. dojeżdża tu do pracy, głównie z Włoch i Niemiec. Odrzucone w referendum rozwiązanie miało polegać na tym, że gdy ludność osiągnie 9,5 mln, wprowadzone zostaną drastyczne ograniczenia pozwoleń na pobyt, prawa do azylu i łączenia rodzin. A gdy zbliżać się będzie do 10 mln (czyli według prognoz ok. 2041 r.), zostanie zawieszone porozumienie z Unią Europejską o swobodnym przepływie osób.

To właśnie 1,7 mln obywateli Unii tak rozepchało Szwajcarię, bo z ogólnym porządkiem, urokami krajobrazu, wysokimi płacami i niskimi podatkami stała się bardzo wygodnym miejscem do życia. Może aż za bardzo, stąd – zdaniem zwolenników ograniczeń – rozmycie tożsamości narodowej, szalone ceny na rynku nieruchomości, niedobory w służbie zdrowia i edukacji, kłopoty transportowe, a nawet tłok na basenach. Szwajcaria zaprojektowana została „co najwyżej na 8 mln mieszkańców" – podnosili, a nadmiar zagraża środowisku. Ale też na ten sukces Szwajcarii zapracowali w dużym stopniu dobrze wykwalifikowani cudzoziemcy oraz uprzywilejowane relacje z UE. Zerwanie porozumienia oznaczałoby w praktyce „cichy brexit po szwajcarsku", ze wszystkimi tego konsekwencjami, które przećwiczył Londyn. Prawdopodobnie to ten argument przeważył w referendum.



Wyniki referendów obligują rząd i parlament. Nie ma wymogów dotyczących frekwencji – aby dokonać zmian w konstytucji, wymagana jest zgoda większości głosujących oraz większość w co najmniej połowie kantonów. Instytucja inicjatywy ludowej, takiej jak obecna, należy do kształtowanego od ponad stu lat unikatowego systemu szwajcarskiej demokracji bezpośredniej – i ta akurat nie jest zagrożona. Tematyka referendów (nowy wniosek wymaga zebrania 100 tys. podpisów) jest bardzo różnorodna. W marcowym Szwajcarzy znieśli obowiązek wspólnych rozliczeń podatkowych małżonków, wzmocnili prawo do gotówki i odrzucili obniżenie opłaty audiowizualnej. SVP podrzuca swoje pomysły antyemigranckie regularnie i przeważnie jeszcze przegrywa. Ale będzie próbować do skutku. WP

© CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES, MP, LI MUZI/XINHUA NEWS/EAST NEWS, MP

eprasa.pl 5357578c79

TEMAT TYGODNIA

Jak poskromić AI?

Sztuczna inteligencja na razie żyje na kredyt i nadmuchuje wielką bańkę inwestycyjną. Pęknie, doprowadzając do globalnego kryzysu gospodarczego? Czy się rozwinie, doprowadzając do nowego systemu politycznego nazwanego już technofaszyzmem? Co lepsze?

EDWIN BENDYK



© SHUTTERSTOCK

Wydarzeniem inwestycyjnego sezonu stał się 12 czerwca giełdowy debiut kierowanej przez Elona Muska korporacji SpaceX. To konglomerat świadczący usługi kosmonautyczne, komunikacyjne w oparciu o system łączności satelitarnej Starlink i udostępniające infrastrukturę potrzebną do funkcjonowania rozwiązań sztucznej inteligencji.

Spektakularna giełdowa inauguracja SpaceX wyniosła spółkę, która nie osiąga zysków do wartości 2,1 tryliona dolarów, uczyniła z Elona Muska pierwszego w dziejach dolarowego trylionera, a cztery tysiące pracowników milionerami. Co spowodowało takie zainteresowanie? Obietnica przyszłości, w której zgodnie z projekcją banku Morgan Stanley firma może w 2040 r. zarobić 3,4 bln dol. Takie przychody mają wynikać z potencjału rynku szacowanego w prospekcie emisyjnym na 28,5 bln (i to bez Chin oraz Rosji). Z tego same usługi związane ze sztuczną inteligencją to 26,5 bln dol. Nic więc dziwnego, że do giełdowego startu szykują się także OpenAI i Anthropic, których liderzy mają podobne aspiracje jak Elon Musk.

Wielkie liczby

Wielkie liczby pojawiają się od początku ożywienia zapoczątkowanego udostępnieniem przez OpenAI w listopadzie 2022 r. narzędzia ChatGPT. Firma doradcza McKinsey w połowie 2023 r. prognozowała, że roczne efekty wynikające z wdrożenia systemów sztucznej inteligencji i automatyzacji osiągną nawet 25,6 bln dol. Na tę kwotę składa się zarówno sprzedaż usług AI, nowe usługi przez AI umożliwione, jak i skokowy wzrost produktywności przekładający się na wzrost przychodów firm i PKB państw. McKinsey uwzględnia, że rozwiązania takie jak ChatGPT czy Claude oferowany przez Anthropic, zwane generatywną sztuczną inteligencją, to tylko część znacznie większego i rozwijanego już od wielu lat pod hasłem sztucznej inteligencji rynku technologicznego.

Autorzy McKinsey zaliczają do niego złożone metody analityczne wykorzystywane do przetwarzania wielkich zbiorów danych czy „tradycyjne" systemy uczenia maszynowego umożliwiające automatyzację analizy zbiorów danych i treści.

eprasa.pl 5357578c79



Serwerownia centrum danych w Nowym Meksyku

Generatywna AI, której główną część tworzą rozwiązania oparte na wykorzystaniu zaawansowanych modeli językowych (LLM), jak ChatGPT potrafi samodzielnie tworzyć treści. Wyrafinowane modele statystyczne „karmione" wszelkimi dostępnymi danymi umożliwiają tworzenie tekstu, obrazu, filmów i dźwięku w odpowiedzi na impuls – prompt od użytkownika.

Wielkie przyspieszenie

W oparciu o systemy generatywne AI można tworzyć aplikacje agentowe, samodzielnie realizujące różne powierzone im zadania, np. pisanie oprogramowania, analizę dokumentów finansowych czy planowanie podróży. Te możliwości rozpalają wyobraźnię wizjami nowej rewolucji technologicznej, która zmieni gospodarkę, umożliwiając choćby przyspieszenie rozwoju nowych technologii przez automatyzację części procesów naukowo-badawczych. Demis Hassabis kierujący należącym do Alphabet/Google DeepMind dostał Nagrodę Nobla z chemii w 2024 r. za opracowanie systemu AlphaFold 2, który, jak można przeczytać w oficjalnym komunikacie, „umożliwił przewidzenie struktur praktycznie wszystkich znanych białek".

Hassabis obiecuje, że jego narzędzia rozwijane w należącej do Alphabet spółce Isomorphic Labs, przyspieszą projektowanie nowych leków, skracając czas procesu z wielu lat do tygodni. Co prawda obietnica, że pierwsze tak zaprojektowane substancje trafią do badań klinicznych do końca 2025 r., nie została spełniona, ale 2026 r. podobno jest realny. Niestety, nawet jeśli tak się stanie, to samych badań klinicznych przyspieszyć się nie da, więc ewentualna droga nowych leków na apteczne półki zajmie jeszcze nawet dekadę.

Wielka wojna

Sztuczna inteligencja rozpala także wyobraźnię generałów, bo obiecuje skrócić „kill chain", czyli przyspieszyć proces identyfikowania celów i zwiększyć efektywność koordynacji operacjami wojskowymi. Podczas wojny z Iranem siły zbrojne Stanów Zjednoczonych wykorzystywały system Maven współtworzony i rozwijany przez firmę Palantir. Ona z kolei wykorzystuje Claude'a, narzędzie generatywnej AI firmy Anthropic.

Maven analizuje wszystkie dostępne dane elektroniczne, od sygnałów z dronów, obrazy z satelitów, dane z nasłuchu sieci telekomunikacyjnych, by na tej podstawie stworzyć listę celów, np. oficerów lub liderów politycznych przeciwnika i podać dane umożliwiające przeprowadzenie ataku. Twórcom systemu udało się połączyć dwie przeciwstawne dotychczas cechy pola walki: wysoką precyzję celowania z możliwością prowadzenia działań zbrojnych na skalę masową. Jak donosił „Washington Post", system umożliwił wskazanie tysiąca celów tylko pierwszego dnia operacji przeciwko Iranowi.

To, że Stanom Zjednoczonym nie udało się osiągnąć politycznych celów wojny z Iranem, nie unieważnia, zdaniem ekspertów, potencjału ujawnionego przez nowe technologie pola walki. Do tego jednak, żeby ten potencjał wykorzystać w pełni, zarówno w sferze cywilnej, jak i w wojsku, potrzebna jest nowa infrastruktura, która umożliwi pracę systemom sztucznej inteligencji. ChatGPT w lipcu 2025 r. dostawał dziennie 2,5 mld zapytań. By na nie odpowiedzieć, OpenAI musi korzystać z potężnych mocy obliczeniowych dostarczanych przez gigantyczne serwerownie.

Wielka złożoność

Firma reasekuracyjna (ubezpieczyciel ubezpieczający firmy ubezpieczeniowe) Swiss Re przygotowała raport o ubezpieczaniu centrów przetwarzania danych. Autorzy zwracają uwagę, że sytuacja jest bezprecedensowa. Koszt budowy jednego obiektu to nawet 20 mld dol. Drugie tyle to wyposażenie w mikroprocesory i infrastrukturę operacyjną. To nakłady porównywalne z energetyką jądrową. W przypadku centrów przetwarzania danych wyzwaniem jest nie tylko skala i złożoność pojedynczych inwestycji, ale także ich intensywność.

Raport „Tracking Trillions" (Śledząc biliony) banku Goldman Sachs informuje, że inwestycje zapowiedziane na 2026 r. mają osiągnąć wartość 765 mld dol. I z każdym kolejnym rokiem będą rosły, osiągając w sumie do końca 2031 r. 7,6 bln dol. Mowa tylko o firmach amerykańskich: OpenAI, Anthropic oraz gigantach cyfrowego kapitalizmu: Amazon, Meta/Facebook, Alphabet/Google, Oracle, SpaceX. Prowadzący podobne analizy bank Morgan Stanley w raporcie z marca stwierdza: AI to już nie tylko ▶

eprasa.pl 5357578c79

▶ modny temat, to czynnik o znaczeniu makroekonomicznym, mający coraz większy wpływ zarówno na wzrost gospodarczy, jak i geopolitykę.

Problem w tym, że równie szybko jak nakłady na nową infrastrukturę rośnie *monetisation gap*, czyli luka dochodowa między ponoszonymi nakładami a realnymi przychodami. Jim Covello od lat zajmujący się inwestycjami na rynku technologicznym w Goldman Sachs stwierdził w niedawnym komentarzu, że luka dochodowa zamiast maleć, rośnie, ale korporacje nie zważają na to opanowane przez największy w dziejach przypadek FOMO (strachu, żeby nie przegapić okazji). Mniej niż inwestycyjnej porażki obawiają się, że odjedzie im przyszłość przedstawiona w tak jasnych barwach w prospekcie emisyjnym SpaceX. Strach przed utratą dziesiątków bilionów w przyszłości i wypadnięciem z rynku jest większy niż strata pojedynczych bilionów dziś.

Wielka niewiadoma

Nie tylko Jim Covello ma wątpliwości, czy te gigantyczne inwestycje przyniosą zwrot. Podobne obawy wyraził Arvind Krishna, szef IBM – koncernu, który w tym wyścigu nie uczestniczy, choć jak najbardziej angażuje się w rozwój technologii przyszłości, także związanych ze sztuczną inteligencją. To przecież IBM skonstruował Watsona, superkomputer, który wygrał w 2011 r. w teleturnieju Jeopardy! (polska wersja znana pod tytułem „Va banque"), a wcześniej, w 1997 r. IBM-owski Deep Blue wygrał turniej szachowy z Garrim Kasparowem. Krishna mówi wprost: „nie widzę sposobu, żeby inwestycje na poziomie 8 bln zwróciły się, bo to wymaga zysków w wysokości co najmniej 800 mld dol. po to tylko, żeby spłacić odsetki od kapitału".

Sceptycyzmowi Covella i Krishny wtórują ekonomiści tej miary, co noblista Daron Acemoğlu. Od lat zajmuje się wpływem nowych technologii i automatyzacji na gospodarkę – i szerzej, na społeczeństwo. W połowie 2024 r. opublikował głośny artykuł naukowy „The Simple Macroeconomics of AI" (Prosta makroekonomia AI). Wyliczył w nim, że efekt sztucznej inteligencji na wzrost produktywności będzie mniej więcej dziesięciokrotnie mniejszy niż zapowiedzi wielu firm doradczych i promotorów nowych technologii. W efekcie również wpływy z jej zastosowania będą odpowiednio mniejsze.

Praca Acemoğlu wywołała dyskusję i podgrzała spór trwający w środowisku naukowym od wielu lat, kiedy na początku drugiej dekady XXI w. pojawiły się analizy zapowiadające konsekwencje rewolucji cyfrowej i ówczesnej automatyzacji na gospodarkę, wieszczące rzeź na rynku pracy. Ikonami sporu stali się Robert J. Gordon z Northwestern University i Erik Brynjolfsson ze Stanford University. Pierwszy przekonuje, że technologie cyfrowe nie mają takiego transformacyjnego charakteru, jak miała choćby elektryczność. Więc i ich wpływ na rzeczywistość gospodarczą, niezależnie od fascynacji gadżeciarstwem, będzie znikomy.

Brynjolfsson przekonuje z kolei, że jeszcze nie dostrzegamy wpływu zmian, bo nowe technologie wymagają głębokiej adopcji w organizacjach i proces ten właśnie zaczyna przyspieszać, znajdując również wyraz w wynikach finansowych przedsiębiorstw. W 2020 r. ekonomiści założyli się o to, czy do końca 2029 r. średni roczny wzrost produktywności pracy w Stanach Zjednoczonych będzie większy czy mniejszy niż 1,8 proc. Stawka to 400 dol. Rozstrzygnięcie zakładu ma fundamentalne znaczenie nie tylko dla obu ekonomistów, ale również całej gospodarki. Od niego zależy bowiem, czy wspomniana luka dochodowa się wypełni, czy też gospodarka już pędzi do pęknięcia kolejnej spekulacyjnej bańki inwestycyjnej.

Wielka niepewność

Coraz więcej sygnałów wskazuje, że na odpowiedź nie trzeba będzie czekać do końca 2029 r. I jednocześnie nie można jej udzielić z pełnym przekonaniem już dziś, co doskonale pokazuje „International AI Safety Report 2026" (Międzynarodowy raport o bezpieczeństwie AI 2026). To najbardziej miarodajna analiza stanu rozwoju generatywnej sztucznej inteligencji przygotowywana co roku przez kilkudziesięcioosobowy zespół ekspertów z całego świata. Na wzór zespołu przygotowującego dla ONZ raporty dotyczące zmian klimatycznych (IPCC) postawili sobie za zadanie opracowywać co roku syntezę dostępnej wiedzy. Zespołowi przewodzi Yoshua Bengio, jeden z najważniejszych twórców nowych rozwiązań w obszarze AI.

Niestety, lektura raportu jest dla czytelnika oczekującego zdecydowanych rozstrzygnięć rozczarowująca. W oparciu o aktualną wiedzę nie można odpowiedzieć z przekonaniem, jaki będzie wpływ AI na gospodarkę. Nie można przewidzieć, jak zmieni się rynek pracy. Nie można zaprzeczyć lub potwierdzić, że obawy przed technologią wymykającą się spod kontroli są uzasadnione. Nie można nawet jednoznacznie stwierdzić, czy postęp w tym obszarze przyspiesza, czy spowalnia.

Scenariusze rozwoju sztucznej inteligencji do 2030 r. przygotowane przez OECD wspólnie z zespołem Bengio przypominają odpowiedź o pogodę z dowcipu o góralu: będzie padać albo i nie. Z możliwych czterech scenariuszy: postęp zatrzymuje się, postęp spowalnia, postęp trwa i postęp przyspiesza, oraz ich podwariantów żadnego nie można wskazać jako najbardziej prawdopodobnego, bo żaden nie jest przedmiotem naukowego konsensu.

Nie należy winić ekspertów za ich kolektywną bezradność. Rozwojowi każdej technologii towarzyszy wielka niepewność. W przypadku sztucznej inteligencji czynników niepewności jest olbrzymia liczba, na dodatek potrzebna infrastruktura charakteryzuje się złożonością niespotykaną w dziejach. W efekcie nawet szacunkowe inwestycje opiewające na biliony obarczone są niepewnością. Nie tylko przyszłych przychodów. Jednym z najważniejszych czynników kosztu współczesnego centrum przetwarzania danych są mikroprocesory. Głównym ich dostawcą jest Nvidia.

Dostarczane przez Nvidię zestawy Blackwell GB200 NVL 72 wypełniające najnowocześniejsze centra są systemami złożonymi z 72 procesorów graficznych Blackwell B200 i 36 procesorów Grace połączonych superszybkimi łączami. Nawet tysiące takich zestawów może wypełnić jeden obiekt. Każdy jednostka kosztuje ok. 3 mln dol. i potrzebuje zasilania o mocy ok. 140 kW. Problem z mikroprocesorami polega na tym, że się szybko starzeją i w ciągu pięciu lat dziś supernowoczesne cacka nadawać się będą do wymiany na jeszcze wydajniejsze. Bo Nvidia, choć dominuje, nie jest jedyną firmą dostarczającą mikroprocesory dla lukratywnego rynku AI. Najlepszym sposobem utrzymania pozycji jest ucieczka do przodu.

Wielki opór

To oczywiście sprawia ból inwestorom, którzy chcieliby jak najszybszego i jak największego zwrotu inwestycji. Dlatego budują nowe centra na potęgę i jednocześnie, ponieważ popyt na systemy

eprasa.pl 5357578c79



Centrum danych Greykite w Ursusie

Nvidii nie maleje, wszyscy starają się kupować choćby na zapas, byle nie zostać w tyle. Niestety, większość budów centrów danych przedłuża się, stawianie jednego może trwać i trzy lata. To wynika z kolejnych czynników niepewności: braku odpowiednich materiałów budowlanych, kolejek po takie elementy wyposażenia jak transformatory, w końcu rosnącego oporu społecznego.

Mieszkańcy Monterey Park nieopodal Los Angeles przegłosowali w lokalnym referendum na początku czerwca trwały zakaz budowy centrów danych na ich terytorium. 67 innych lokalnych wspólnot uchwaliło zakazy tymczasowe, obowiązujące do 18 miesięcy. Jak donosi „Washington Post", ten opór to skutek zmiany społecznego nastawienia. Jeszcze w 2023 r. 69 proc. mieszkańców stanu Virginia aprobowało inwestycje, odsetek ten zmalał do 35 proc. Skąd ten opór? Na pewno składa się na niego syndrom NIMBY – niechęć do sąsiadowania z uciążliwą infrastrukturą przemysłową.

Jak donosi „Washington Post", Amerykanie zaczynają także odkrywać, że rozwój sztucznej inteligencji zaczyna przekładać się na wzrost kosztów ich życia, choć miało być przecież inaczej. Dziennik wylicza, że w stanie Maryland rachunki za prąd wzrosły średnio ze 122 do 181 dol. miesięcznie. Nowe centra przetwarzania danych nie tylko generują olbrzymi popyt na energię elektryczną, co wymaga inwestycji w elektrownie i sieci przesyłowe oraz ich integrację z istniejącymi sieciami. Część tych kosztów muszą ponieść mieszkańcy. Rosną też inne koszty – Nintendo podniosło ceny na konsole, tłumacząc się, że wzrosły ceny mikroprocesorów. Winna sztuczna inteligencja. Boom inwestycyjny drenuje rynek pracy z budowlańców, więc rosną koszty usług.

Wielki wyścig

Niezadowolenie wraca do inwestorów AI odkrywających, że nie wybudują swoich centrów tak szybko, jak by chcieli, i nie zainstalują tak szybko kupionych od Nvidii procesorów. Ed Zitron, bloger opisujący rynek technologiczny, szacuje, że nawet milion mikroprocesorów może leżeć na składzie, czekając na swój czas. I starzejąc się bezproduktywnie. Jak w takich warunkach tworzyć pewne prognozy? Szef IBM Arvind Krishna twierdzi, że zastępuje je wiara. A Karen Hao, autorka książki „Imperium sztucznej inteligencji" (przekł. Piotr Grzegorzewski, wyd. Szczeliny), pokazuje, że w technologicznym wyścigu chodzi nie tylko o zysk. To walka o dominację nad światem przypominająca XIX-wieczny imperializm.

Gorączka AI różni się tym od internetowej gorączki drugiej połowy lat 90. XX w., że startują w niej największe i najbogatsze korporacje świata. Gdy skończyła im się gotówka – wydawało się dostępna w nieograniczonej ilości – pozyskują pieniądze z rynku, emitując obligacje, upłynniając akcje. Alphabet/Google zapowiedział właśnie operację upłynnienia walorów wartości 85 mld dol. I zwalniają tysiącami pracowników, by na ich płacach zaoszczędzić gotówkę potrzebną na inwestycje.

Pośród nich brylują dwie firmy, które jeszcze nic nie zarobiły na czysto, ale nadają wyścigowi ton i tempo. To OpenAI Sama Altmana i Anthropic Dario Amodeiego. Dotychczasowy ich pomysł na biznes nie różnił się od sposobu na życie innych start-upów – bierz pieniądze od inwestorów, rozwijaj za nie produkt i buduj jak największą bazę użytkowników za wszelką cenę. Czyli udostępniając ten produkt poniżej kosztów. Na przykład w ryczałcie za 20 dol. miesięcznie dla użytkowników indywidualnych.

Rozpoznanie rzeczywistych przepływów finansowych jest bardzo trudne ze względu na „kołowy" charakter powiązań: Amazon inwestuje w Anthropic miliardy w zamian za to, że Anthropic będzie wynajmował w Amazonie moce obliczeniowe. Nvidia inwestuje w Anthropic i OpenAI, żeby kupowały moce w centrach przetwarzania danych kupujących w Nvidii mikroprocesory. W interesie wszystkich jest nakręcanie gorączki sztucznej inteligencji, bo inaczej koło przestanie się kręcić.

W 2026 r. nadeszła jednak zapowiedź zmiany. OpenAI zaostrzył system rozliczeń z klientami według realnego zużycia zasobów informatycznych, podobnie zrobił Anthropic. Urealnienie kosztów AI okazało się szokiem dla wielu klientów korporacyjnych. Kierownictwo Ubera spostrzegło, że programiści firmy w ciągu kwartału zużyli całoroczny budżet. Microsoft zrezygnował z korzystania z narzędzia Claude Code firmy Anthropic, gdy kierownictwo zorientowało się w realnych kosztach.

Czas próby

Wraz z uświadomieniem, że AI kosztuje, przyszło najtrudniejsze pytanie zadawane coraz częściej przez klientów firm technologicznych. To pytanie o ROI – zwrot inwestycji i ukryty w nim podtekst: czy sztuczna inteligencja rzeczywiście przynosi obiecane efekty? Już teraz poszukiwanie odpowiedzi przekłada się w rosnącej liczbie firm na większą kontrolę kosztów, choć wiara w AI ciągle jeszcze nie maleje. Czy wystarczy na tak długo, ▶

© MATERIAŁY PRASOWE GREYKITE

eprasa.pl 5357578c79

▶ by wypełnić lukę dochodową OpenAI, Anthropic, SpaceX, Amazon, Meta, Alphabet?

Odpowiedź nie będzie zależała jedynie od rynku. Sztuczna inteligencja to także wielka polityka i geopolityka. Na początku czerwca Donald Trump przedstawił propozycję, by rząd Stanów Zjednoczonych przejął część udziałów w spółkach zajmujących się sztuczną inteligencją. Jak często u prezydenta Trumpa bywa, pomysł nie jest zbyt precyzyjny i przypomina fantazję o partnerstwie prywatno-publicznym, w którym rząd USA byłby pośrednikiem między sektorem high-tech a społeczeństwem.

Przejmowanie udziałów w prywatnych firmach to w Stanach Zjednoczonych nie nowina, tak stało się z Intelem, gdy stanął na krawędzi bankructwa. Spółkom AI bankructwo na razie nie grozi, a w inicjatywie Trumpa ujawnia się raczej przekonanie, że sztuczna inteligencja to sfera wymagająca nowych form politycznego i państwowego nadzoru, by nie wymknęła się spod kontroli. Ciekawe, że w tym samym czasie podobny pomysł przedstawił socjalista senator Bernie Sanders na łamach „The New York Times". Proponuje on, by mocą ustawy utworzyć państwowy fundusz majątkowy, który przejąłby połowę udziałów w spółkach AI.

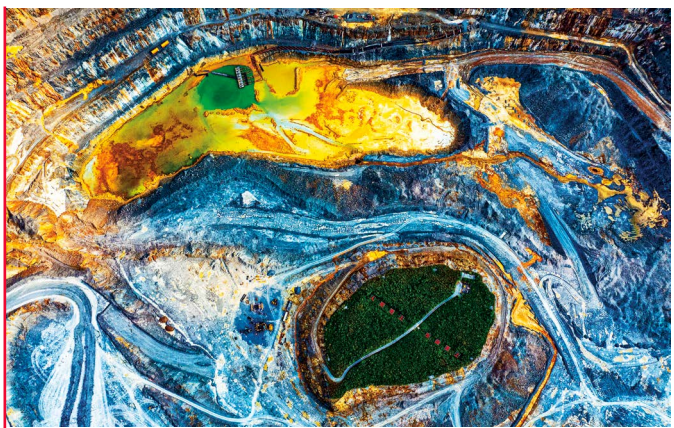

Odkrywkowa kopalnia miedzi w Chinach

Ziemiożercy

AI ma wysoką cenę środowiskową: gigantyczne zużycie energii, wody, ziemi i rosnąca góra elektrośmieci, zyski skoncentrowane są w nielicznych krajach, podczas gdy koszty ponoszą często społeczności peryferyjne.

- Centra danych – kręgosłup AI – zużyły w 2025 r. ok. 448 TWh energii, a do 2030 r. mogą dojść do 945 TWh, czyli blisko 3 proc. globalnej konsumpcji prądu; gdyby były państwem, znalazłyby się w światowej czołówce konsumentów energii.
- Ślad węglowy tego zużycia to 189 mln ton CO_2 w 2025 r. i prognozowane 399 mln ton w 2030 r. – tyle że do jego zrównoważenia potrzeba miliardów drzew rosnących przez dekadę.
- Każdy „inteligentny" prompt ma swoją cenę: typowe pytanie do ChatGPT jest ok. 200 razy bardziej energochłonne niż klasyfikacja spamu, obraz – nawet 1,5–2 tys. razy, a krótki film może zużyć tyle energii, ile 200 tys. takich prostych zadań.
- Woda jest ukrytym kosztem AI: w 2025 r. centra danych zużyły pośrednio ok. 4,5 bln litrów wody, a do 2030 r. może to być 9,3 bln litrów – równowartość rocznych podstawowych potrzeb wodnych 1,3 mld mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej.
- AI napędza także kryzys materiałowy: do 2030 r. infrastruktura może generować do 2,5 mln ton e-odpadów rocznie (ekwiwalent wyrzucenia prawie 250 wież Eiffla) oraz rosnące koszty środowiskowe wydobycia litu, kobaltu i metali ziem rzadkich w krajach Globalnego Południa.

Koszty ekologiczne AI na podstawie raportu „Environmental Costs of AI's Energy Use", United Nation University

Ryzyko technofaszyzmu

Jakie szanse mają te propozycje swoistej nacjonalizacji sztucznej inteligencji w Stanach Zjednoczonych? Łamią one na pewno dotychczasowe dogmaty wolnorynkowego kapitalizmu. Ale sytuacja jest wyjątkowa, co pokazał Daron Acemoğlu w najnowszej swej publikacji z początku czerwca zatytułowanej „Automatyzacja i represja". Wraz ze współautorami w swej pracy stosuje metody analizy ekonomicznej do zbadania możliwych konsekwencji politycznych rozwoju technologii.

Wychodzi mu, że technologie takie jak AI sprzyjają koncentracji kapitału i zmniejszają udział pracy w wytwarzaniu wartości gospodarczej. W efekcie maleje siła polityczna świata pracy, a wraz z nią gotowość świata kapitału do dzielenia się zyskami. W świecie pracy narasta gniew i gotowość do buntu, świat kapitału odkrywa, że taniej niż się podzielić jest siłą doprowadzić do porządku za pomocą antydemokratycznego przewrotu i autorytarnego przejęcia państwa.

Analiza Acemoğlu i współautorów ma charakter teoretyczny, ale swoje wywody ilustrują oni rzeczywistymi wypowiedziami liderów korporacji technologicznych. Cytują np. książkę „The Technological Republic" szefa firmy Palantir, Alexa Karpa, która opublikowana w wersji skróconej na stronie internetowej Palantira okrzyknięta została technofaszystowskim manifestem. Karp ze współautorem Nicholasem Zamiską piszą wprost o wymuszaniu społecznej dyscypliny i wykorzystywaniu do tego nowoczesnych narzędzi technologicznych. Nie są jedynymi, którzy tak myślą.

Elon Musk obiecuje kolonizację Marsa i budowę centrów przetwarzania danych w kosmosie na orbicie okołoziemskiej. Wtórują mu Sam Altman i Dario Amodei obiecujący nadejście już wkrótce ogólnej sztucznej inteligencji mądrzejszej od wszystkich noblistów żywych i martwych razem wziętych. Prawdziwą stawkę tego wyścigu pokazał jednak Daron Acemoğlu. Zanim dotrzemy na Marsa, zbudujemy sobie piekło na Ziemi.

Jaką rolę w tej rewolucji może odegrać Europa i Polska? Nakłady inwestycyjne na Starym Kontynencie są nieporównywalnie mniejsze, niż w Stanach Zjednoczonych lub Chinach, co jednak nie oznacza, że nie istnieją tu obiecujące przedsiębiorstwa. Np. francuski Mistral współpracujący z europejskim przemysłem, jak i francuskim wywiadem oraz siłami zbrojnymi dostarczając im oryginalne rozwiązania AI. Pozycja Europy w przyszłości zależeć jednak będzie od rozstrzygnięcia przedstawionej wcześniej niepewności: czy przyjęty przez amerykańskich cyfrowych gigantów model biznesowo-technologiczny ma sens, czy jest ślepą uliczką. Czy w razie powodzenia tych planów do kontroli skutków rewolucji wystarczą działania legislacyjne Unii Europejskiej próbujące poddać kontroli rozwój i wykorzystanie AI? Służy temu europejski AI Act przyjęty w 2024 r. Polski Sejm przyjął 12 czerwca ustawę wdrażającą ten dokument. Najlepsze nawet prawo, by było skuteczne musi polegać na sile stosujących je instytucji. I to właśnie o tę siłę toczy się gra.

EDWIN BENDYK

eprasa.pl 5357578c79

Paski dla wszystkich

Rozmowa z Dariuszem Chętkowskim, nauczycielem języka polskiego i filozofii, o tym, jak wybrnąć z szaleństwa polskiej ocenozy.



Dariusz Chętkowski – nauczyciel w łódzkim liceum. Pisarz, publicysta i stały felietonista polityka.pl.

JOANNA CIEŚLA: **– Nie zapytam pana, czy można stawiać dzieciom lody za świadectwo.**

DARIUSZ CHĘTKOWSKI: – W takim razie sam z siebie opowiem o praktykach mojej rodziny. My akurat mamy taki zwyczaj, że chodzimy na lody z różnych okazji. Kiedy córka uzyskiwała wysokie wyniki w nauce i świadectwo z biało-czerwonym paskiem, zawsze bardzo się cieszyliśmy, także z tego powodu, że znów na lody można było iść.

Możemy się zgodzić, że lody są dobre na wszystko, ale naprawdę nie wkurza pana ton wszczętej dyskusji publicznej? Po tym, jak rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak zaapelowała do lodziarni w Pszczynie, żeby odstąpić od promocji „Lody za »czerwony pasek«", pół Polski kłóci się, czy uczniom można dać darmową gałkę za dobre stopnie. To tak niepoważna rozmowa, że przed dziećmi wstyd ją prowadzić.

A może jednak nie? Wierzę, że rzeczniczka miała dobre intencje, nie, że chciała tylko zaistnieć. Warto pomyśleć o dzieciach, dla których nikt nie przewidział lodów. Widuję w sklepie rodziców kupujących sobie piwo. Dziecko stoi obok i prosi o jakiś drobiazg, a matka czy ojciec odpowiadają: „Nie ma pieniędzy, no zrozum!". Jeśli przedsiębiorca myśli o najzdolniejszych uczniach, to na przykład władze miasta mogłyby pomyśleć o pozostałych dzieciach – czy też otrzymają lody? Nie trzeba opowiadać się za wystąpieniem rzeczniczki albo przeciw. Można się nim zainspirować. Uważam, że na zakończenie roku szkolnego wszystkim dzieciom należą się miłe słowa, lody, spacer z rodzicami, jakieś uhonorowanie i przyjemny start wakacji. Zamiast ograniczać przyjemności uczniom, którzy szczególnie na nie zasłużyli, można je poszerzyć. Pszczyna miała okazję zasłynąć, gdyby władze mądrze podchwyciły temat: „Jesteśmy jedyną w Polsce miejscowością, gdzie wszystkie dzieci otrzymują lody na koniec roku".

Ale z powodu tego paska czy jego braku przechodzą dzieciom koło nosa rzeczy bardziej zasadnicze typu dobra szkoła średnia. I dyskusyjne jest, na ile to ma sens. Ale nikt z tym nic nie robi.

To jest osobny problem. Ale może RPD jeszcze rozwinie działalność w tym temacie, bo chyba nie będzie udawać, że nie dotarły do niej komentarze.

Po doniesieniach TVN24 o możliwych nieprawidłowościach w funkcjonowaniu biura RPD rzeczniczka może nie mieć głowy, żeby iść za tym akurat ciosem.

Byłoby szkoda. Bo rzeczywiście z paskami są liczne i zróżnicowane problemy.

Właśnie o nie mi chodzi.

Co pana najbardziej niepokoi?

Na przykład to, że gdy wciąż przybywa dzieci, które otrzymują świadectwa z paskiem, dziecko, które takiego nie ma, może się zastanawiać, co jest z nim nie tak. Może takie komentarze słyszeć też od rodziców: „Dlaczego jesteś gorszy od Kuby, Hani?". To jest realny problem. Biało-czerwony pasek przestał być wyróżnieniem, a stał się sygnałem normy, od której można odstawać tylko na minus.

Kiedy sama uczyłam się w latach 90., świadectwa z paskiem dostawały po trzy–cztery osoby w każdej klasie. Teraz w znanych mi szkołach na zakończeniu roku szkolnego po odbiór świadectw z wyróżnieniem wywołuje się na apelu trzy czwarte klasy i publicznie ogłasza średnią każdego z wywołanych uczniów. W ubiegłym roku niewywołana koleżanka mojej córki z piątej klasy popłakała się. Zakończyła rok z poczuciem porażki, choć miała najdosłowniej dobre świadectwo, czwórki z góry na dół. Ale do paska potrzebna jest średnia 4,75. Kiedy ta inflacja pasków się zaczęła?

Kilkanaście lat temu. Wtedy przypomniano nauczycielom, że zgodnie z prawem oświatowym oceny celujące, szóstki, nie mogą być uzależniane od dodatkowej aktywności uczniów. Że to nie są ▶

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 5357578c79

▶ stopnie zarezerwowane wyłącznie dla uczestników olimpiad albo dla uczniów, których wiedza wykracza ponad podstawę programową.

Na początku szóstki, które obchodzą w tym roku rocznicę 35-lecia istnienia w polskiej szkole, miały być oceną ekstra, dla wybitnie zasłużonych.

I było tych szóstek bardzo mało. Ale z czasem, kilkanaście lat temu, dyrektorzy zaczęli zwracać uwagę nauczycielom, że uczeń nie ma obowiązku uczyć się ponad podstawę. Szóstka jest oceną dla osoby, która opanowała materiał w wymiarze najwyższym, a nie dodatkowym. Nie można wymuszać na ambitnych dzieciach, żeby uczyły się ponad program. Jakieś spektakularne aktywności, pasje mogą sugerować nauczycielowi dodatkową ocenę, ale osoba, która nie jest pasjonatem przedmiotu, ale się bardzo stara, też ma prawo dostać szóstkę. I wtedy one się posypały. Na przykład w mojej szkole według statutu można dostać szóstkę za opanowanie 96 proc. podstawy. Potem ta podstawa została okrojona. Liberalniej podchodzi się też do możliwości poprawiania przez uczniów ocen. W tej chwili panuje doktryna, że można to robić tyle razy, ile się chce. Przez to wszystko biało-czerwonych pasków wciąż przybywa.

Czy powinny mieć znaczenie przy rekrutacji do szkół ponadpodstawowych? Dziś za pasek dostaje się siedem punktów z możliwych 200 do zdobycia.

Przy rekrutacji do szkół średnich największą premię przynosi tytuł finalisty bądź laureata konkursu ogólnopolskiego, olimpiady przedmiotowej. To daje ten komplet, 200 pkt. Pozostali kandydaci składają swoje punkty ze świadectwa i rezultatu egzaminów. Za jedno i drugie można dostać maksymalnie po 100 pkt (czyli uczeń bez paska dostanie za świadectwo maksymalnie 93 pkt. 100 pkt otrzyma uczeń, który ma pasek i szóstki z czterech przedmiotów branych pod uwagę przy rekrutacji, np. na poszczególne profile klas w liceum). Przy tym wynik egzaminu to loteria. Rodzice dość często odwołują od niego, zwłaszcza gdy rezultaty dziecka odbiegają od tych, jakie uzyskiwało na próbnych egzaminach. Założenie, że wyniki na świadectwie są odzwierciedleniem tego, jak uczeń czy uczennica pracowali nie tylko przez dwie–trzy godziny, rozwiązując test, tylko we wcześniejszych latach w szkole, ma sens. Dobrze, że w ramach świadectwa przyznaje się też punkty np. za wolontariat. W praktyce, w interpretacji komisji rekrutacyjnej w szkole średniej, świadectwo z biało-czerwonym paskiem na koniec podstawówki oznacza, że uczeń nie był na tyle trudny, aby nauczyciele odmówili mu paska. To sygnał dla liceum: „Z tym uczniem nie mieliśmy problemu".

Czy do pana liceum, jednego z najlepszych w Łodzi, dostają się uczniowie bez paska?

Zdarza się. Dyrektor ma prawo przyjąć kilka osób ze słabszymi wynikami, gdy chodzi np. o rodzeństwo, parę bliźniąt – jeśli jedno ma świetne wyniki, a drugie słabsze. Także gdy ktoś ma problemy z samodzielnym poruszaniem się, powinien zostać przyjęty do najbliższej szkoły. Jeśli najbliższa jest świetna, to trafi do niej, nawet jeśli wyniki tego nie uzasadniają.

Przykłady, które pan podał, to wyjątkowe sytuacje życiowe.

Zdarza się też, że w wyniku zawirowań przy rekrutacji, zmian decyzji przyjętych uczniów robi się miejsce dla kogoś, kto ma słabsze wyniki niż reszta i nie ma paska. Ale zaznaczam, że gdy rok szkolny już startuje, jako nauczyciele nie wiemy, z iloma punktami dostały się poszczególne dzieci. Oczywiście jeśli ktoś chce, może to sprawdzić, ale rzadko się tak robi.

Nie niepokoi pana, że za tymi paskami mogą się kryć bardzo różne rzeczy? Piątka piątce i szóstka szóstce nierówne. W tej samej szkole jeden nauczyciel da szóstkę na koniec ósmej klasy uczniowi, żeby mu pomóc, a drugi nie da, bo nie wychodzi ze średniej i koniec.

Tak rzeczywiście może być, ale nie powinno. Nauczyciele przedmiotu powinni pracować w zespołach, wspólnie ustalać zasady oceniania i wpisywać je do statutu szkoły. U mnie w szkole taka współpraca jest bardzo inspirująca. Praca nauczyciela jako indywidualisty to anachronizm.

Ale w wielu podstawówkach pracuje np. jedna nauczycielka biologii dla wszystkich klas, jeden historyk albo chemik. Dzieciaki są zdane na ich indywidualną ocenę.

To, że jest tylko jeden nauczyciel przedmiotu, to nie powód, żeby nie tworzyć zespołu. Mogą działać zespoły złożone z różnych przedmiotowców, np. nauczyciele przedmiotów ścisłych – matematycy i fizyk. Albo nauczyciele przedmiotów przyrodniczych. Można też zapobiegać temu, o czym pani mówi, tworząc rady szkół. To takie gremia, w których spotykają się nauczyciele z rodzicami nie tylko tych uczniów, których uczą, tylko w ogóle z rodzicami. I powinny też być w tych radach dzieci, także w szkołach podstawowych. One bardzo chętnie i roztropnie pracują na rzecz szkoły, gdy dorośli traktują je poważnie. I w umiejętnie prowadzonych radach można świetnie wypracować spójny szkolny system oceniania.

Następny etap jest taki, że gdy uczniowie z tymi paskami i szóstkami startują w liceum, to okazuje się, że jednak niewiele umieją i od razu rodzice muszą wykupywać im korepetycje. Co bardziej zapobiegliwi startują z nimi już w wakacje po ósmej klasie.

Owszem. Ale raczej nie chodzi o to, że ci uczniowie mają stopnie masowo wystawiane na wyrost. Rzecz w tym, że to, co się dzieje na chemii, fizyce, ale także na języku polskim w szkole podstawowej, ma niewielki związek z tym, czego i jak uczy się w szkole ponadpodstawowej.

Jak to?

W szkołach różnych szczebli uczy się różnych umiejętności i inaczej się do nich podchodzi. To tak, jakby oczekiwać, że dziecko, które uzyskało kartę rowerową, będzie świetnie jeździło na motocyklu. A to są dwa podobne, ale jednak różne pojazdy. Trzeba zrobić nowy kurs. I faktycznie to przejście jest kiepsko zgrane. Zanim zlikwidowano gimnazja, działało to trochę lepiej.

Spodziewa się pan, że kolejna reforma, która zaczyna wchodzić w życie od września, zniweluje te kłopoty?

Nie chcę być pesymistą, więc powiem, że plany, jak zazwyczaj, są bardzo ambitne. Ale nie uwzględniają, że dzieci są różne i zapewne nie wszystkie będą w stanie np. osiągnąć poziom „profilu absolwenta" przewidzianego w reformie.

A gdyby tak zlikwidować selekcję uczniów do szkół ponadpodstawowych? Przynajmniej ci, których interesuje edukacja ogólna, mogliby ją kontynuować w najbliższym domu liceum, tak jak to jest w szkołach publicznych, np. w systemie anglosaskim?

W Polsce to by nie przeszło. Wielu rodziców nie chce posłać dziecka nawet do rejonowej podstawówki. Przemeldowują je, jeśli inaczej nie da się załatwić mu rekrutacji do szkoły publicznej uznawanej za lepszą niż ta w sąsiedztwie. Z niedawnych badań w Łodzi wynikło, że w ścisłym centrum są szkoły, gdzie ponad 50 proc. dzieci otrzymuje darmowe obiady. Czy to znaczy, że połowa rodzin mieszkających w centrum miasta spełnia kryteria ubóstwa? Nie.

eprasa.pl 5357578c79

Po prostu zamożni mieszkańcy eleganckich kamienic w centrum posyłają dzieci do szkół niepublicznych albo do szkół publicznych w innych dzielnicach. Nie chcą, by ich dzieci uczyły się z sąsiadami z kamienic komunalnych. Gdybyśmy oczekiwali, że o wyborze szkoły średniej zdecyduje miejsce zamieszkania, podniósłby się bunt. Od razu zostałoby to wykorzystane politycznie.

Potwierdza pan intuicję, że jako społeczeństwo mamy wciąż silne zapotrzebowanie na klasowość, selektywność i hierarchiczność.

Ale uczciwie trzeba też dodać, że wielu dzieciom wrażliwym i zdolnym w przypadkowo zebranej klasie w podstawówce bywa trudno. Marzą, „żeby się to piekło skończyło", bywają przekonywane: „wytrzymaj, w szkole średniej będą ludzie podobni do ciebie, starający się tak jak ty". Chodzi też o formy rozrywki, o mentalność...

W szkołach ponadpodstawowych nadal trwa pogoń za paskiem?

Oczywiście. W mojej szkole rozgrywają się niemal te same sceny, co u pani dzieci. Np. w klasie humanistycznej na 26 osób 20 wychodzi na apelu po świadectwo z biało-czerwonym paskiem. Wychowawca odczytuje listę promowanych z wyróżnieniem, a potem mówi: „promocję uzyskali też..." i tu te pozostałe sześć nazwisk. I cała sala się śmieje, fatalnie to wygląda.

Ale przecież świadectwo i średnia przy rekrutacji na studia nie mają już znaczenia, liczy się tylko wynik matury.

Mimo to o paski walczą nie tylko uczniowie klas maturalnych, ale wszystkich. Nie traktują poważnie monologów nauczycielskich, że w liceum warto sobie wybrać kilka najważniejszych przedmiotów i na nich się skupiać. Uczniowie, zwłaszcza na początku, nie są pewni, z czego będą pisać maturę. Na wszelki wypadek chcą zaliczać na maksimum wszystko. U nas jakiś czas temu absolwent odbierał świadectwo z rekordową średnią 5,8. A sala na to chórem: „Z czego tylko piątka?!". Okazało się, że to jakiś przedmiot typu michałek realizowany tylko w pierwszej klasie.

Gdy pasek na świadectwie jest już prawie dla każdego, rusza walka o trofea wyższych szczebli. Na przykład stypendia naukowe – od burmistrza, od rady rodziców itd. – za średnią wyższą niż 4,75. Zazwyczaj to symboliczne kwoty – jednorazowe 100–150 zł. Ale można poczuć się wybranym.



W klasie na 26 osób 20 wychodzi na apelu po świadectwo z paskiem. Nauczyciel potem mówi: „promocję uzyskali też...". I cała sala się śmieje.

W Łodzi jest podobnie. Można otrzymać stypendium miejskie, od pani prezydent. Stypendia fundują też stowarzyszenia absolwentów i inne organizacje, które działają przy szkole. Ustanowiono np. tytuł Złotego Absolwenta. Ale w takim razie trzeba coś jeszcze wymyślić, bo młodsi nie chcą czekać cztery lata, zwłaszcza że Złoty Absolwent może być tylko jeden. Można się oczywiście z tego śmiać czy żartować, ale właściwie przecież wszyscy potrzebujemy sygnałów, że coś osiągnęliśmy, że nasz wysiłek jest doceniany, że ktoś go dostrzega.

Toczy się u nas walka trendów – z jednej strony rośnie wrażliwość i dążenie do równości, z drugiej dobrze się trzyma potrzeba dowartościowywania sukcesów, ale też potwierdzania rozmaitych hierarchii. Czy można dziś uczciwie nagradzać jednych, nie pozostawiając innych w poczuciu krzywdy i dyskryminacji?

Jeżeli jedyną nagrodą widniejącą na świadectwie pozostanie pasek za wyniki nauczania, będzie to dyskryminujące. W tej chwili nauczanie ma być zindywidualizowane, podczas gdy nagroda jest wystandaryzowana. To również jest przyczyną wielu patologii, o których rozmawiamy. Trzeba dawać ludziom szanse bycia docenianymi za ich specyficzne osiągnięcia. Przy czym taki poszerzony wachlarz możliwych nagród – np. za regularne zaangażowanie w szkolnych przedstawieniach, za osiągnięcia sportowe – powinno przygotować MEN. Żeby te informacje były czytelne przy kolejnych etapach rekrutacji.

To paradoks, że na końcu tego wieloletniego wyścigu o stopnie zdecydowana większość absolwentów idzie na płatne studia, gdzie wyniki nie mają znaczenia przy rekrutacji, albo nie studiuje. Tylko 8–10 proc. maturzystów z każdego rocznika trafia na bezpłatne konkurencyjne kierunki w uczelniach publicznych, gdzie o jedno miejsce starają przynajmniej dwie osoby.

Przy czym kryterium, jak to już padło, w większości przypadków nie są oceny na świadectwie, tylko wyniki matury. A egzaminatorzy oceniający matury na ogół muszą pracować w takim tempie i w tak skandalicznych warunkach, że co roku słyszymy o błędach przy tym sprawdzaniu.

A dla studentów kolejny etap nauki, już akademickiej, znów zaczyna się od zajęć douczających. Wyobraża pan sobie polską szkołę wolną od ocen?

Całkowicie – nie. Każdy potrzebuje informacji zwrotnej, żeby się rozwijać w ważnych obszarach, a masowe wystawianie ocen opisowych szybko przeszłoby w karykaturę w rodzaju uwag z dzienniczka ucznia. Uważam, że ma sens ocenianie cyfrą, ewentualnie procentowo, postępów z kluczowych przedmiotów, np. biologii, chemii i matematyki w liceum na profilu biologiczno-chemicznym. To dobry sposób porównywania wyników poszczególnych uczniów albo kandydatów do kształcenia na wyższych poziomach, przy założeniu, że ten system działa w miarę poprawnie. Natomiast wiele przedmiotów należałoby uwolnić od ocen, po prostu na swobodniejszych zasadach zaliczać albo nie zaliczać. Trening w walce o piątki i szóstki z każdego przedmiotu robi z człowieka z automatu szczura ruszającego do walki o każdy ochłap, który widzi. I odbija się to wszystko na podejściu do pracy zawodowej i na zdrowiu psychicznym.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

© ZOFIA BAZAK/EAST NEWS

eprasa.pl 5357578c79



Prezydent Karol Nawrocki u kanclerza Friedricha Merza w Berlinie, wrzesień 2025 r.

Nie będzie Niemiec...

Na liście prawicowych fobii zaraz obok ukraińskiej jest niemiecka. I ona też zaczyna mieć bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo państwa. Przykładem prewencyjna rezygnacja rządu Donalda Tuska z zawarcia traktatu obronnego z Niemcami z powodu obawy, że zawetuje go prezydent Karol Nawrocki.

RAFAŁ KALUKIN

Podpisanie traktatu zawierającego – wzmocnione ponad zobowiązania NATO – dwustronne gwarancje bezpieczeństwa z najpotężniejszym sąsiadem leżało przede wszystkim w naszym interesie, gdyż to my jesteśmy państwem frontowym. Pozbawieni wsparcia Niemiec – z ich położeniem geograficznym i odbudowującym się potencjałem militarnym – stalibyśmy się w razie konfliktu z Rosją państwem odciętym i samotnym. Trudno zatem wskazać racjonalne argumenty przeciwko pogłębieniu sojuszu, którego w żadnym razie nie należy traktować jako alternatywy wobec NATO, tylko raczej jako swoistą polisę bezpieczeństwa na wypadek transatlantyckiej awarii.

Nie bez przyczyny tego typu pakty zawiązują teraz pomiędzy sobą największe europejskie państwa. Do zawartego już wiele lat temu traktatu niemiecko-francuskiego doszła niedawno umowa łącząca Francję, Niemcy i Wielką Brytanię. Z kolei rząd Tuska na przestrzeni ostatniego roku zawarł porozumienia z Paryżem i Londynem. To ostatnie zostało jednak skrytykowane przez prezydenta; Karol Nawrocki co prawda kwestionował przede wszystkim rzekome pominięcie jego osoby w procesie negocjacyjnym, niemniej zapowiedział „audyt" traktatu polsko-brytyjskiego – i jak dotąd nie ma pewności, czy złoży pod nim podpis. A bez tego umowa traktatowa nie wejdzie w życie.

Widząc zatem konfrontacyjne nastawienie głowy państwa, premier najwyraźniej z góry założył, że kolejny traktat – tym razem z samym „odwiecznym wrogiem" – to już zbyt wiele dla pogrążonego w prawicowych alergiach Nawrockiego. Czy słusznie, tego już pewnie nie rozstrzygniemy, chociaż wetując wcześniej ustawę wprowadzającą SAFE („niemiecką pożyczkę"), prezydent złamał niepisaną dotąd zasadę, żeby sprawy bezpieczeństwa wyłączyć spod logiki politycznej wojny domowej. Od tej pory trudno mieć złudzenia co do jego odpowiedzialności.

© OMER MESSINGER/EPA/PAP

eprasa.pl 5357578c79

I to właśnie z tego powodu zamiast Tuska pojawi się w środę w Berlinie szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz, który podpisze ze swoim niemieckim odpowiednikiem Borisem Pistoriusem umowę międzyrządową o współpracy wojskowej. Czyli akt niższego rzędu, jedynie precyzujący dotychczasowe ramy tej współpracy. Przynajmniej nie wymaga on ratyfikacji. I pewnie lepiej mieć wróbla w garści niż gołębia na dachu, choć finał sprawy należy uznać za mocno rozczarowujący. Tym bardziej że przypada akurat na rocznicę podpisania historycznego traktatu sprzed 35 lat.

Polsko-niemiecki traktat o dobrym sąsiedztwie z 1991 r. otwierał nowy rozdział we wzajemnych relacjach. Podpisany w Bonn przez premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego oraz niemieckiego kanclerza Helmuta Kohla stanowił dopełnienie wcześniejszego o rok traktatu, w którym nowe, zjednoczone Niemcy potwierdziły nienaruszalność granicy na Odrze i Nysie. Poprzednią umowę wynegocjował jeszcze rząd Tadeusza Mazowieckiego i miała ona raz na zawsze zamknąć przeszłość. Kolejne porozumienie wychodziło już w przyszłość, określając ramy współpracy wcześniej wrogich wobec siebie państw. Jego sygnatariusze mieli poczucie, że to akt o znaczeniu historycznym. „Bez porozumienia i pojednania polsko-niemieckiego nie będzie zjednoczonej Europy" – mówił później w Sejmie minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski, który towarzyszył Bieleckiemu przy podpisywaniu traktatu.

Ale w beczce miodu znalazła się również łyżka dziegciu. W rozmowach z Kohlem Bielecki poruszył temat ewentualnych odszkodowań za drugą wojnę światową, na co kanclerz miał się żachnąć, że poszkodowanych państw jest wiele i gdyby Niemcy miały teraz płacić każdemu z nich, to poszłyby z torbami. I był w tej sprawie bardzo stanowczy: z niemieckiego punktu widzenia sprawa jest zamknięta, gdyż Polska dobrowolnie zrzekła się prawa do wszelkich roszczeń jeszcze w latach 50. A to, że nie była wtedy suwerenna i zrobiła to pod presją ZSRR, już go nie interesowało. Polski rząd nie miał w tej sprawie prawie żadnych kart. Byliśmy petentem, zabiegając o pożyczki, redukcję długów i polityczne wsparcie na drodze do przyszłej Unii Europejskiej.

Temat został jednakże wywołany w trakcie debaty nad ratyfikacją traktatu, która odbyła się w Sejmie kontraktowym we wrześniu 1991 r. Umowę skrytykowały ugrupowania wywodzące się z PRL. Najostrzej wypowiadał się poseł PSL Janusz Dobrosz, który mówił, że „nie będzie prawdziwego pojednania, dopóki w naszym społeczeństwie pozostanie powszechna świadomość krzywdy i niesprawiedliwości". Poparli go przedstawiciele dawnych koncesjonowanych organizacji katolickich, na czele z PAX. Traktat jednak przeszedł dużą większością głosów.

W równolegle toczącej się kampanii przed pierwszymi w pełni wolnymi wyborami do parlamentu kwestia niemiecka nie odgrywała już większej roli. Jedynie marginalne Stronnictwo Narodowe, z Maciejem Giertychem na czele (i synem Romanem u boku), demonstrowało w swoim programie wyborczym jednoznacznie wrogi stosunek wobec Niemiec i orientacji europejskiej jako takiej: „Nie wolno nam rezygnować z elementów suwerenności na rzecz struktur międzynarodowych, takich jak Europejska Wspólnota Gospodarcza, w których dominują Niemcy".

Dzisiaj takim językiem posługuje się Jarosław Kaczyński, ale w 1991 r. jego ówczesna partia Porozumienie Centrum nie była jeszcze zorientowana antyniemiecko. Na samym początku miała zresztą bliskie związki z rządzącą w Niemczech CDU, a jej bawarską krewną, bardziej konserwatywną CSU, Kaczyński wręcz stawiał jako prawicowy wzór. W relacjach prasowych z założycielskiego kongresu PC powtarzał się wątek wyeksponowanej obecności gości z Niemiec, czemu towarzyszyły spekulacje o wsparciu finansowym dla budowanej od podstaw formacji. We wrześniu 1991 r. miał jednak miejsce epizod, pod którego wpływem Kaczyński zaczął zmieniać swoje nastawienie.

Reprezentując prezydenta Lecha Wałęsę, złożył Kohlowi wizytę w Bonn. To był jeden z nielicznych zagranicznych wyjazdów Kaczyńskiego. Ale kanclerz był, niestety, tego dnia w paskudnym nastroju. Jego uwagę zaprzątała rozpadająca się Jugosławia i właśnie czekał w napięciu na telefon od prezydenta USA George'a Busha, który miał do niego pretensje o uznanie niepodległości Chorwacji. Nic dziwnego, że wpadł w irytację, kiedy gość z Warszawy zaczął mu opowiadać o lękach polskich mieszkańców Ziem Zachodnich przed powrotem dawnych właścicieli. A do tego Kaczyński uporczywie domagał się zapewnienia o trwałości granicy, co już przecież od roku było rozstrzygnięte traktatowo. Kanclerz miał w odpowiedzi prowokacyjnie obwieścić, że Polacy powinni być Niemcom wdzięczni za oddanie Ziem Zachodnich. Dla Kaczyńskiego była to oczywiście niemalże osobista obraza. Pożegnali się chłodno, a stosunki PC i CDU wkrótce zostały wygaszone.

Uraz musiał pozostać głęboki, gdyż Kaczyński powracał do tej rozmowy jeszcze wiele razy w kolejnych latach. Zawsze w tym samym celu – żeby zdemaskować nieszczerość niemieckich intencji. Tyle że początkowo była to emocja jedynie osobista. Minie dekada, zanim znajdzie swój polityczny wyraz.

W esesmańskim mundurze ujeżdża kanclerza Gerharda Schrödera niczym konia – tak we wrześniu 2003 r. pokazał szefową Związku Wypędzonych Erikę Steinbach na swojej okładce tygodnik „Wprost". Z wydrukowanym obok komunikatem: „Bilion dolarów Niemcy są winni Polakom za II wojnę światową". Pismo byłego sekretarza KC PZPR Marka Króla już wcześniej słynęło z okładkowych ekscesów, ale sięgnięcie po nazistowską symbolikę stanowiło wówczas złamanie tabu. Dzisiaj porównania przeciwników politycznych do nazistów na okładkach prawicowych tygodników oczywiście nie robią już większego wrażenia.

O antypatycznej Steinbach Polacy po raz pierwszy usłyszeli pięć lat wcześniej. Był 1998 r., końcówka epoki Kohla. Staremu kanclerzowi już uciekała władza, kiedy przeforsował rezolucję Bundestagu, w której powojenne wysiedlenia Niemców zostały uznane za niezgodne z prawem. W sensie prawnym nic z tego nie wynikało, Kohl po prostu zabiegał o głosy w środowiskach wysiedlonych.

Ale Polska zareagowała alergicznie. Na wniosek PSL (ponownie z Dobroszem w roli głównej) Sejm przyjął kontruchwałę z żądaniem pod adresem Niemiec, żeby potwierdziły zasadę nienaruszalności polskich tytułów własności na dawnych terenach III Rzeszy. Mimo że w rezolucji Bundestagu nie znalazło się nic, co mogłoby wskazywać, iż Niemcy roszczą sobie prawa do pozostawionych nieruchomości. Tak naprawdę Sejm wszedł w polemikę z wypowiedziami Steinbach.

I ten błąd poznawczy będzie się odtąd stale powtarzać. Zgodnie ze schematem: seria obcesowych żądań i pogróżek szefowej Związku Wypędzonych – kunktatorskie milczenie rządu federalnego – interpretacja polskich elit o odradzającym się niemieckim rewanżyzmie. Szczególnie elit prawicowych, które do tej pory nie miały z Niemcami większego problemu, ale kiedy obudzone ▶

eprasa.pl 5357578c79

▶ zostały historyczne demony, powróciła uśpiona dotąd figura „odwiecznego wroga".

Tym bardziej że ogólny klimat w Niemczech na przełomie wieków faktycznie zaczął się zmieniać. Do władzy doszło pokolenie uformowane przez rewoltę 1968 r., które już nie miało ochoty przepraszać za wojnę, tylko chciało poczuć wreszcie dumę ze swoich sukcesów. A Steinbach próbowała ten nastrój wykorzystać do historycznej rewizji. Jej *idée fixe* stało się na przełomie wieków Centrum przeciwko Wypędzeniom, czyli placówka muzealna w Berlinie, która miała pokazywać cierpienia wysiedlonych obywateli III Rzeszy. U nas budziło to najwyższe oburzenie i nie chodziło tylko o wymiar moralny.

Polska właśnie wchodziła do Unii, co po obu stronach Odry wywoływało społeczne lęki. W Niemczech – o zalew taniej siły roboczej. W Polsce – o restytucję majątków na Ziemiach Odzyskanych. Temat stał się nabrzmiały, kiedy do polskich sądów faktycznie zaczęły wpływać pierwsze pozwy spadkobierców wysiedlonych obywateli III Rzeszy, „Niemiec przejął kolejny dom", „Oddajcie nam połowę Lidzbarka" – podbijały bębenka tabloidowe nagłówki, budząc coraz większy niepokój.



© GRZEGORZ ROGIŃSKI/PAP

Premier Jan Krzysztof Bielecki i kanclerz Helmut Kohl podpisują traktat o dobrym sąsiedztwie między Polską a Niemcami, Bonn, 1991 r.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść, gdyż w niemieckim życiu publicznym ujawnił się demon nawet straszniejszy od Steinbach. Nazywał się Rudi Pawelka i stał na czele organizacji o złowieszczej w polskich uszach nazwie Powiernictwo Pruskie. Był jeszcze radykalniejszy od swojej koleżanki ze Związku Wypędzonych. Powołując się na rzekome wsparcie rządu federalnego, przechwalał się, że doprowadzi do odzyskania administracyjno-sądowymi metodami 120 tys. porzuconych przez jego rodaków nieruchomości w Polsce. W swoim kraju uchodził za element folklorystyczny, więc go ignorowano. Zupełnie odwrotnie niż u nas.

To już czas prawicowej radykalizacji po aferze Rywina. Polską polityką wstrząsały komisje śledcze, które stały się poligonem populizmu. Pękły bariery politycznej kultury, nagle można było rzucić dowolne oskarżenie bez przejmowania się faktami. Szlaki wytyczał Antoni Macierewicz, wówczas jeszcze reprezentujący marginalne sejmowe koło, oraz stojący na czele Ligi Polskich Rodzin Roman Giertych. Obaj z niemiecką fobią, czemu dawali upust.

Wylało się we wrześniu 2004 r., kiedy Sejm przegłosował zgłoszoną przez Macierewicza „uchwałę antyniemiecką". Z jednej strony wzywała rząd w Berlinie do uznania bezzasadności majątkowych roszczeń niemieckich obywateli. Z drugiej – zobowiązywała polski rząd do podjęcia działań na rzecz wypłacenia przez Niemcy reparacji wojennych, wcześniej nakazując mu policzenie strat. Rząd Marka Belki protestował, ale nikt go nie słuchał. Niemal wszystkie kluby poparły uchwałę. Na Wiejskiej zapanowała niezdrowa ekscytacja, debata wypełniona była aluzjami do obozów koncentracyjnych i innych wojennych stereotypów.

„Nie ma pojednania bez zadośćuczynienia" – oświadczył wówczas Jarosław Kaczyński, przechodząc w dalszej kolejności do swojej odkrytej właśnie metody demaskowania „frontu obrony niemieckich interesów". Zaliczając do niego dawną agenturę, żyjących za niemieckie pieniądze uczonych i publicystów, „pożytecznych idiotów o żebraczym usposobieniu", wreszcie znajdujących się w „relacji amnezyjno-akceptacyjnej" z dawnymi katami nieszczęśników, którzy „zapamiętali się w pojednaniu".

Tuska w tym gronie na razie nie było. Szef Platformy próbował jedynie przewlekać prace nad uchwałą, proponując bardziej realistyczne zapisy, niemniej ogólnie też ją popierał. Twierdził, że wina niemiecka jest tak ogromna, że w oczach Polaków czas pokuty nigdy się skończy. Czyli robił mniej więcej to samo co dzisiaj, kiedy żyruje nastroje antyukraińskie, chociaż wtedy skończyło się to dla niego marnie. Rok po tamtej debacie Jacek Kurski wyciągnął mu „dziadka z Wehrmachtu", dając początek trwającej do dziś akcji wywłaszczania Tuska z polskości.

Po latach o niemieckich roszczeniach pewnie mało kto już pamięta. Okazały się jedynie chochołem. Powiernictwo Pruskie połamało sobie zęby na wyrokach Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Z kolei Steinbach błąka się po marginesach niemieckiej polityki, a z jej idei Centrum Wypędzonych została się skromna berlińska wystawa, w której polska pamięć została uhonorowana na równi z niemiecką. Zniknęły zatem zagrożenia, z powodu których prawica wytoczyła w 2004 r. reparacyjną armatę. Rzucone hasło reparacji zadomowiło się jednak w zbiorowej wyobraźni, wzmocnione moralną perswazją, która nakazuje do upadłego gonić niemieckiego króliczka. Bez szans na złapanie, ale nie o to przecież w tej zabawie chodzi. Niemcy opierają się sprawiedliwości, gdyż są z natury źli, a są źli, bo się opierają.

Antyniemiecka doktryna w pełni rozwinęła się za czasu rządów PiS. Poczynając od tych pierwszych, na razie krótkich, ale już wtedy nasyconych ostentacyjną wrogością wobec sąsiada do tego stopnia, że nawet pamiętający czasy Gomułki byli zaskoczeni. Tym razem z prezydentem Lechem Kaczyńskim w roli głównego bohatera, który udając się z zapoznawczą wizytą do Berlina, potrafił grubiańsko odwrócić się od wyciągającej na powitanie rękę Angeli Merkel. A parę miesięcy później wywołał znacznie poważniejszy skandal, odwołując swój przyjazd na szczyt Trójkąta Weimarskiego, gdyż niszowa berlińska gazetka nazwała go w niewybrednym paszkwilu „kartoflem".

Incydent był komiczny, ale zarazem pokazywał istotne różnice kulturowe. Kaczyńskiemu dostało się wtedy za to, że wcześniej jako prezydent Warszawy zakazał Parady Równości, co w progresywnej niemieckiej elicie budziło najwyższe zdumienie. Prawicowa krucjata przeciwko Niemcom nabierała tym samym rozmachu. Początkowo chodziło w niej głównie o historyczne zaszłości, ale z czasem doszła do tego ideologia walki z niemieckim „lewactwem", w czym lubowali się konserwatywni krytycy nowoczesności w Polsce.

eprasa.pl 5357578c79

A potem otwierały się kolejne fronty: geopolityczny w związku ze sporem o budowę Nord Stream, o model integracji europejskiej z fałszywie skojarzonym z Niemcami kolejnym chochołem „państwa europejskiego", wreszcie o migrację po otwarciu niemieckich granic w kryzysie uchodźczym z 2014 r.

W wielu sprawach polska prawica miała zarazem nieco racji. I nie chodzi tylko o nieszczęsną rurę pod Bałtykiem, której skądinąd rząd Tuska również próbował przeciwdziałać. Ale też o problem zależności ekonomicznych w Unii Europejskiej, wpychania przez niemieckiego hegemona mniejszych państw w pułapkę peryferyjności. Tyle że przerysowana w politycznej obróbce forma tej krytyki, ideologiczne zacietrzewienie, obsesyjne przypisywanie drugiej stronie złej woli oraz powszechne stosowanie moralnego szantażu w praktyce zamykały później przestrzeń do racjonalnej dyskusji o tym, jak układać wzajemne stosunki. Tym samym kwestia niemiecka stała się u nas swoistym plebiscytem, w którym można być jedynie za albo przeciw Niemcom.

„Będziemy naprawiać Polskę i żadne naciski ani pohukiwania, które nigdy nie powinny paść, a już w szczególności z niemieckich ust, nie zawrócą nas z tej drogi" – mówił Jarosław Kaczyński na samym początku drugich rządów PiS, kiedy w Niemczech pojawiły się pierwsze krytyczne głosy o skoku nowej władzy na Trybunał Konstytucyjny. Arcywróg ujawnił się w samą porę, gdyż bez skojarzenia z obcym protektorem i jego podejrzaną ideologią trudno byłoby wytłumaczyć Kaczyńskiemu sens metodycznego niszczenia liberalnych instytucji. Podobnie było zresztą z „godnościową" polityką europejską, która co prawda przynosiła Polsce policzalne szkody, ale za to oferowała moralną rekompensatę w retorycznych bojach z „niemiecką hucpą", wysługującym się Berlinowi Tuskiem i krajową piątą kolumną.

Po latach folgowania sobie na niemieckim poletku masowo produkowane urojenia stały się oczywistościami. Bodaj najlepiej ilustrowała to zjawisko ewolucja byłego już eurodeputowanego Zdzisława Krasnodębskiego, skądinąd profesora niemieckiego uniwersytetu, który zaistniał w naszym życiu publicznym jako autor erudycyjnych esejów o miałkości Zachodu. Skończył zaś jako nawiedzony pomyleniec głoszący już po rosyjskiej agresji na Ukrainę ekscentryczny pogląd o znacznie gorszych zagrożeniach czyhających na zachodniej granicy.

Usankcjonowana przesada ma jednak polityczne konsekwencje. Zwłaszcza teraz, kiedy PiS stracił monopol na prawicowość i musi konkurować z młodszymi konkurentami. Rywalizacja toczy się jednak na urobionym gruncie, w którym figura „Niemca – odwiecznego wroga" jest tak głęboko osadzona, że pozostaje się tylko licytować w tym, kto ostrzej go zdemaskuje. Być może więc premier Tusk miał dobre przeczucie, spodziewając się prezydenckiego weta w sprawie traktatu o wspólnym bezpieczeństwie z Niemcami. Po wrzuceniu do krajowej politycznej wirówki zostałby pewnie przez wszystkich opluty i wtedy Nawrocki – choćby nawet sam miał jakieś wątpliwości – praktycznie nie miałby już innego wyjścia, jak po prostu wyrzucić umowę do kosza.

RAFAŁ KALUKIN

REKLAMA

OD 10 CZERWCA W SPRZEDAŻY

Faworyci turnieju: Kylian Mbappe, Lamine Yamal, Harry Kane, Leo Messi

Korespondencje z USA „Za pięć dwunasta"

Rozmowy z Janem Urbanem i Jackiem Laskowskim

Sylwetka Szymona Marciniaka

Program transmisji w TV





Kup w kiosku lub zamów z bezpłatną dostawą do domu lub do paczkomatu na **prenumerata24.pl**

Wylosować swój los

Hélène Landemore, politolożka z Uniwersytetu Yale, o tym, jak w dzisiejszych czasach sprawdza się demokracja i czy konieczni są w niej politycy.



ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

MATEUSZ MAZZINI: **– Czym według pani jest demokracja?**

HÉLÈNE LANDEMORE: – Cieszę się, że zaczął pan od tego pytania, bo mam wrażenie, że z racji moich zainteresowań naukowych powinnam znać na nie odpowiedź. Tymczasem za każdym razem, kiedy zastanawiam się nad definicją demokracji, dokonuję kolejnych odkryć.

Najprościej byłoby powiedzieć, że demokracja to ustrój, który oddaje władzę w ręce obywateli. Przy czym moim zdaniem powinno mieć to dwojaką naturę. Po pierwsze, ludzie powinni mieć wpływ na końcowe decyzje podejmowane względem ich życia. Po drugie – niezbędne jest, by obywatele mogli też kształtować proces, który prowadzi do podjęcia tych decyzji. Tymczasem we współczesnych demokracjach przyzwyczailiśmy się, że mamy ten drugi element bez tego pierwszego. Owszem, ludzie wybierają swoich przedstawicieli, ale grono, z którego wybierają, oraz zakres tematów, którymi politycy się potem zajmują, nie jest definiowany oddolnie, tylko przez elity partyjne.

W praktyce często mamy do czynienia z sytuacją, w której politycy mówią wyborcom, że wiedzą lepiej, czego ci drudzy chcą. Jednocześnie pozostają głusi na oddolne postulaty, nawet jeśli mają one ogromne poparcie społeczne. Mieszkam na co dzień w USA i dobrym przykładem z naszego lokalnego podwórka jest ograniczenie dostępu do broni palnej – mniej więcej 80 proc. Amerykanów popiera ten postulat, tymczasem żaden polityk z żadnej partii nie weźmie go na swój sztandar, bo ugodziłby w zbyt dużo interesów politycznych i korporacyjnych. W prawdziwej demokracji taka sytuacja nie powinna mieć miejsca, bo obywatele muszą mieć wpływ na to, co jest dyskutowane przez polityków.

To się przecież da skorygować. Jak ktoś chce kształtować debatę, niech zapisze się do partii i to robi. Albo niech stworzy własny ruch polityczny. Gdzie się mylę?

W tym, że taki model wcale nie daje władzy obywatelom, tylko niektórym obywatelom – a to zasadnicza różnica. W zawodowej polityce sukces odnoszą tylko konkretne typy jednostek społecznych, z konkretnymi osobowościami i cechami. Musi pan być odważny, pewny siebie, konfrontacyjny – wtedy może jakieś szanse będzie pan miał. Zresztą nawet jeśli komuś uda się wejść do partii, zdobyć

eprasa.pl 5357578c79

mandat, odegrać jakąś rolę – to potem indywidualne postulaty są często tłamszone przez logikę partyjną. Innym problemem jest istnienie w naszych demokracjach grup interesu, które nie mają legitymizacji demokratycznej, a kształtują debatę bardziej niż obywatele – na przykład lobbystów. Im jest dość łatwo wpływać na polityków, bo jeśli spojrzy pan na metryczki socjologiczne osób, które sprawują władzę w demokracjach, wyjdzie panu, że to niesamowicie homogeniczna grupa – w dodatku ta sama, z której wywodzą się lobbyści. W praktyce jesteśmy dzisiaj rządzeni przez ludzi wywodzących się w całości z grona 10 proc. najbogatszych gospodarstw domowych.

Martin Bilens, politolog z Princeton, opublikował nawet artykuł, w którym udowodnił, że w amerykańskich realiach zwykli obywatele nie mają wpływu na nic w krajowej polityce. Jeśli czasem osiągają rezultaty zgodne z ich interesem, dzieje się to wyłącznie przez przypadek, a nie w ciągu przyczynowo-skutkowym. We współczesnych demokracjach grupy większościowe realizują swoje cele tylko wtedy, kiedy są zbieżne z interesem najbogatszych. Dobrym przykładem jest dochód podstawowy – jeśli on zostanie wprowadzony w takim kraju jak USA, wydarzy się to wyłącznie dlatego, że uczyni to życie zamożniejszych znacznie łatwiejszym. Ogromne masy ludzkie będą miały zapewnione bytowe minimum, przez co będą mniej skłonne do rebelii.

Chyba nikt już nie kwestionuje nadmiernego wpływu miliarderów na politykę, zwłaszcza w USA. Ale pani pisze, że cała koncepcja polityki realizowanej przez wybory jest już niemożliwa do naprawy. Dlaczego? Przecież można wyrzucić pieniądze z polityki, zapewnić parytety. Sposobów jest mnóstwo.

Owszem, ale po latach pracy nad książką doszłam do wniosku, że wszystkie te drobne korekty, o których pan mówi, nie zmieniłyby natury ustroju – a ja uważam, że on nawet w swojej najczystszej formie, bez bogaczy, i tak nie był wystarczająco demokratyczny. Paradoksalnie to stwierdzenie dość oczywiste, choć dopiero od niedawna. Mamy raptem 50 lat badań ilościowych na temat jakości demokracji i może 20 lat wniosków, z których jasno wynika, że mamy oligarchiczne skrzywienie w większości demokracji. Mikael Persson i Anders Sundell, dwójka szwedzkich badaczy, przeanalizowała to na 30 różnych demokracjach. Uśredniając, wyszło im, że najbogatsi mają znaczącą przewagę, jeśli chodzi o realizowanie ich interesów przez zawodowych polityków. Oczywiście w niektórych krajach to skrzywienie jest większe, w innych mniejsze, ale wszędzie istnieje. Kraje Europy Zachodniej mają spore odchylenia, ale akurat Polska i Czechy to dwa państwa, które znalazły się na środku osi. Reagowanie polityków na postulaty bogatych i biednych rozkłada się u was po połowie – co oznacza, że wasza demokracja jest całkiem reprezentatywna.



Hélène Landemore, francuska politolożka, wykładowczyni Yale University. Wcześniej związana z Uniwersytetem Harvarda, gdzie prowadziła badania nad partycypacją polityczną i teorią demokracji. Zajmuje się demokracją bezpośrednią w teorii i w działaniu, prowadząc projekty z zakresu demokracji losowej.

Zakładam, że to wynika z faktu bycia krajem postkomunistycznym, w którym wolny rynek działa krócej i nierówności czy akumulacja kapitału siłą rzeczy są mniejsze.

Być może. Ale spójrzmy na to jeszcze z innej strony. Możliwe, że jesteście na początku tego antyliberalnego procesu, poczekamy 20 lat i znajdziecie się w tym miejscu, co dzisiejsze Francja czy Szwajcaria. Niemniej – proszę porównać Polskę i Węgry. W tym drugim kraju wrażliwość polityki na postulaty uboższej większości jest znacznie niższa niż w Polsce, co po prostu oznacza, że Węgrzy są bardziej zoligarchizowani. A przecież o obu krajach mówiło się, że padły ofiarą populistycznego zawłaszczenia instytucji. Tymczasem Węgry są odchylone, a wy jesteście w środku skali. Bardziej otwarci na postulaty społeczeństwa. Z kolei w przypadku starszych demokracji, jak Francja czy Szwajcaria, ta otwartość jest mniejsza. I tu należy się zastanowić, czy czasem współczesne ustroje demokratyczne nie wracają po prostu do swoich bardziej oligarchicznych korzeni. One od początku były zamknięte i elitarne, tylko po drodze mieliśmy kilka zjawisk i procesów, które pozwalały na korektę czy wygaszanie niepokojów społecznych: dwie wojny światowe, a po nich 30 lat nieprzerwanego wzrostu gospodarczego, który pozwolił na redystrybucję i podniesienie poziomu życia całych społeczeństw. Bez tych zewnętrznych czynników po prostu wracamy do tego, co było na początku istnienia demokracji, czyli rządów ludu, ale definiowanego w bardzo wąski sposób.

Wrócę jednak do poprzedniego pytania. Dlaczego nie moglibyśmy po prostu zdemokratyzować całego procesu, wyrzucić miliardowych wpłat kampanijnych i otworzyć systemu?

Bo pieniądze też wszystkiego nie tłumaczą. Rozumiem, że można narzekać na amerykańską demokrację, bo istnieją tu tak zwane *Political Action Committees*, PACs, które są wehikułami zbierania pieniędzy od korporacji. Ale na przykład w Niemczech ich nie ma, tam wszystko jest jawne, każde euro wpłacone na kampanię wyborczą musi być ujawnione i opisane, a niemiecka demokracja też za bardzo nie reaguje na postulaty większości. Może więc chodzi o słabość związków zawodowych czy innych niepartyjnych uczestników życia publicznego? Też nie, w danych nigdzie tego nie widać. Początkowo wysoki poziom nierówności materialnych? Również nie. Proszę spojrzeć na skandynawskie demokracje, tam rozwarstwienie jest niższe, Szwecja miała nawet niedawno premiera z klasy pracującej, bez wyższego wykształcenia – a demokratyczna większość i tak jest mało reprezentowana. Jeśli nie ma jednej przyczyny, to znaczy, że coś nie działa w całej architekturze tego modelu.

A wie pani, czym jest to „coś"?

To sama natura demokracji realizowanej za pośrednictwem wyborów. Jeśli prześledzić dokumenty założycielskie ustroju francuskiego czy amerykańskiego, na czele z Deklaracją Niepodległości czy konstytucją, od razu można zorientować się, że one nigdy nie miały przynieść demokracji w takim znaczeniu, jakiego użyłam na początku naszej rozmowy. ▶

© MP

eprasa.pl 5357578c79

▶ To nigdy nie miała być władza ludu, tylko pewna forma przyzwolenia ludu na działania elit. Do pewnego stopnia obywatele mieli wpływ na kształt i działania państwa, ale ich władza czy kontrola nad parlamentem, rządem i sądami była ogromnie rozwodniona. W praktyce jedynym miejscem w amerykańskiej architekturze instytucjonalnej, które było emanacją władzy ludu, był Kongres – ale on z czasem całkowicie stracił funkcję kontrolną wobec sądownictwa czy władz wykonawczych. Widać to doskonale na przykładzie Donalda Trumpa i dzisiejszej administracji.

Jedynym modelem, w którym społeczeństwo zachowało nadrzędną pozycję wobec instytucji, jest system szwajcarski. Sąd Najwyższy w USA ma nieporównywalnie większą władzę i sprawczość niż jego odpowiednik w Szwajcarii. Tam referenda, czyli akty demokracji bezpośredniej, są najwyżej w hierarchii państwowej, dominują nawet nad sądami.

Takie rozwiązanie zapewnia władzę ludu w znacznie większym stopniu niż model amerykański. W USA owszem, można powiedzieć, że obywatele zagłosowali na Trumpa chcącego wybudować mur na granicy i ograniczyć imigrację – co zresztą się dzieje, więc społeczeństwo ma to, czego chciało. Ale jednocześnie ma wojnę w Iranie, za którą przecież nikt nie głosował i całą masę innych rzeczy, które ta administracja robi bez mandatu społecznego. Dlatego w najlepszym razie to nie jest ustrój demokratyczny, tylko mieszany. Inna sprawa, że akurat amerykańska demokracja nie jest dobrym przypadkiem do takiej ogólnej analizy, bo po prostu jest przeregulowana na śmierć przez manipulacje okręgami wyborczymi. W Ameryce wyborcy nie wybierają już swoich polityków, tylko odwrotnie – politycy wybierają sobie wyborców.

Europa wydaje się pod tym względem w lepszej sytuacji. Mamy prawie wszędzie ordynacje proporcjonalne i rządy koalicyjne, które jednak trochę lepiej odzwierciedlają strukturę społeczeństwa i interesy poszczególnych grup.

Co jednak nie zmienia faktu, że i tak mamy nadreprezentację bogatych i ich interesów w debacie politycznej. Rządy koalicyjne nie muszą być zresztą atutem. Pod wieloma względami doprowadzają do jeszcze większych ograniczeń władzy ludu. Kilka ugrupowań musi się ze sobą dogadać, żeby mieć jakąkolwiek większość, więc zawiera układy i idzie na kompromisy, często tajne, za zamkniętymi drzwiami, w rezultacie ich programy wyborcze się rozmywają i efekt końcowy w żaden sposób nie przypomina tego, na co ludzie pierwotnie głosowali.

Europa ma też inny problem – stworzyliśmy tu ponadnarodową superstrukturę w Unii Europejskiej, która jest biurokracją, wetokracją i sądokracją w wersji ekstremalnej. I tu nie chodzi w ogóle o regulacje, o które Unię się często obwinia, tylko o klatkę z przepisów, która jest tak szczelna i gęsta, że ludzie mają poczucie utraty demokracji rozumianej jako wpływ na rzeczywistość. Z tego punktu widzenia nie ma się co dziwić, że doszło do brexitu. Źródłem ruchu na rzecz wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii było właśnie poczucie braku zdolności kształtowania świata wokół siebie.

To przejdźmy do rozwiązań. Co zrobić, żeby to poczucie sprawczości w demokracji odzyskać?

Otworzyć system i wpuścić do niego obywateli.

Przez partie?

Przez losowanie.

Czekałem na tę odpowiedź. W książce podaje pani mnóstwo przykładów rad społecznych czy obywatelskich, w których uczestniczyli losowo wybrani przedstawiciele danej społeczności. Wierzę, że to działa na małą skalę. Ale na poziomie narodowym?

Zadziałało już we Francji, a to przecież kraj liczący 67 mln obywateli. Odbyły się tam już trzy ogólnonarodowe konwencje obywatelskie poświęcone reformie edukacji, zmianom klimatycznym i regulacjom dotyczącym eutanazji i końca życia. Nie był to proces idealny, rekomendacje pierwszej konwencji zostały potem mocno rozwodnione przez parlament, ale ostatecznie wszystkie trzy inicjatywy wyprodukowały zestaw rad i działań dla polityków, które zostały uznane za odpowiedniej jakości, by zamienić je w akty prawne. Jeśli 150 losowo wybranych Francuzów jest w stanie stworzyć legislację klimatyczną, która jest odpowiednia dla całego kraju, trudno mówić o porażce całego procesu.

Jednym z najciekawszych aspektów demokracji losowej jest fakt, że ona jest skalowalna znacznie bardziej niż demokracja wyborcza. Wyobraźmy sobie wybory o zasięgu globalnym. Kto by do nich stanął z szansami na wygraną? Może Elon Musk, Oprah Winfrey, paru miliarderów z Chin czy Indii. To dość głupi pomysł, widać na pierwszy rzut oka. Tymczasem losowość dobrze się skaluje, transfer z poziomu lokalnego na narodowy nie stanowi wbrew pozorom większego problemu.

W takim razie co jest największym wyzwaniem: wprowadzenie elementu losowości do istniejącego systemu elektoralnego czy może wysadzenie tego systemu w powietrze?

Nie jestem zwolenniczką wysadzania czegokolwiek. Wolę reformy niż rewolucje. Radykalne rozwiązania mogą być dobrym pomysłem wyłącznie w przypadku krajów, które są już w całości upadłe i muszą zacząć wszystko od nowa. Syria byłaby ciekawym miejscem na taki eksperyment, albo Iran, gdyby rzeczywiście upadła tam islamska teokracja. Ale w istniejących demokracjach trzeba raczej zmieniać istniejące struktury, a nie pisać zasady od nowa. Element losowy, a przynajmniej większą wagę konwencji obywatelskich czy ruchów oddolnych trzeba stopniowo wprowadzać do systemu. I moim zdaniem coś musi przy tym zniknąć, nie możemy myśleć o demokracji w kategoriach świętych krów. Na całym świecie są ciała polityczne, które nie spełniają swojej roli, nikogo nie reprezentują, a pomimo to wciąż są częścią ustroju. W Wielkiej Brytanii Izba Lordów to relikt przeszłości. Nie ma pewności, że Lordowie w ogóle są potrzebni, dane pokazują, że Izba nie dokonuje istotnych korekt względem tego, co wychodzi z Izby Gmin.

Nasze systemy demokratyczne trzeba otwierać na obywateli. Ale to strategia długoterminowa, takich zmian nie można wprowadzać na siłę, błyskawicznie. Do tego trzeba zresztą dodać kwestie edukacyjne. Co z tego, że w wielu miejscach mamy już konwencje obywatelskie czy inne formy wyrażania zdania przez demokrację bezpośrednią, skoro zdecydowana większość ludzi nie wie o ich istnieniu? To trzeba spopularyzować, a najlepiej po prostu pokazać, że takie rozwiązania działają i to lepiej niż konwencjonalna polityka realizowana przez partie. Tylko wtedy spełnimy kryteria demokracji będącej rzeczywiście ustrojem, w którym władza należy nie do polityków, nie do oligarchów, ale do obywateli.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ MAZZINI

eprasa.pl 5357578c79

Wehikuł posad



ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

ANNA DĄBROWSKA, KATARZYNA KACZOROWSKA

Sieć Badawcza Łukasiewicz miała być pomostem między polską nauką a gospodarką. Ale nad instytucją wciąż ciąży polityczny grzech założycielski i spór o intratne stanowiska.

Premier Mateusz Morawiecki w exposé w Sejmie w 2017 r. powiedział: „Sieć Badawcza Instytut im. Łukasiewicza będzie jedną z największych w Europie tego typu instytucji. Polska nauka w dużo większym niż obecnie stopniu stwarzać musi podstawy do rozwoju naszej gospodarki i zamożności Polaków". Centrum Sieci powstało w 2019 r. po przegłosowaniu przez PiS specjalnej ustawy. Zapewniano, że chodzi o efektywną współpracę 38 instytutów badawczych (ich liczbę zredukowano do 22) z biznesem. Warszawskie Centrum miało koordynować współpracę badaczy i komercjalizować wyniki.

W marcu 2024 r. zarządzanie Siecią przejęła nowa władza, a prezesem został Hubert Cichocki.Jako pracownik naukowy Szkoły Głównej Handlowej specjalizuje się w ekonomice organizacji, pracował w NIK, a do chwili powołania w Łukasiewiczu był też wiceprezesem Centrum dla Polski (CdP) – partii, której szefem jest poseł Ireneusz Raś, założonej przez byłych polityków PO o konserwatywnym światopoglądzie. W ostatnich wyborach parlamentarnych startowali z list Trzeciej Drogi. Mówi się, że Łukasiewicz w rękach CdP to skutek podziału stanowisk w koalicji rządowej.

Po wewnętrznych audytach i kontroli NIK ujawniono, że Centrum, które miało pomagać instytutom, często pozorowało pracę. Przez pięć lat, choć nakazuje to ustawa, Sieć nie dorobiła się strategii, za to pompowano krocie w tworzenie wrażenia wielkiego sukcesu. Z wyników kontroli NIK ogłoszonych wiosną 2025 r.: „W latach 2019–2024 (I półrocze) na działalność Sieci (...) wydano z budżetu państwa ponad 2,8 mld zł. Jednak mimo przekazania tak dużych środków podejmowane przez Sieć przedsięwzięcia nie przynosiły żadnych albo jedynie niewielkie rezultaty". Dwa lata temu pisaliśmy w POLITYCE o pensjach prezesów, dochodzących do 56 tys. zł, o aneksach do umów podpisywanych przed wyborami w 2023 r., wydłużających okresy wypowiedzenia w przypadku odwołań, o tworzeniu departamentów z trzema dyrektorami, bez żadnych podwładnych.

Cenne umowy

Były prezes Sieci (wcześniej dyrektor PORT Łukasiewicza we Wrocławiu) Andrzej Dybczyński, który przed wyborami w 2023 r. aneksował umowy ▶

eprasa.pl 5357578c79

▶ dyrektorów instytutów, broni tej decyzji, choć sam przegrał proces, w którym domagał się wypłacenia na podstawie umowy blisko 350 tys. zł. – *Chciałem zabezpieczyć ludzi, którym w perspektywie nadchodzących miesięcy groziła utrata pracy z powodów pozamerytorycznych. To był pomysł na stabilizację kadry zarządzającej w jednostce naukowej. Tylko tyle i aż tyle* – mówi. Prokuratura właśnie umorzyła postępowanie w sprawie przekroczenia przez niego uprawnień w związku z tymi aneksami.

Obecny prezes Centrum: – *Na działania niecelowe oraz ryzyko niegospodarności wskazywał raport NIK, także Sąd Okręgowy w Warszawie stwierdził, że umowy zawierały zapisy sprzeczne z ustawą kominową. Nasi pełnomocnicy po analizie akt postępowania wnieśli zażalenie na decyzję prokuratora. Nie można akceptować praktyk będących symbolem kosztownego uprzywilejowania kadry zarządzającej kosztem inwestycji w rozwój innowacyjności.*

Oprócz NIK do Sieci wkroczyła też Krajowa Administracja Skarbowa. Kontrola trwa, ale do prokuratury poszły już pierwsze zawiadomienia w związku z podejrzeniem popełnienia przestępstw nadużycia uprawnień przez byłe kierownictwo Centrum Łukasiewicz. Łączną kwotę nieprawidłowości, której dotyczą zawiadomienia, wyliczono na ok. 40 mln zł. Centrum Łukasiewicz wystąpiło również z powództwami wobec byłych menedżerów o zwrot 1,4 mln zł nienależnie wypłaconych środków publicznych. Toczą się też śledztwa w sprawie licznych umów, które zostały opłacone, a nie ma efektów tych prac.

W lutym 2025 r. w katowickiej prokuraturze ruszyło śledztwo z zawiadomienia prezesa Sieci w sprawie niekorzystnego rozporządzania pieniędzmi otrzymanymi przez Instytut Technik Innowacyjnych EMAG w Katowicach – dostał ponad 7 mln zł na projekt badawczo-rozwojowy, który nigdy nie powstał. W zawiadomieniu do prokuratury czytamy, że prawie 4 mln zł przekazano podwykonawcy Tokarski Tadajewski Palade sp. z o.o. bez przetargu i bez należytego rozliczenia prac. Celem była „innowacyjna platforma analityczna", ale realizacja „miała charakter pozorny". Prezes Sieci pisał w zawiadomieniu o konieczności zweryfikowania, czy nie doszło do niezgodnego z ustawą finansowania ostatniej kampanii wyborczej do parlamentu na rzecz PiS. Wskazywał na daty przelewów i na fakt, że osoby powiązane ze spółką orbitują wokół partii Jarosława Kaczyńskiego.

Marcin Palade to kojarzony z prawicą ekspert od sondaży, który po przejęciu władzy przez PiS na krótko został wiceprezesem Polskiego Radia. Głębsze, biznesowe relacje z dawnym obozem władzy miał Radosław Tadajewski, kluczowa postać tzw. układu wrocławskiego – towarzyskiej sieci skupionej wokół polityków takich jak Adam Hofman czy Dawid Jackiewicz. Jak podawał Jacek Harłukowicz w Onecie, za rządów Zjednoczonej Prawicy związane z Tadajewskim podmioty z różnych kontrolowanych przez państwo źródeł otrzymały co najmniej 63 mln zł. Te same podmioty były również zaangażowane w kampanie wyborcze PiS i prezydenta Andrzeja Dudy.

Różnimy się od poprzedników

Zmiana władzy bynajmniej nie uchroniła Sieci od wizerunkowych kłopotów. W sierpniu 2024 r. Wirtualna Polska opisała, jak Bartłomiej Ciążyński – jako wiceminister sprawiedliwości – zabrał rodzinę na wakacje do Słowenii służbowym autem i dwukrotnie je zatankował, płacąc służbową kartą. Auto i karta należały do Polskiego Ośrodka Rozwoju Technologii (PORT, należącego do Sieci), gdzie pracował do momentu objęcia teki wiceszefa resortu sprawiedliwości. Po tych doniesieniach początkowo zaprzeczał, potem się przyznał, pieniądze oddał i podał się do dymisji. Stracił też posadę w Łukasiewiczu, gdzie przebywał na bezpłatnym urlopie na czas pracy w resorcie. O kulisach nominacji Ciążyńskiego, byłego wiceprezydenta Wrocławia, w wywiadzie dla „Gazety Wrocławskiej" opowiedziała była już dyrektor PORT prof. Alicja Bachmatiuk, twierdząc, że dostała polecenie, aby nowy dyrektor otrzymał pensję w wysokości 40 tys. zł. Prezes Cichocki, gdy wybuchła afera z wyjazdem na wakacje, tłumaczył: „Tym różnimy się od poprzedników, że nie ma przechodzenia do porządku dziennego nad nieprawidłowościami, nawet jeśli dotyczą nowo powoływanych urzędników".

Samą prof. Alicję Bachmatiuk zastąpił były rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu prof. Jarosław Bosy. Były ważny pracownik PORT twierdzi, że obecny dyrektor dostał stanowisko, bo jego studentką była prof. Maria Mrówczyńska, wiceministra nauki związana z PSL, która odpowiada w rządzie za Sieć.

Takich nominacji było więcej. Niektóre opisywaliśmy w POLITYCE. W marcu 2025 r. znów wybuchła afera, kiedy nominację na szefa należącego do Sieci Instytutu Lotnictwa otrzymał Tomasz Szymczak, członek Koalicji Obywatelskiej. „Szef Instytutu Lotnictwa Paweł Stężycki musiał odejść ze stanowiska, żeby zrobić miejsce dla członka PO" – pisały media. Kulisy ujawniła wp.pl. Okazało się, że 10 członków Rady Instytutu Lotnictwa głosowało przeciw kandydaturze Szymczaka. Mimo to Cichocki powołał go, ale Szymczak po kilku dniach złożył rezygnację. Tymczasem Stężycki niedawno złożył do sądu prywatny akt oskarżenia przeciw Cichockiemu. Zarzuca mu, że w jednym z wywiadów „poniżył go w oczach opinii publicznej".

Z kolei przeciwko Stężyckiemu zawiadomienie do prokuratury wniosła Krajowa Administracja Skarbowa – po audycie dotyczącym gospodarowania środkami w instytucie, kiedy nim kierował. Chodzi o kwotę ok. 20 mln zł. Cichocki wyjaśnia, że poziom rotacji w pionie badawczym w ostatnim roku kadencji Stężyckiego wynosił 35 proc., za tej prezesury doprowadzono też do faktycznej likwidacji Centrum Technologii Bezzałogowych.

Grzech założycielski

Nasi rozmówcy z Sieci, pracownicy naukowi, mówią, że ustawę napisano tak, by każda nowa władza mogła tu wsadzać swoich ludzi. – *To był grzech założycielski Jarosława Gowina i Piotra Dardzińskiego – wiceministra nauki i pierwszego prezesa Sieci. Prezesa i jego zastępców powołuje na pięć lat minister, bez konkursu i wyjaśnień. Wystarczy, że ma doktorat, zna angielski i ma trzyletnie doświadczenie na stanowisku kierowniczym. Prezes powołuje dyrektorów 22 instytutów i ich zastępców, ok. 70 osób. I tak to się kręci. A niżej etatów do zagospodarowania jest ponad 7 tys.*

O Sieci znów zrobiło się głośno na początku maja za sprawą artykułów w portalu zero.pl. W większości traktowały o sprawach opisanych wcześniej przez tych samych autorów w wp.pl. Kierownictwo Sieci zarzuciło im, przede wszystkim Patrykowi Słowikowi, dezinformację. I konflikt interesów, bo jednym z publicystów Zero krytykujących Sieć jest jej

eprasa.pl 5357578c79

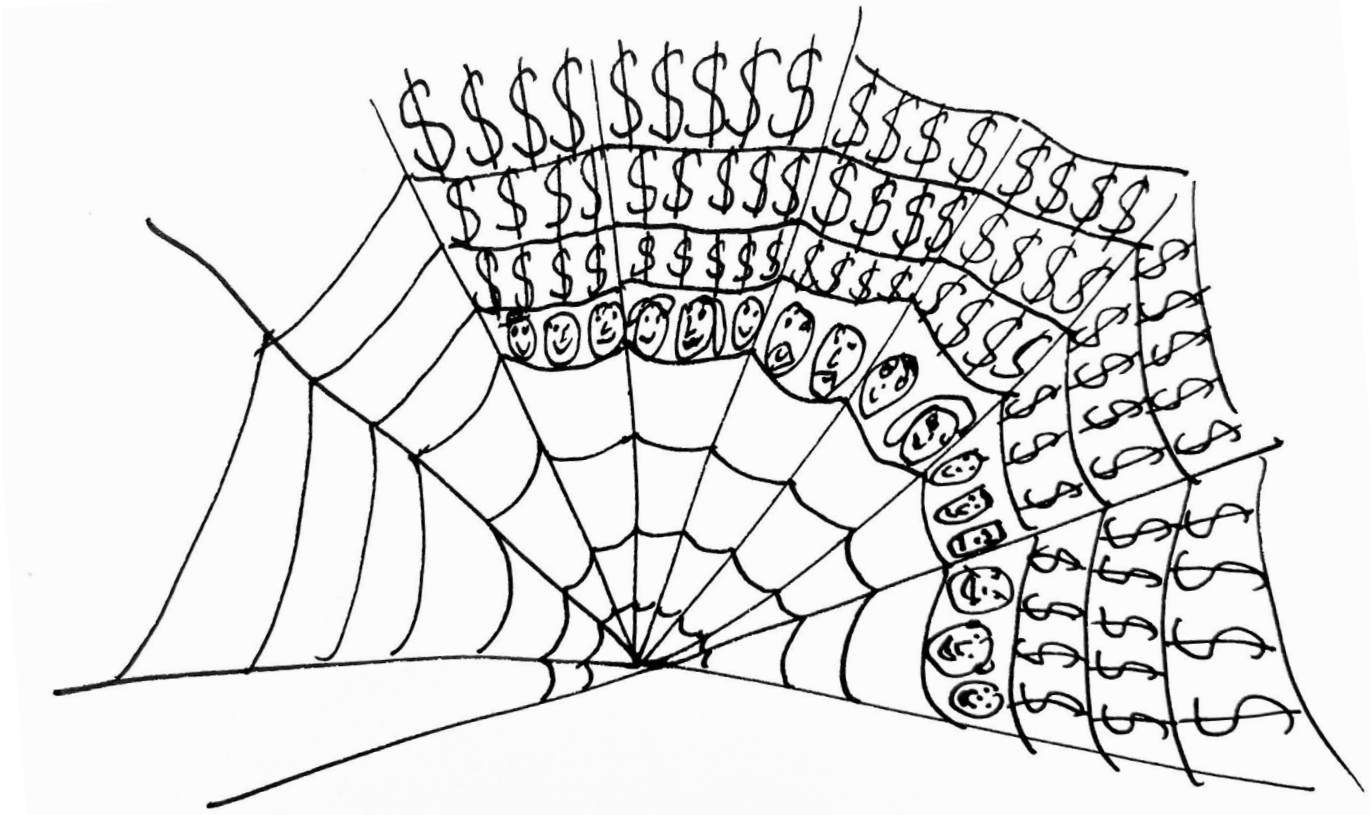

były prezes Andrzej Dybczyński, który z Siecią pozostaje w sporze sądowym. W warszawskiej centrali można usłyszeć, że to właśnie za ten cykl Słowik musiał się pożegnać ze stanowiskiem redaktora naczelnego portalu. A wywołany do tablicy Dybczyński odpowiada: – *O ile mi wiadomo, to pan Słowik rezygnację złożył tydzień przed tym, zanim cykl tekstów o Sieci ukazał się na portalu.*

Cała para w obronność

Nowy prezes Hubert Cichocki przestawia teraz Sieć na służbę wojsku. W tle są m.in.ogromne pieniądze z programu SAFE. – *Zadaniem sektora publicznego jest mobilizacja na rzecz obronności. Generuje to jednocześnie bardzo wiele szans biznesowych, szczególnie dla organizacji badawczo-rozwojowej. Branża zbrojeniowa jest dziś naszym oczywistym partnerem* – mówi. Dodaje, że prawie 70 proc. projektów na 2026 r. to przedsięwzięcia z zakresu obronności, bezpieczeństwa i technologii podwójnego (cywilnego i wojskowego) zastosowania. Gdy zostawał prezesem, było to zaledwie 10 proc. Sieć odpowiada m.in. za modernizację systemów uzbrojenia Borsuk i Piorun. – *Dużym osiągnięciem na rzecz suwerenności technologicznej w zakresie produkcji materiałów wybuchowych i amunicji jest też projekt uzyskania krajowej metody wytwarzania nitrocelulozy i nitroguanidyny wdrażany z Grupą Azoty* – podkreśla Cichocki

Jednak jego krytycy z Sieci mówią nie bez ironii: – *Jeśli w dwa lata można zmienić profil projektów z 10 proc. na 70 proc. w określonej dziedzinie, przy średniej trwania projektu od trzech do pięciu lat, to wszyscy powinniśmy klęknąć z wrażenia dla takiej mocy. A rzecz w tym, że przyjęto tak skonstruowane kryteria, by maksymalną liczbę projektów klasyfikować jako związane z obronnością. I ich liczba wzrosła tak spektakularnie, co normalnie jest niemożliwe w tak krótkim czasie i przy kilku tysiącach projektów.*

Dybczyński nie kryje, że politycy potrzebują Sieci. Dlatego pierwszy prezes, Dardziński, ogłaszał zatrudnienie 2 tys. naukowców czy podpisywał listy intencyjne, z których niewiele wynikało. – *Udało mi się – i z tego jestem dumny – wprowadzić racjonalne kryteria szacowania komercjalizacji. Wprowadziłem je wytycznymi, eliminując to, co było naszą zmorą za Dardzińskiego, a więc żonglowanie co roku kryteriami komercjalizacji tak, by pokazać wzrosty.*

Przycinanie kosztów

Kiedy KO przejmowała władzę, mówiono o bizantyjskim stylu prezesów powoływanych za PiS. Według ustawy kominowej maksymalna pensja dyrektora i jego zastępców nie może przekroczyć 10-krotności przeciętnego wynagrodzenia w sektorze przedsiębiorstw. Dybczyński pobierał 10-krotność (56 tys. zł). Cichocki zaczął ciąć koszty. Dziś pensje dyrektorów 22 instytutów są rzędu ok. 30–60 tys. zł. Cichocki pracuje za siedmiokrotną stawkę bazową, czyli 42 tys. zł miesięcznie. Zmniejszył o połowę liczbę wiceprezesów i dyrektorów departamentów. Ściął koszt zarządu Centrum z 3,8 mln zł w 2023 r. do 1,24 mln zł w 2025 r. Zmniejszył liczbę departamentów i przeprowadził warszawską siedzibę (za wynajem płaci ponad połowę mniej). W lipcu Centrum zamyka okres sprawozdawczy, który trafi na biurko ministra nauki.

W 2025 r. Sieć osiągnęła przychody ok. 1,9 mld zł. W ramach KPO 12 projektów zgłoszonych przez jej instytuty otrzymało ponad 735 mln zł na infrastrukturę badawczą. Z budżetu państwa SBŁ dostała w tym roku prawie 465 mln zł (PAN dostał 129 mln zł), z czego 51 mln przeznaczono na bieżące koszty zarządzania.

– *Już dziś mogę powiedzieć, że ogłosimy znakomite wyniki finansowe. Obejmują m.in. 17-proc. wzrost przychodów z usług badawczo-rozwojowych i 19 proc. więcej środków z dotacji zagranicznych.* Jednak nastroje w instytutach nie są tak optymistyczne. Pracownik Sieci: – *Na koniec z tego wszystkiego wyłoni się obraz, na którym widać, że nie było i nie ma pomysłu na taką rozbudowaną, korporacyjną organizację, poza tym, że trochę ludzi ma prestiżowe posady za niezłe pieniądze. Ale każda władza holuje ten wehikuł...*

ANNA DĄBROWSKA
KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 5357578c79



PSZOK i niedowierzanie

Obywatel coraz więcej płaci za wywóz odpadów, ale gdy musi się ich pozbyć sam, traktowany jest jak intruz lub potencjalny oszust.

ZBIGNIEW BOREK

Niewygodne, niepraktyczne, niedostępne, oddalone, zatłoczone, przepełnione, chaotyczne, skomplikowane, nieprzyjazne, niewydolne, frustrujące. Takie bywają według użytkowników polskie PSZOK-i, czyli Punkty Selektywnego Zbierania Odpadów Komunalnych. Od 2013 r. każda gmina ma ustawowy obowiązek prowadzenia przynajmniej jednego (może też podpisać umowę z sąsiednią gminą). Dziś w kraju jest ok. 2130 PSZOK-ów (gmin – 2479). Ich zadaniem jest przyjmowanie od mieszkańców odpadów, których nie można wyrzucić do pojemników koło domu: gruzu, elektrośmieci, mebli, opon, chemikaliów. Ma to ograniczyć dzikie wysypiska i zwiększyć poziom recyklingu, co więcej – zrobić to taniej niż w systemie odbioru „od drzwi do drzwi". Na oko punkty też wyglądają sensownie: wyznaczone sektory, oznaczone kolorami kontenery, waga i schludnie ubrani pracownicy. Z Trójmiasta, Szczecina, Warszawy, z miast wojewódzkich i powiatowych oraz z gminnych wsi płyną jednak sygnały, że PSZOK-i są torem przeszkód, na którym logika przegrywa z regulaminem. Unijne wymogi, ambicje państwa, możliwości samorządów i doświadczenia mieszkańców co rusz przechodzą na PSZOK-ach crash testy.

Problem zaczyna się od paradoksu: infrastruktura niby jest w całym kraju, ale dysproporcje są ogromne. Tylko większe miasta mają więcej niż jeden PSZOK, to jednak nie załatwia sprawy.

eprasa.pl 5357578c79



© SHUTTERSTOCK

Krynica Morska ma swój punkt gminny dla 1,4 tys. mieszkańców, a w Warszawie na każdy z pięciu punktów przypada niemal 300 razy więcej mieszkańców (prawie 400 tys. osób). Kolejki, ograniczone godziny otwarcia i coraz bardziej szczegółowe wymagania dotyczące segregacji sprawiają, że wielu mieszkańców miast i gmin czuje się bardziej petentami niż partnerami systemu ochrony środowiska. Przeprowadzka, remont czy porządki w piwnicy mogą zamienić się w logistyczną operację wymagającą samochodu, wolnego dnia i oceanu cierpliwości.

Od 2025 r. jesteśmy świadkami eskalacji problemu, bo do przydomowych pojemników nie można już wyrzucać zużytej odzieży i innych tekstyliów (o wyjątku niżej). Z obawy o wzrost kosztów gminy nie dostawiły kubłów na tekstylia do tych na szkło, plastik czy makulaturę. Najpierw ofiarą padły kontenery na używaną odzież: miała być zdatna do użytku, ale mieszkańcy zaczęli wrzucać tam tekstylne śmieci. Pojemniki są więc zapchane, wokół nich walają się szmaty, coraz więcej z nich znika z naszych ulic i osiedli, bo operatorom się nie opłacają. Mieszkańcy ze starymi ubraniami i innymi szmatami trafiają coraz częściej do PSZOK-ów (notują nawet 200–300 proc. wzrostu odbieranych tekstyliów), co wydłuża kolejki i potęguje galimatias. – *Szlag człowieka trafia* – powtarzają rozmówcy reportera.

Gra w kolory

Przed szlabanem stoi Robert. Przyjechał osobówką, w środku tylko cztery opony, zakłada, że tym razem pójdzie gładko, ale i tak się stresuje, bo „tu nigdy nic nie jest pewne". Przekonał się o tym, gdy pomagał koledze: dostawczakiem dowieźli odpady po kapitalnym remoncie mieszkania. Gruz, panele podłogowe, trochę zepsutych narzędzi i zdezelowana suszarka do prania, wszystko posegregowane i osobno popakowane. Okazało się, że trzeba to jeszcze zważyć – ale nie razem, tylko osobno. Po wyrzuceniu każdej frakcji do kontenera wjeżdżali więc na wagę. Gdy oni robili kółka samochodem na placu, kierowcy czekający na wjazd rysowali kółka na czole. – *Ja im się nawet nie dziwię, bo kolejka wciąż rosła* – mówi Robert. I dodaje: – *Nie wiem, po co tyle gadania o gospodarce obiegu zamkniętego i ekoodpowiedzialności, skoro potem człowiek trafia na PSZOK.*

Gdy reporter rozmawia z Robertem przed szlabanem przy ul. Małyszyńskiej w Gorzowie Wielkopolskim, starszy mężczyzna ▶

eprasa.pl 5357578c79

▶ stoi już na wadze ciężarówką po brzegi wypełnioną ogrodową zielenią i ziemią.

– *Będzie tona* – ocenia. Obowiązują jednak limity. Na mieszkanie w bloku oddasz najwyżej reklamówkę obierek, ale na mieszkanie z wyjściem na własny ogródek przysługuje 200 kg zielonego. Na dom jednorodzinny – 600 kg. U starszego kierowcy niby jest pokrycie: deklaruje, że ma dom i dwa mieszkania z ogródkiem. Dom jednak formalnie należy do córki, wagowy pozwala więc rozładować tylko 400 kg. A pozostałe 600 kg dopiero, gdy córka dotrze z upoważnieniem. Szkopuł w tym, że wyjechała nad morze. – *To musi pan jechać po upoważnienie nad morze* – słyszy kierowca. „Bądź pan człowiekiem" nie działa, dzwoni więc do córki. Dorosła kobieta błaga przez telefon i wagowy łaskawie zgadza się na upoważnienie mailowe.



Arrian i Mariusz w PSZOK-u w Zielonej Górze. Przywieźli tu resztki z remontu.

Jakub wyremontował mieszkanie, pozostałości posegregował, spakował w worki, wrzucił do przyczepki i zawiózł na Małyszyńską. Tu się dowiedział, że gruz nie może być w worku (ale kawałki regipsów mogą). Przesypywał więc i segregował na nowo pod okiem wagowego, po czym ten wręczył mu miotłę i kazał posprzątać. „Następnym razem, jak się panu nie chce, to może pan zamówić kontener. Zapłaci pan i po kłopocie" – zachęcał.

Mieszkaniec podgorzowskiej Kłodawy do gminnego PSZOK-u zawiózł zderzak i błotnik, które po kolizji samochodu wymienił w domowym garażu: – *Usłyszałem, że z warsztatów nie przyjmują. Pytałem, jaki warsztat, nie mam przecież żadnego warsztatu. Czy warsztat przywoziłby dwie części? Nic nie pomagało, bo „obowiązuje regulamin"*. Wściekły wrócił do siebie, pociął zderzak na łatki, błotnik pozginał w harmonijkę i wrzucił do pojemnika przy domu.

Natalia przywiozła brodzik do punktu w powiatowych Strzelcach Krajeńskich. Wylegitymowała się dowodem osobistym. – *Ma pan komputer, można sprawdzić, że mieszkam w tej gminie i płacę za śmieci* – tłumaczyła. Ale pan z obsługi żądał potwierdzenia opłat, bo „komputer nie ma łącza z gminą, a w dowodzie osobistym nie ma adresu zamieszkania". Podobną odpowiedź inny mieszkaniec usłyszał tu rok wcześniej. Wrócił do domu, żeby przywieźć dowód opłaty. Wtedy się dowiedział, że musi okazać dowód osobisty – ale matki, bo to ona wniosła opłatę. „Skąd mam wiedzieć, że pan tej faktury nie ukradł komuś o tym samym nazwisku?" – pytał wagowy.

Mapa upokorzeń

Mieszkańcy przegrywają z biurokracją i podejrzliwością personelu. Można by wręcz stworzyć polską mapę upokorzeń. Oto w jednym z gdańskich punktów odmówiono przyjęcia odpadów od osoby, która przyszła pieszo z siatką elektrośmieci, bo „przyjmujemy tylko w autach". Dominice, która przyniosła śmieci do PSZOK-u przy ul. Tatarskiej w Warszawie, kazano się ustawić w kolejce między dwiema śmieciarkami: „Nie było wesoło, jak kierowca przede mną zaczął cofać". Marek też był przy Tatarskiej: „Elektrośmieci? Zbyt zmieszane, niech pan to wystawi na OLX. Szyba hartowana? Musi pan to zutylizować komercyjnie".

W szczecińskich Ekoportach weryfikacja tekstyliów przybiera niekiedy formę śledztwa. Internauci ironizują: „Jak ktoś ma udowodnić, że odzież, którą przywiózł, nosił w Szczecinie? Trzymać rachunki za stare gacie?". Nowoczesny punkt w Wadowicach, zbudowany za prawie 3 mln zł, odmawia przyjęcia zużytego oleju silnikowego. Trzeba jechać 50 km do Krakowa. „Państwo oszczędza na przyjmowaniu zużytego oleju albo starych opon, by później wydawać miliony na sprzątanie tych samych odpadów z lasów" – komentuje internauta.

Punkt w Serocku niedaleko Warszawy, otwarty od godz. 9 do 15, jest praktycznie niedostępny dla pracujących mieszkańców. Wymiana kontenerów odbywa się w godzinach pracy PSZOK-u, co paraliżuje ruch na ulicy i zmusza do czekania kilkadziesiąt minut na rozładunek. – *PSZOK jest dla ludzi czy ludzie dla PSZOK-u?* – pyta Lucyna Pruska. W marcu napisała petycję do burmistrza, w 17-tysięcznej gminie zebrała 1,2 tys. podpisów, ale na razie doczekała się tylko obietnic, a nie zmian. – *Przecież finalnie chodzi o to, żeby mieszkańcy przywozili odpady tam, a nie do lasu* – dodaje.

Mieszkańcy wielu miast skarżą się na fizyczne trudności przy rozładunku. – *Jaki mają sens te wysokie balustrady, przez które przerzuca się gabaryty? Albo to, że plastiki trzeba wrzucać górą do kontenera wielkości wagonu? Trochę pomyślunku by się przydało* – mówią Arrian i Mariusz, którzy resztki z remontu przywieźli do PSZOK-u w Zielonej Górze. „Te pszoki to nieporozumienie. Ci, co tam siedzą, to jacyś królowie, mają klienta za nic. Na kpinę zakrawa czas obsługi klienta, bo póki jeden nie zostanie do zera rozliczony ze śmieci, drugi nie wjedzie na wagę" – napisał Szymon Łabuda w social mediach po tym, jak dwie godziny czekał przed szlabanem w Gorzowie, aż rozładuje się bus ze zbiórek gabarytów na osiedlu.

Głos na forach takich jak Reddit jest bezlitosny dla systemu. Wątek „Dla sortowni śmieci jesteś śmieciem" pokazuje skalę frustracji. Użytkownik Straight-Cycle-6597: „Zajechałem na PSZOK, odpokutowałem swoje w kolejce, dokumenty w ręku, zobaczyłem twarz w okienku i wiedziałem, że zaraz się zacznie... Pierdyliard pytań – a dlaczego w Gdańsku, skoro właściciel jest zameldowany w Gdyni, a dlaczego akt niepotwierdzony za zgodność, a co to za upoważnienie napisane od ręki...". Użytkownik Endurobaq: „Przytaszczyliśmy 5 opon i afera, bo komplet to wg punktu 4 opony. Nie mogą pojąć, że w samochodzie jest 5 opon z zapasem". Kolejna historia, z Tczewa, kończy się stratą 500 zł za wynajem busa, bo pracownik nie potrafił wpisać w system adresu działki.

„Jakby pracowali tam za karę" – piszą internauci. Wskazują, że pracownicy „zmuszają ludzi do powtórnego przyjeżdżania następnego dnia mimo braku obłożenia punktu". Internauta ZVom_PL po odmowie przyjęcia eternitu (mimo wcześniejszego umówienia) i mebli, nie wytrzymał: „Wywaliłem im to do rowu przy bramie. Ja nie mam siły na tę instytucję". Na forum wybrzmiewa smutna konstatacja użytkownika AvailableUsername404: „Masz wrażenie, że chłop naprawdę robi ci po prostu na złość i nie chce tego przyjąć, bo jest panem i władcą śmietnika". Mieszkańcy z zazdrością opisują systemy z zagranicy, gdzie nikt nie pyta o dokumenty albo wystarczy raz wyrobić kartę klienta, odpady zrzuca się z jednej rampy do położonych niżej kontenerów, a „personel jest po to, by pomagać".

eprasa.pl 5357578c79

Ministerstwo Klimatu i Środowiska łaskawie zgodziło się, żeby np. dziurawą skarpetkę czy zużytą ścierkę wrzucać do odpadów zmieszanych. Niektóre miasta wprowadziły mobilne punkty odbioru tekstyliów, np. w Gorzowie pojawiają się na osiedlach raz na kwartał. – *Staramy się iść mieszkańcom na rękę także na PSZOK-u. Nie wymagamy dowodu opłaty za śmieci, wystarczy wypełnić na miejscu oświadczenie właściciela nieruchomości. Nie każdy pamięta, żeby zabrać dowód osobisty, i nie każdy ma aplikację mObywatel, i to też potrafimy zrozumieć* – mówi Łukasz Ćwiertniak. Chwilowo zastępuje pracownika w drugim gorzowskim punkcie przy ul. Fieldorfa. Na stałe jako miejski referent ds. PSZOK weryfikuje wypisywane przez mieszkańców oświadczenia: czy taka osoba istnieje, czy mieszka w Gorzowie i czy płaci opłaty za wywóz śmieci. – *Generalnie nikt nas nie oszukuje* – zapewnia.

Klient awanturujący się

Życie po drugiej stronie barykady nie jest jednak usłane różami. W szczecińskim Ekoporcie przy ul. Arkońskiej po odmowie przyjęcia odpadów z działki klient zagroził śmiercią pracownikowi i jego rodzinie. Gorzowski pracownik został pobity: – *Klientowi nic się nie podobało. Szlaban jest chory, oświadczenie do wypełnienia durne, waga to idiotyzm. Miotał bluzgi, choć tłumaczyłem, że taki jest regulamin. W końcu zaczął mnie szarpać. Skończyło się wizytą w szpitalu: mnie zbadali, czy szczęka cała, on połamał sobie palce.*

– *Kiedyś powietrze po kłótniach z klientami uchodziło ze mnie przez cały weekend. Teraz klient się denerwuje, nie ja* – mówi wagowy z 17-letnim stażem w dużym PSZOK-u w północno-zachodniej Polsce. Przepuszcza załadowane samochody, choć niektórzy nie mają rachunków za odpady, a nawet dowodu osobistego. Co przywieźliśmy? Płaci pan za śmieci? Skąd pani jest? A jaki ma pani kod pocztowy? Krótkie pytania wystarczą do weryfikacji. Kombinatorów poznaje od razu. Jak na zamówienie podjeżdża gość wypasionym Range Roverem: w bagażniku trzy drukarki wielkości sporej komody. – *Działalność gospodarcza* – wyrokuje wagowy. Kierowca macha mu przed nosem, że żadna firma, płaci podatki, ma trzy mieszkania i w każdym drukuje. – *PSZOK jest dla indywidualnych mieszkańców, nie dla firm* – tłumaczy wagowy. Wskazuje drogę do biur. – *Ja za cienki w barach jestem, ale jeśli technolog uzna, że drukarki są domowe, to OK.*

– *Jak byk napisane: „tekstylia". A wrzucą kartony, choć obok stoi kontener na papier* – wskazuje drugi wagowy. Prowadzi przez plac. – *Albo tu: „plastiki". To czemu wrzucają metalowy wózek? Na bramie też traktują człowieka jak śmiecia.*

– *Im lepiej ubrany i im lepszym wozem zajeżdża klient, tym większe prawdopodobieństwo, że będzie awanturujący się* – opowiada wagowy z kolejnego miasta. Gdy taki klient stoi w kolejce, już okazuje zniecierpliwienie. Chodzi wkoło samochodu, kręci się, tupie. Za szlabanem jakby zwalniał: a to nie może znaleźć dowodu, a to nie rozumie, że odpady musi dostarczyć już posegregowane. Najlepiej, żeby wszystko za niego zrobił wagowy i jeszcze posprzątał. Zasady natomiast są proste – klient ma postępować wedle regulaminu. W regulaminie zapisano też, że jednorazowo na placu może być jeden samochód, choć plac pomieściłby kilka. – *A jak jeden pan porysuje auto drugiemu i ubezpieczyciel odmówi odszkodowania, bo złamano regulamin, to ja mam płacić?* – pyta wagowy.



Łukasz Ćwiertniak, referent ds. PSZOK w Gorzowie Wlk. Chwilowo zastępuje pracownika w punkcie przy ul. Fieldorfa.

© ZBIGNIEW BOREK

Śmieciowe bezhołowie

Prawie 70 proc. spółek komunalnych prowadzących PSZOK-i dopuściło się nieprawidłowości, w co drugim przypadku chodziło o odbiór odpadów – wynika z raportu Najwyższej Izby Kontroli z 2023 r. Informację prasową na ten temat NIK zatytułował: „Śmieciowe bezhołowie". Czytamy w niej, że wbrew zasadom nie przyjmowano niektórych rodzajów odpadów, magazynowano odpady niebezpieczne niezgodnie z przepisami, przekraczano limity odpadów i przyjmowano je od nieuprawnionych podmiotów. Żadna ze skontrolowanych gmin nie sprzedawała surowców wtórnych, w żadnej nie utworzono punktu napraw i ponownego użycia produktów (dziś w niektórych już działają jako tzw. pszokowiska) – m.in. z tego powodu rosną koszty utylizacji odpadów – rekordowo o 256 proc. Część przerzucono na mieszkańców – opłaty za odpady wzrosły nawet o 53,8 proc.

W Sejmie posłowie alarmują o systemowym chaosie. Posłanka Lidia Czechak w interpelacji: „Powoduje to podrzucanie odpadów przez mieszkańców z jednej gminy do drugiej, ponieważ w jednej gminie można oddać konkretne rodzaje odpadów (...), podczas gdy w sąsiedniej gminie obowiązują inne zasady". Ministerstwo Klimatu i Środowiska zapowiada nowelizację przepisów zwiększającą dostępność punktów. Przede wszystkim jednak wskazuje na autonomię samorządów, którym podlegają PSZOK-i.

– *Gminy bardzo różnie je organizują. Są punkty nowoczesne, dobrze wyposażone i sprawnie zarządzane. Zdarzają się jednak takie, które przypominają nielegalne wysypiska. Widziałem miejsca, gdzie mieszkańcy przywozili odpady praktycznie bez żadnej kontroli* – mówi Tomasz Kaczmarek, ekspert Instytutu Ochrony Środowiska – Państwowego Instytutu Badawczego. Jak zauważa, samorządy od lat zwracają uwagę na brak narzędzi prawnych do weryfikacji osób korzystających z PSZOK-ów. – *Samo żądanie okazania dowodu osobistego budzi wątpliwości prawne* – dodaje. – *W praktyce dochodzi do kolizji między potrzebą kontroli dostępu do PSZOK-ów a ochroną prywatności mieszkańców. To problem, który wymaga rozstrzygnięcia na poziomie ustawowym, choć nie wydaje się, żeby obecnie należał do najpilniejszych tematów legislacyjnych.*

Gminni urzędnicy i operatorzy punktów mają swoje argumenty. Muszą pilnować, aby korzystali z nich mieszkańcy finansujący system opłat. Muszą kontrolować, kto dostarcza śmieci i czy mieści się w limitach, bo inaczej zasypałyby ich góry odpadów, a koszty utylizacji rosłyby bez końca. Tyle że efekt końcowy często wygląda jak klasyczna administracyjna nadgorliwość, a obywatel ma poczucie, że państwo i samorząd oczekują od niego coraz więcej, oferując coraz mniej. A największy paradoks polega na tym, że do PSZOK-ów trafiają najbardziej lojalni uczestnicy systemu. Nie ci, którzy wyrzucają gruz do lasu, a stare opony przy drodze. Tylko ci, którzy chcą postępować zgodnie z prawem.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 5357578c79

Psyjaciele



Kluska, pies dogoterapeutki i studentki medycyny Małgosi Brzozowskiej, na oddziale paliatywnym WUM

eprasa.pl 5357578c79

Czy zwierzęta to nasi bliscy i czy wobec tego mogą nam towarzyszyć w hospicjum? Jest szansa, że wkrótce będzie to uregulowane ustawowo.

AGNIESZKA SOWA

W Klinice Medycyny Paliatywnej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego pamiętają, jak płakał pan Waldemar, kiedy córka profesora Paula przywiozła do szpitala dwie jego kotki, których nie widział od kilku miesięcy. Pan Waldemar był samotny i kiedy najpierw trafił na oddział onkologiczny, a potem paliatywny, koty karmił sąsiad. A on zamartwiał się, że czują się opuszczone.

– *Ci, którzy mówią, że koty nie przywiązują się do ludzi, tylko do miejsca, powinni zobaczyć, jak one się do niego tuliły* – mówi dr hab. n. med. Tomasz Dzierżanowski, kierownik i założyciel Kliniki. Jego córka na prośbę pana Waldemara znalazła jego kotkom nowy dom, żeby nie siedziały same w pustym mieszkaniu.

Zakaz, którego nie ma

Pan Waldemar nie przypuszczał, że zwierzęta mogą przebywać w szpitalu. Był naprawdę zaskoczony, kiedy profesor zaproponował mu, że zorganizuje odwiedziny. – *Nie jest to uregulowane w żaden sposób* – mówi prof. Dzierżanowski. – *W Polsce nie ma przepisów, które by zakazywały odwiedzin zwierząt w szpitalach. W ogóle nie ma żadnej regulacji, która by się odnosiła do tego problemu. Natomiast takie zakazy, wydawane w sposób automatyczny w regulaminach szpitali, naruszają dość istotnie prawa pacjenta, wynikające chociażby z ustawy o prawach pacjenta i rzeczniku praw pacjenta z 2008 r., art. 20 pkt 2, która gwarantuje każdemu prawo do umierania w warunkach spokoju i godności. Trudno mówić o umieraniu w warunkach godności, jeżeli nie pozwolimy człowiekowi pożegnać się z najbliższymi, z bliskimi osobami, ale także z tymi najbliższymi istotami, jakimi dla wielu ludzi są zwierzęta.*

Profesor tłumaczy, że opieka paliatywna polega na uśmierzaniu cierpienia w obszarze objawów fizycznych, psychicznych, emocjonalnych, społecznych oraz duchowych. I nie da się dobrze leczyć pacjenta, jeżeli nie podejmie się działań we wszystkich tych obszarach. – *Polska medycyna często bywa ślepa i głucha na emocjonalne potrzeby chorych* – mówi prof. Dzierżanowski.

Małgorzata Członka, dyrektorka Dolnośląskiego Ośrodka Pielęgnacyjno-Rehabilitacyjnego Niebieski Parasol w Chojnowie, także uznała, że skoro nie ma zakazu, psy i koty mogą odwiedzać pensjonariuszy. A kilka przygarniętych bezdomniaków nawet mieszkało w ośrodku na stałe, co sprawiło, że legnicki sanepid wytoczył dyrektorce wojnę, domagając się, by zwierzęta zniknęły z ośrodka. Urzędnikom nie podobało się, że śpią z pensjonariuszami w pokojach, a czasem, o zgrozo, nawet na łóżku. „Gazeta Wrocławska", która opisywała wtedy ten konflikt, odpytała byłego konsultanta krajowego ds. chorób zakaźnych prof. Andrzeja Gładysza. Profesor stwierdził, że jeśli psy są zaszczepione, odrobaczone, odpchlone i zadbane, nie stanowią żadnego zagrożenia chorobowego. Dziś Betiny, suni zwanej Dyrektorką, Łapki, która straciła łapę we wnykach, i kotki Zuzki nie ma już w Niebieskim Parasolu, umarły. Podobnie jak niektórzy pensjonariusze, którzy się nimi opiekowali. Nowa dyrektorka Marta Bobik nie ma nic przeciwko czworonożnym pupilom, zatem i psy, i koty regularnie odwiedzają pensjonariuszy, jeżeli tylko rodzina je przywiezie. Ale nie współpracuje już z fundacją Podaj Łapę, skąd wcześniej pochodziły bezdomne zwierzęta, które znajdowały opiekę w ośrodku i dawały wiele radości jego ludzkim podopiecznym. – *Zwierzę towarzyszące na co dzień żyje z człowiekiem i ma te same bakterie, które ma ten człowiek, więc one nie są dla niego groźne* – mówi prof. Dzierżanowski. Przyznaje, że jako naukowiec zgłębił zagadnienie i zapoznał się z licznymi dowodami naukowymi na temat kontaktu ludzi ze zwierzętami zarówno na terenie szpitali, jak i poza nimi, ryzyka z tym związanego, jak i korzyści, które z tego wynikają. – *Co więcej, bardzo rzadko zwierzę towarzyszące jest przenosicielem infekcji. Człowiek bardzo często, więc powinniśmy się raczej bać wizyt człowieka w szpitalu i tu rzeczywiście zachowywać szczególną ostrożność, czego nie robimy.*

Karta praw

W Klinice Medycyny Paliatywnej WUM, kierowanej przez prof. Dzierżanowskiego, zwierzęta są mile widziane od samego początku istnienia oddziału, czyli od blisko trzech lat. Jesienią zeszłego roku profesor w geście symbolicznym powiesił w korytarzu kliniki, tuż przy wejściu, opracowaną przez siebie Kartę praw pacjenta do kontaktu ze zwierzętami towarzyszącymi. „Uznając, że więź człowieka ze zwierzęciem towarzyszącym stanowi istotną część życia, źródło wsparcia emocjonalnego oraz element godności osobistej, ustanawia się niniejszą Kartę jako wyraz prawa pacjenta do podtrzymywania tej więzi także w trakcie hospitalizacji i opieki medycznej", czytamy w preambule. – *To rodzaj manifestu* – przyznaje prof. Dzierżanowski. – *Wzorem Lutra, który swój przybił na drzwiach*. Po to, by społeczeństwo zrozumiało, że prawo pacjenta do kontaktu ze zwierzęciem to nie fanaberia, lecz sprawa godności i przeciwdziałania samotności.

Według prof. Dzierżanowskiego nasze społeczeństwo mierzy się z epidemią samotności, która dotyka już nie tylko seniorów, gdzie w sposób naturalny umierają równolatkowie i człowiek zostaje coraz bardziej sam, lecz ludzi w każdym wieku. A dla kogoś dotkniętego śmiertelną chorobą samotność jest podwójnie dotkliwa: nikt nie chce cierpieć ani odchodzić w samotności. Ukojeniem i ulgą może być bliskość czworonożnego przyjaciela. ▶

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 5357578c79

▶Po wywieszeniu Karty praw pacjenta ruszyła akcja zbierania podpisów. Profesor w mediach społecznościowych poprosił o poparcie i zebrał ponad 20 tys. A jego współpracownicy podjęli akcję i na petycjeonline.pl podpisy poparcia złożyło kolejne 35 tys. ludzi. Łącznie ponad 60 tys. – *Chciałem, żeby jak najwięcej osób opowiedziało się za tym, czy tak, czy nie, ale zdaję sobie sprawę, że nie jest to temat, który jest modny, z którym ja się przebiję* – mówi prof. Dzierżanowski.

Jednak się udało. Temat podjęli parlamentarzyści Koalicji Obywatelskiej i przedstawili projekt nowelizacji ustawy o prawach pacjenta. Chodzi o wprowadzenie przepisów, które pozwolą pacjentom hospicjów stacjonarnych i oddziałów medycyny paliatywnej na kontakt z własnymi zwierzętami podczas pobytu w placówce. – *W czasie prac w komisji zdrowia przepisy mogą się jeszcze zmienić, a lista placówek może zostać poszerzona* – twierdzi posłanka Katarzyna Piekarska, która razem z grupą posłów KO złożyła projekt. Jednocześnie dyrektorzy nadal mieliby prawo odmówić odwiedzin zwierzęcia, jeśli wymagają tego względy epidemiologiczne albo komfort innych pacjentów. – *Jestem pacjentką onkologiczną* – mówi posłanka Piekarska. – *I wiem, że gdybym musiała być w hospicjum czy na oddziale paliatywnym, to chciałabym móc się pożegnać z moim psem. To samo powiedziałam na debacie eksperckiej „Humanizacja opieki paliatywnej – miejsce zwierząt w systemie ochrony zdrowia", którą zorganizowaliśmy w parlamentarnym zespole ds. profilaktyki nowotworowej – RAK STOP.*



Kontakt ze zwierzęciem poprawia nastrój, przełamuje samotność. Wątpliwości mogą się pojawiać dopiero, jeśli chodzi o zwierzęta i ich dobrostan. Że są traktowane przedmiotowo jako polepszacz nastroju.

Zwierzęta ludziom

Z jednej strony chodzi o zaspokojenie potrzeby emocjonalnej umierającego człowieka. – *Pacjenci po wizycie swojego pupila stają się spokojniejsi, ich lęk ustępuje albo przynajmniej się zmniejsza* – opowiada prof. Dzierżanowski. – *Widziałem pacjentkę, której ciężki stan nagle się poprawił po spotkaniu z jej ukochanym psem, uśmiechała się, siadała w łóżku, choć wcześniej tylko leżała. To niezwykła siła psychosomatyki, której wciąż do końca nie rozumiemy.* Wbrew temu, co powszechnie sądzimy, największym problemem terminalnie chorych pacjentów nie jest ich choroba, oni zazwyczaj się z nią już pogodzili, zaakceptowali. Tym, co im najbardziej dolega, jest samotność. Bo nawet jeżeli mają bliskich ludzi, ci nie zawsze są w stanie zrozumieć, co czuje człowiek, który odchodzi. A obecność zwierzaka, który kocha, jest wierny, akceptuje, nie ocenia i nie zadaje pytań, może uczynić więcej niż najnowocześniejsze procedury medyczne.

Już dziś, mimo że sanepid się krzywi, w wielu hospicjach stacjonarnych możliwe są odwiedziny zwierząt. Jednym z takich miejsc jest Puckie Hospicjum, założone przez księdza Jana Kaczkowskiego.

Z drugiej strony jest efekt terapeutyczny, jaki wywiera opiekowanie się zwierzęciem, niekoniecznie własnym. W chojnickim DPS widzieli, jak pacjenci z otępieniem starczym, którzy najchętniej w ogóle nie wstawali i cały dzień leżeli, sami przesiadali się z łóżka na wózek, żeby dać pić kotu albo nakarmić psa. A czasem wystarcza sama obecność zwierzęcia. – *Istnieją liczne dowody naukowe, które jasno i dobitnie pokazują, że nawet krótki kontakt ze zwierzęciem terapeutycznym ma ogromny wpływ np. na obniżenie ciśnienia tętniczego czy wydzielanie hormonów* – mówi prof. Dzierżanowski. – *I nasze obserwacje to potwierdzają.* Efekt, jaki najczęściej obserwują w Klinice, to ulga w bólu, ustąpienie duszności, zmniejszenie poczucia lęku, napięcia, poprawa nastroju. Profesor przyznaje, że nie spodziewał się poprawy stanu ogólnego, a jednak u kilku pacjentów ona nastąpiła. Byli w stanie agonalnym, a po sesji terapeutycznej z psem pod okiem dogoterapeutki albo po odwiedzinach rodziny z ukochanym czworonogiem wróciła chęć do życia.

Profesor pamięta młodego, 30-letniego pacjenta Mateusza, który był w stanie

eprasa.pl 5357578c79

wegetatywnym. W Wigilię personel przebrany świątecznie chodził od sali do sali z gitarą i śpiewał kolędy. Była z nimi Kluska, pies dogoterapeutki Małgosi Brzozowskiej, studentki czwartego roku medycyny, przebrana na tę okazję za renifera. Kiedy weszli do sali Mateusza, po raz pierwszy od przyjęcia do szpitala spojrzał przytomnie i nawet się uśmiechnął. Po dwóch tygodniach mówił już pełnymi zdaniami i został wypisany do leczenia rehabilitacyjnego. – *Nie wiem, co zadziałało, pewnie wszystkie bodźce naraz, świąteczna atmosfera, muzyka, radość, Kluska, która śmiesznie wyglądała, nasze śpiewy i śmiech* – mówi prof. Dzierżanowski. – *Bo też nie traktujmy zwierząt jako panaceum na wszystko. To jest tylko jeden z elementów ludzkiego traktowania pacjenta*. Innym może być wirtualna wycieczka za pomocą okularów VR (z ang. *virtual reality* – wirtualna rzeczywistość). Czy tzw. Beauty Day raz w miesiącu. By dać, głównie pacjentkom, możliwość zadbania o swój wygląd, zmiany fryzury, zrobienia paznokci czy makijażu. Innymi słowy, by zobaczyć w umierającym nie pacjenta, ale człowieka. – *Bo opieka paliatywna to danie człowiekowi możliwości życia pełną gębą aż do ostatniego momentu* – mówi prof. Dzierżanowski.

Ludzie zwierzętom

Nie ma raczej wątpliwości, że dla komfortu i dobrostanu pacjentów w ostatnich dniach czy tygodniach życia obecność ich ukochanych zwierząt jest sprawą bezdyskusyjnie pozytywną. „Oczywiste jest, że kontakt ze zwierzęciem poprawia nastrój, przełamuje samotność", mówił w wywiadzie radiowym prof. Marcin Urbaniak. Wątpliwości mogą się pojawiać dopiero, jeśli chodzi o zwierzęta i ich dobrostan. Że są traktowane przedmiotowo jako polepszacz nastroju, zwłaszcza jeśli mówimy o obcych zwierzętach, które odwiedzają pacjentów w ramach animaloterapii.

– *Równie dobrze moglibyśmy uznać, że psy pracujące w policji czy służbie celnej są wykorzystywane, że traktujemy je przedmiotowo, a może nawet i znęcamy się nad nimi* – mówi posłanka Katarzyna Piekarska. – *To są bardzo chorzy ludzie. Umierający. Czasem mają siłę dotknąć je, pogłaskać, czasem nie. Tam bardziej chodzi o widok tego zwierzęcia, jego krótką obecność. O to, by przez chwilę nie myśleli o tym, co ich za moment czeka.*

Ale nawet jeśli ograniczymy się tylko do odwiedzin czworonożnych członków rodziny u opiekuna przebywającego pod opieką hospicjum czy oddziału paliatywnego, bo tego właśnie dotyczy nowelizacja ustawy o prawach pacjenta, to też nie sposób pominąć kwestii dobrostanu tych zwierząt. Z psami jest mniej kontrowersji ze względu na ich silnie społeczny instynkt, przywiązanie do stada i pamięć swojego ludzkiego towarzysza, opiekuna, czy nawet tęsknotę za nim. Ale już koty mają kompletnie inny repertuar naturalnych zachowań niż psy i o wiele gorzej znoszą zmianę miejsca swojego codziennego przebywania, nawet na kilkadziesiąt minut czy kilka godzin. Stres i negatywne bodźce mogą być silniejsze niż radość z kontaktu z opiekunem. „Całkowity zakaz wstępu kotów do szpitala byłby pewnie jednakową skrajnością, jak umożliwienie pacjentowi ciągłego kontaktu z kocim towarzyszem rodzinnym i narażanie go na przewlekły stres codziennych odwiedzin w szpitalu czy hospicjum", uważa prof. Urbaniak. „Nie mam gotowego zapisu prawnego, jak można by to rozwiązać. Być może trzeba zaapelować o odpowiedzialność do opiekunów".

Na szczęście ci, którzy kochają swoje zwierzęta na tyle mocno, że chcieliby się z nimi pożegnać przed śmiercią, nie chcą im sprawiać bólu. Małgosia Brzozowska, w ramach wolontariatu towarzysząca pacjentom oddziału paliatywnego, czasem z jednym ze swoich psów, owczarką australijską Kluską lub długowłosą jamniczką Zuzą – bo obie są licencjonowanymi psimi terapeutkami – pamięta sytuację, gdy jedna z pacjentek nie chciała, żeby rodzina przywiozła jej ukochanego psa. – *Bała się, że będzie to zbyt dużym stresem dla niego* – opowiada. Posłowie zatroszczyli się również o same zwierzęta. – *Nowelizacja będzie uwzględniać zachowanie ich dobrostanu* – zapewnia posłanka Katarzyna Piekarska. Po tym, jak w przestrzeni medialnej pojawiły się głosy wyrażające wątpliwości dotyczące traktowania zwierząt, zwróciła się do prawniczek zespołu o zweryfikowanie proponowanych zapisów właśnie pod tym kątem.

AGNIESZKA SOWA

© SHUTTERSTOCK

REKLAMA

www.podtezniami.pl

KLINIKA UZDROWISKOWA „POD TĘŻNIAMI" - SANATORIUM W CIECHOCINKU

Zadbaj o zdrowie. Odzyskaj energię.

KLINIKA UZDROWISKOWA „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II



LECZENIE I REHABILITACJA
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
18.06–28.06 oraz 28.06 - 27.09.2026
W ramach pobytu:
• 15 lub 20 zabiegów leczniczych
• diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
• basen solankowy
• basen wewnętrzny i zewnętrzny—do 90 minut dziennie

TURNUSY SPECJALISTYCZNE: ZDROWY KRĘGOSŁUP • NEUROLOGICZNY • DLA AKTYWNYCH BIODRA • KOLANA • BARK • ANTYSTRESOWY • KARDIOLOGICZNY Z DIAGNOSTYKĄ

* możliwa dopłata

Nowość
Pakiet
OnkoRehab
Najbliższe turnusy
28.06 albo 26.07
ZADZWOŃ
i SPRAWDŹ

PAKIET DIETETYCZNY ODCHUDZAJĄCY
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
18.06–28.06 oraz 28.06 - 27.09.2026
W pakiecie:
• opieka dietetyka i analiza składu ciała
• indywidualny plan żywienia oraz jadłospis do domu
• 15 zabiegów wspierających redukcję masy ciała
• ćwiczenia grupowe, FIT Park
• basen, sauny, łaźnie, grota solna
• konsultacje i badania lekarskie

Zeskanuj mnie

54 416 70 00
rezerwacja@podtezniami.pl
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 5357578c79



ILUSTRACJA **PATRYK SROCZYŃSKI**

Mówmy bez uprzedzenia

Rozmowa z prokuratorem Maciejem Młynarczykiem, koordynatorem ds. przestępstw motywowanych uprzedzeniami w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie, o polskich hejterach, hejcie i o tym, czy łatwiej będzie z nim walczyć.

JOANNA CIEŚLA: **– Hejt w polskiej przestrzeni internetowej tworzą głównie rosyjskie boty?**

MACIEJ MŁYNARCZYK: – Raczej nie. W każdym razie nie, jeśli chodzi o wpisy i komentarze łamiące prawo. Na kilkaset moich postępowań z tej dziedziny trafiłem na bota tylko raz. Cała reszta to byli żywi obywatele. Niektórzy korzystają ze swoich „oficjalnych" kont w serwisach społecznościowych – takich, na które wrzucają też zdjęcia ze swoją dziewczyną czy z wnuczkiem. Inni robią sporo, żeby zanonimizować swoją obecność w sieci. Ale dobry prokurator albo dobry policjant i tak ich namierza, nie wstając nawet zza biurka.

Jak?

Nie powiem. Ułatwiałbym zadanie przestępcom.

Sprawcy niespecjalnie się ukrywają, bo uważają, że racja jest po ich stronie, czy sądzą, że nikt im nic nie zrobi?

Niektórzy dają się ponieść fali społecznego resentymentu skierowanego a to przeciw imigrantom, a to przeciw osobom LGBT – zależy od okresu.

Nagle zaczynają hejtować?

Albo na przykład przyłączają się do samosądów. Nauka nazywa to „efektem Lucyfera" – dobrzy ludzie w określonych warunkach zaczynają czynić zło. Wielu naszych oskarżonych to mili sympatyczni ludzie, którzy uznali, że teraz jest czas na agresję. Niedawno przesłuchiwałem podejrzanego. Kultura, uśmiech, wzajemny szacunek. Pozytywnie nakręcony społecznik. 24 lutego 2022 r. wsiadł do samochodu i pojechał na ukraińską granicę, woził uchodźców do ich nowych, tymczasowych domów. Znajomi chcieli się zrzucić na paliwo – odmawiał. Ale teraz dołączył do tych, którzy krzyczą „Koniec gościny, niewdzięczne (...)".

Dlaczego?

Bo on nie akceptuje takiej Polski, jaką teraz mamy. Uważa, że jest niesprawiedliwa. A ci, co krzyczą o „końcu gościny", obiecują ją radykalnie zmienić. Tylko jednocześnie szczują – na Ukraińców, na Żydów, na gejów.

Czyli ten człowiek po prostu przejął pakiet.

Tak. Inni dają się podpuszczać tzw. liderom opinii – politykom, aktywistom, ludziom mediów, którzy sami oczywiście nie popełniają przestępstw w sieci. Oni tylko „informują o zagrożeniach". Na przykład codziennie wrzucają po kilka newsów o tym, że Ukrainiec napadł, Ukrainiec przypalał żelazkiem, Ukrainiec potrącił dziewczynkę na pasach. W komentarzach – nawoływanie do przestępstw, zniewagi i groźby na tle narodowościowym. Odpowiedzialność karną ponoszą komentujący. Lider opinii działa sobie dalej, kibicuje

eprasa.pl 5357578c79

ludziom po zarzutach, pomaga zbierać pieniądze na adwokatów.

Ale podobne reakcje pojawiają się też pod treściami o zupełnie innym charakterze. Jako redakcja POLITYKI w ramach podkastu psychologicznego rozpoczęliśmy podcykl poświęcony walce z hejtem. W pierwszych odcinkach rozmawiałyśmy z aktorką Barbarą Kurdej-Szatan i z ukraińską aktywistką Natalią Panczenko. Pierwsza była atakowana z motywów politycznych, druga – typowo na tle narodowościowym. Pod rolkami, które publikujemy z tych rozmów w mediach społecznościowych, pojawiło się po kilka tysięcy komentarzy, zdecydowana większość jest nienawistna. Może znaczenie ma, że do tej pory sankcje za takie działania nie były zbyt dotkliwe? W ostatnich latach skazywano najczęściej na grzywny lub prace społeczne.

To fakt – przez minioną dekadę ludzie się przyzwyczaili, że jeśli uderza się w grupy mniejszościowe, to jest szansa, że państwo „przymknie na to oko". Ale wystarczy, żeby reakcja państwa była nieuchronna. Nie musi być bardzo dotkliwa. Ja sam chętnie sięgam w takich sprawach po warunkowe umorzenie postępowania, które jest środkiem łagodnym, ale skutecznym.

Na czym to polega?

Jeżeli ktoś nie był wcześniej karany, a teraz zarzuca mu się jedno czy najwyżej kilka przestępstw, i to niezbyt drastycznych – sąd może stwierdzić winę, ale nie skazywać go i nie karać, tylko wyznaczyć mu okres próby. Sprawca pozostaje osobą niekaraną. To ich często motywuje, żeby nie przedłużać postępowania i nie mnożyć kosztów, tylko opublikować przeprosiny, naprawić szkodę i zakończyć sprawę. Zresztą dla wielu osób dokument z orłem w koronie, z ich nazwiskiem i frazą „w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej (...) uznaje za winnego" – to już naprawdę wystarczy.

Do czego wystarczy?

Żeby nie popełniali więcej przestępstw. Ja ich czasami widuję w internecie po wyroku. Najczęściej nadal mają te same poglądy, te same emocje, ten sam niechętny stosunek do mniejszości, ale już nie przekraczają granic wyznaczonych przez Kodeks karny – nie posuwają się do znieważenia, gróźb, nawoływania do nienawiści. Często nawet ostrzegają innych.

Czy wyznaczenie przez ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka w 50 prokuraturach w całym kraju wyspecjalizowanych jednostek do spraw przestępstw motywowanych uprzedzeniami i mową nienawiści sprawi, że ściganie takich sprawców będzie skuteczniejsze?



Maciej Młynarczyk, prokurator, koordynator ds. przestępstw motywowanych uprzedzeniami w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie, wiceprzewodniczący zespołu doradców prokuratora generalnego ds. przeciwdziałania mowie nienawiści i przestępstwom motywowanym uprzedzeniami.

Ze ściganiem tych przestępstw mieliśmy trzy główne problemy. Pierwszym była politycznie motywowana presja na prokuratorów. Z tym mamy spokój na jakiś czas. Drugi – to brak przygotowania. Prowadzenie tych postępowań wymaga szczegółowej wiedzy, której nie sposób nabyć z samym doświadczeniem przy prowadzeniu innych spraw – językoznawczej, historycznej, kulturowej, religijnej, ustrojowej. Nawet tożsamość sprawców ustala się zupełnie inaczej niż np. przy oszustwach internetowych. I wreszcie trzeci problem – to niedocenianie wagi tej przestępczości. Bo przecież groźby, znieważenie czy naruszenie nietykalności cielesnej to prokuratorska drobnica. Tymczasem jeżeli takie czyny są popełniane z powodu czyjegoś koloru skóry, języka czy religii – mają dużo poważniejsze konsekwencje.

Społeczne?

Na różnych płaszczyznach. Na poziomie indywidualnym to jest kwestia obaw o bezpieczeństwo własne i innych członków grupy, to samowykluczenie społeczne – ludzie przestają wychodzić z domu po zmroku, pokazywać się w miejscach publicznych. Są badania pokazujące korelację między skalą przemocy na tle rasowym czy narodowościowym a problemami zdrowotnymi czy próbami samobójczymi. Były eksperymenty naukowe pokazujące, jak niepowstrzymywana agresja wobec jednej mniejszości rozlewa się na inne, a wreszcie zaczyna dotykać grupy większościowej. Naukowcy z Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego pokazali, jak działa odwrażliwienie – kiedy nie ma żadnej reakcji na przemoc, zaczynamy się z nią oswajać, przestajemy stawać w obronie krzywdzonych.

W czasach Zbigniewa Ziobry jako ministra sprawiedliwości w prokuraturach wciąż istniała specjalizacja ds. przestępstw z nienawiści – zainicjował ją przecież jego poprzednik, prokurator generalny Andrzej Seremet.

Specjalizacja formalnie nadal istniała, ale stopniowo więdła. Wyznaczeni prokuratorzy się zmieniali i nie zapewniano im odpowiedniego przeszkolenia. Teraz każdy nowy prokurator przechodzi jednorazowe szkolenie wstępne, a potem co roku także pogłębione, trzydniowe szkolenie doskonalące, będące też okazją do wymiany doświadczeń. Prowadzą je eksperci z takich dziedzin jak językoznawstwo, informatyka śledcza czy ekstremizm polityczny. I psychologowie – bo prokuratorów trzeba przygotowywać na trudne sytuacje. Mało kto w prokuraturze musi się mierzyć z taką agresją jak specjaliści od tych spraw.

Dlaczego?

Dla wielu naszych „klientów" z tej dziedziny codzienna agresja, zwłaszcza internetowa, to sposób na życie, zdobywanie popularności, zarabianie pieniędzy. Zdarza się, że biorą na celownik również prokuratorów. Na dłuższą metę zupełnie im się to nie opłaca, ale w tym uniwersum niewielu myśli długofalowo.

Jeśli chodzi o doświadczenie, może pan podawać własny przykład. Jaką ma pan obecnie statystykę wykryć i skazań w sprawach o przestępstwa z nienawiści?

Przeprowadziłem kilkaset postępowań z tej kategorii, dotyczących łącznie ok. 2 tys. przestępstw. Miałem jedno uniewinnienie – od pojedynczego czynu, i jedno umorzenie uchylone przez sąd. Ze spraw skierowanych do sądów ponad 95 proc. skończyło się dokładnie zgodnie z moimi wnioskami. Z kolei wśród wykrytych sprawców internetowych przestępstw prawie 80 proc. to przypadki, kiedy platformy internetowe odmówiły wydania danych i musieliśmy sobie radzić bez ich pomocy. ▶

© MARCIN KMIECIŃSKI/PAP

eprasa.pl 5357578c79

▶Na marginesie muszę zaznaczyć, że nie przepadam za nazwą „przestępstwa z nienawiści". A już określenia „mowa nienawiści" unikam jak ognia.

Tu mnie pan zaskoczył.

„Mowa nienawiści" to pojęcie spoza polskiego prawa. A w dodatku niełądnie się zużyło. Dziś co drugi skrytykowany polityk krzyczy, że jest ofiarą „mowy nienawiści". My tymczasem ścigamy konkretne przestępstwa, czyli zachowania, które ustawodawca dokładnie opisał w kodeksie. I w ogóle nie chodzi w nich o nienawiść – czyli najsilniejszą z negatywnych emocji, skrajną wrogość, bliską gotowości do wyrządzenia komuś krzywdy. W tych sprawach istotne są uprzedzenia, czyli pozbawione rzetelnych podstaw przekonanie, że jeśli ktoś się wyróżnia określonym kolorem skóry, językiem czy religią, to może nam zagrażać. A z emocji liczy się pogarda, czyli mieszanina wyższości i wstrętu. To ona wyłącza empatię i związane z nią hamulce, pozwala przestać widzieć człowieka w drugiej osobie. Natomiast nienawiści większość sprawców w ogóle nie odczuwa. Nie mają też problemu z tym, że np. pracują razem z Ukraińcami i są z nimi w dobrych koleżeńskich relacjach, a jednocześnie w internecie piszą o „ukraińskiej stepowej dziczy" i o „banderowskiej hołocie".

Przez lata uważano, że najlepszą kuracją na uprzedzenia jest kontakt i relacja. Trudno spotkać homofoba wśród osób, które imprezują po pracy z kolegą gejem, albo antysemitkę zaprzyjaźnioną z Żydówką.

Pewnie gdyby taki człowiek pokazał swoim kolegom Ukraińcom to, co pisze w internecie, mógłby zrozumieć wagę swoich słów. Litwini przeprowadzili taki głośny eksperyment: czarny aktor podchodził do uczestników, informując, że otrzymał na Messengerze wiadomość po litewsku, i prosił o jej przetłumaczenie na angielski. To były rasistowskie obelgi. Musieli mu to mówić prosto w twarz. Niejeden internetowy hejter miałby z tym problem. Bo w takich sytuacjach zaczynamy sobie wyobrażać, co czuje osoba po drugiej stronie.

Czy po powołaniu wyspecjalizowanych prokuratorów wpływa więcej zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa?

Przywrócona specjalizacja działa dopiero od trzech miesięcy. Na miarodajne dane statystyczne trzeba jeszcze poczekać. Ale dla skutecznej walki z tą sferą przestępczości liczy się nie liczba zawiadomień, tylko jakość pracy organów ścigania: ocena prawna ma być trafna, sprawcy wykryci i pociągnięci do odpowiedzialności, a na koniec zastosowane środki służące kształtowaniu świadomości prawnej społeczeństwa. Na przykład publiczne przeprosiny czy podanie wyroku do publicznej wiadomości. Dobrze przeprowadzone postępowanie to czasem też takie, które kończy się umorzeniem albo odmową wszczęcia. Tak powinno być zawsze, kiedy czyjeś zachowanie nie wypełnia znamion przestępstwa.

Pan został skierowany na odcinek walki z przestępstwami z nienawiści w 2017 r. Od razu miał pan poczucie społecznego znaczenia tego tematu?

Nie zgłosiłem się na ochotnika. Nie byłem nawet pytany o zdanie. Szef mnie wyznaczył, bo liczył, że się do tego przyłożę. Uznałem, że skoro mam być wyspecjalizowanym prokuratorem, muszę się tego nauczyć. Nie miałem pojęcia o tych sprawach, ale pamiętałem, jaką atmosferę wokół nich budował kilka lat wcześniej prokurator generalny Andrzej Seremet: „To nie są »michałki«, te przestępstwa są ważne, będziemy te sprawy prowadzić porządnie".

Martwi mnie pana uwaga, że należy cieszyć się, że sprawcy po wyrokach nie łamią już prawa, choć nadal czują negatywne emocje wobec swoich ofiar, np. imigrantów.

Organy ścigania i sądy są od reakcji na naruszanie prawa, ale nie od likwidowania wszystkich przyczyn przestępczości. Nie jesteśmy od pilnowania poglądów, łagodzenia lęków, zasypywania podziałów, zaspokajania aspiracji. Jeżeli uda się w czasie postępowania karnego doprowadzić do czyjejś wewnętrznej przemiany – to bardzo dobrze. Ale wystarczy, żeby ludzie – niezależnie od swoich przekonań i emocji – nie przekraczali granic, które wyznacza prawo. To nie jest mało. Z badań psychologii społecznej wynika, że przemoc eskaluje, kiedy nie spotyka się z adekwatną odpowiedzią państwa lub społeczeństwa.

A co jest potrzebne, żeby zmienić ludzi w środku?

Odpowiedź może być rozczarowująca: edukacja młodzieży i kampanie społeczne otwierające oczy dorosłym.

To działa?

Tak. Zdarza mi się prowadzić zajęcia na ten temat dla uczniów, studentów, słuchaczy uniwersytetów trzeciego wieku. Filmy, dzięki którym mogą się wczuć w sytuację pokrzywdzonego, robią na nich ogromne wrażenie. To jest najlepsza szczepionka przed hejtem.

Technologia i interes polityczny określonych środowisk napędzają procesy radykalizacji. Wracając do przykładu naszych podkastów: algorytm social mediów wyraźnie skierował je nie do grupy pokrzywdzonej przez hejt, której chcieliśmy dać wsparcie, tylko – przeciwnie – do grupy odbiorców, którzy wcześniej reagowali hejtem.

Pewnym światełkiem w tunelu jest DSA, czyli unijny akt o usługach cyfrowych, który umożliwia Komisji Europejskiej nakładanie surowych kar finansowych na wielkie platformy internetowe.

DSA został troszkę wykastrowany za sprawą weta prezydenta Karola Nawrockiego do ustawy technicznie wprowadzającej tę regulację w Polsce.

To nie podnosi poziomu naszego bezpieczeństwa. Ale na szczęście nawet bez tego DSA obowiązuje i jest stosowany bezpośrednio w całej Unii Europejskiej. Polscy prokuratorzy odwołują się do jego przepisów, kiedy zwracają się o dane do platform internetowych. Kiedy widzę reakcje TikToka czy Elona Muska na procedury inicjowane przez Komisję Europejską na podstawie DSA, to jestem przekonany, że Europa „ma karty w ręku".

I istnieje realna szansa, że to zmieni praktykę platform, a w dalszej perspektywie język internetu?

Do nakładania kar na największe platformy właściwa jest Komisja Europejska, a jej decyzje to zawsze kwestia czysto polityczna. Ale nie bez znaczenia jest aktywność organów krajowych, takich jak choćby polska prokuratura, które muszą się uczyć uruchamiania tych mechanizmów.

Czy „z hejtem nie da się wygrać"?

Jeżeli rozumiemy hejt jako wszelką werbalną agresję, to nie mam wielkich złudzeń. Negatywne emocje zawsze będą niezbędne do życia dla wielkiego biznesu i wielkiej polityki. Przynajmniej dopóki algorytmy platform społecznościowych działają na takich zasadach jak teraz. Ale z karalnym hejtem, z przestępczością motywowaną uprzedzeniami potrafimy walczyć skutecznie. I mamy teraz warunki, żeby to robić.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 5357578c79



Więzienie Makalu, do którego trafił podróżnik. Tu prawie nie ma strażników, bo więźniowie „pilnują się" sami.

© JUSTIN MAKANGARA/REUTERS/FORUM

W jądrze ciemności

Rozmowa z Mariuszem Majewskim, współautorem książki „Kongijskie piekło. Polak w afrykańskim więzieniu", o wplątaniu w wielką politykę, przetrwaniu w nieludzkich warunkach i niełatwym powrocie do normalności.

FILIP ZAGOŃCZYK: **– Jak to się stało, że trafił pan do więzienia w Demokratycznej Republice Konga (DRK)?**

MARIUSZ MAJEWSKI: – Do dziś się zastanawiam. Podróżuję po świecie od 35 lat. Jestem jednym z kilku Polaków, którzy postawili nogę we wszystkich krajach świata. Byłem w miejscach ogarniętych wojną: w Afganistanie, Syrii czy Somalii. Wydawało mi się, że dam sobie radę w każdych warunkach, i ta rutyna mnie zgubiła. Do DRK pojechałem mimo ostrzeżeń Ministerstwa Spraw Zagranicznych w lutym 2024 r. Tydzień wcześniej oficjalną wizytę w sąsiedniej Rwandzie odbył prezydent Andrzej Duda. Na konferencji prasowej powiedział, że Polska skutecznie pomaga Ukrainie, więc gdyby Rwanda potrzebowała pomocy, to też może na nas liczyć.

To rozwścieczyło Kongijczyków. Rwanda i DRK od lat toczą wojnę o surowce: kobalt, złoto, diamenty. W stolicy kraju, Kinszasie, po słowach Dudy wybuchły antypolskie protesty. Palono flagi. Wznoszono wrogie okrzyki. Demonstracje nie odbiły się szerokim echem w naszych mediach, więc wyjeżdżając, nie byłem tego świadomy. Przyjeżdżam więc do Konga z zamiarem odwiedzenia 12 prowincji, bo podczas wcześniejszego pobytu niewiele zdążyłem zobaczyć. Biorę samochód z kierowcą, a po chwili zatrzymuje nas wojskowy patrol. Pomyślałem, że to rutynowa kontrola, że być może żołnierze będą chcieli trochę pieniędzy, co w Afryce zdarza się dość często. Oni jednak spojrzeli na mój polski paszport i wtedy wszystko się zaczęło. Wykonali kilka nerwowych telefonów, a po chwili kazali mi wsiąść ze sobą do samochodu. Wozili mnie przez kilka godzin od jednej jednostki wojskowej do drugiej, gdzie byłem przesłuchiwany. Później dowiedziałem się, że podczas tych przesłuchań dopisywano mi kolejne absurdalne zarzuty: od agresywnego zachowania wobec żołnierzy do sabotażu. Na koniec kazali mi włożyć głowę między kolana, tak żebym nie widział drogi, i odstawili mnie do specjalnego więzienia wojskowego dla zdrajców i szpiegów. ▶

eprasa.pl 5357578c79

▶ Jak ono wyglądało?

W celi o powierzchni mniej więcej 15 m kw. stłoczono 20 osób. Mnie jako obcokrajowcowi, a dodatkowo białemu, przypadło najgorsze miejsce, tuż obok ubikacji. Smród był nie do opisania – nikt nie spuszczał wody, bo jej brakowało. Cały budynek był obity blachą, więc temperatura wewnątrz przekraczała 40 st. C. Dodatkowo w powietrzu unosiły się chmary komarów, które bez przerwy cięły. Poczułem to wszystko na własnej skórze i zdałem sobie sprawę, że to nie przelewki; sprawa jest znacznie poważniejsza, niż mi się wydawało. Inni więźniowie uświadomili mi, że do tego więzienia trafiają ludzie oskarżeni o najcięższe przestępstwa: sabotaż czy zamach stanu. Cudzoziemcom za coś takiego grozi nawet kara śmierci. Poczułem się kompletnie bezradny. Łzy stanęły mi w oczach. Nie mogłem się z nikim skontaktować, bo odebrano mi laptop i telefon. Bałem się, że tam umrę.

Był pan poddawany torturom?

Podstawową był brak wody. Wszyscy więźniowie w tropikalnym upale dostawali jedną półlitrową butelkę wody na dwa dni. To za dużo, żeby umrzeć, ale za mało, żeby normalnie żyć. W wyschniętym gardle powstaje olbrzymia bolesna gula. Każde przełknięcie śliny, której było zresztą coraz mniej, powodowało ból. Ciężko było mówić, a nawet myśleć. Z pragnienia najpierw zaczynała boleć szyja, a chwilę potem głowa. Tak zwane racje żywnościowe były równie skromne. Raz dziennie koło 17 dostawaliśmy miskę fasoli. Była jednak tak brudna, że bałem się jeść.

Jaką pan miał strategię przetrwania?

Początkowo starałem się rozmawiać z komendantem tej jednostki. Tłumaczyłem, że to zatrzymanie jest jedną wielką pomyłką. Nie przynosiło to jednak żadnych rezultatów. Pomyślałem, że mógłbym spróbować ucieczki, bo raz na dwa dni byliśmy wyprowadzani na zewnątrz budynku i mogliśmy skorzystać z prysznica. Pilnował nas tylko jeden strażnik, który czasami znikał na 20–30 sekund. Pomyślałem, może to jest szansa. Gdyby udało mi się wdrapać na dach i przeskoczyć na znajdujący się obok budynek szkoły... Po chwili przyszła jednak refleksja, że nie mam przecież dokąd uciec. Jestem wycieńczony, nie mam żadnych rzeczy osobistych, samochodu, kontaktu ze światem.

Poza tym ryzykowałem, że zostanę zastrzelony. Z jedynego okna, jakie znajdowało się w celi, codziennie obserwowaliśmy egzekucje i tortury, jakim poddawani byli inni więźniowie. Kongijczycy modlili się kilka razy dziennie i mimo ogromnego pragnienia śpiewali pieśni. Z rozpaczy zacząłem w myślach rozmawiać ze swoją zmarłą kilka lat temu matką i choć wiem, że dla wielu to zabrzmi dziwnie, ale to właśnie ona podsunęła mi myśl, żebym przestał jeść. Moja odmowa zdumiała wszystkich. W Afryce, gdzie cała aktywność ludzi koncentruje się na zdobywaniu jedzenia lub pieniędzy na nie, takie zachowanie zostało zinterpretowane jako przejaw szaleństwa. Po dwóch dniach przyszli do mnie strażnicy i zakomunikowali: twoja sprawa to rzeczywiście była pomyłka. Wracasz do domu. Jeszcze dziś wieczorem zobaczysz swoją rodzinę.

Co pan poczuł?

Niewyobrażalną radość. Uwierzyłem, że koszmar się skończył. Natychmiast odzyskałem siły. Niestety nie przypuszczałem, że zaczyna się właśnie jeden z najgorszych dni mojego życia. Zostałem oszukany. Strażnicy najwyraźniej bali się, że umrę w ich więzieniu, i postanowili się mnie pozbyć. Zostałem wsadzony do pickupa i pojechaliśmy do Kinszasy. Tam obwożono mnie niczym zdobycz po całym mieście, a tłumy wrogo nastawionych ludzi pluły w moim kierunku, krzycząc „mundele, mundele", co w ich języku znaczy białas. Po kilku godzinach tego upokorzenia konwojenci zostawili mnie przy bramie największego i cieszącego się złą sławą więzienia Makala.

Jak traktowali pana tamtejsi więźniowie?

Na dzień dobry dotkliwie mnie pobili. Potem przeszli do innych upokarzających praktyk. Kazali stać z głową przy ścianie i rozchylali mi pośladki. Po chwili zostałem poinformowany, że jeśli chcę uniknąć kolejnego pobicia i dostać miejsce w bloku z łóżkiem, muszę zapłacić 400 dol. Powiedziałem, że mogę natychmiast załatwić pieniądze, tylko niech dadzą mi zadzwonić. Dostałem telefon i nawiązałem kontakt z rodziną po raz pierwszy od pięciu tygodni.

Jak zareagowali, gdy usłyszeli pana głos w słuchawce?

Poczuli ogromną ulgę, że żyję. Dzieci krzyczały z radości. Przez cały ten czas moja partnerka Mariola próbowała ustalić, co się ze mną stało. Linie lotnicze potwierdziły, że byłem na pokładzie samolotu do Konga, ale potem ślad po mnie się urywał. Dodatkowo przed wyjazdem nie zadbałem o sprawy formalne i Mariola nie miała dostępu do moich informacji medycznych. Kiedy więc w DRK odnajdywano zwłoki jakiegoś białego człowieka, nie mogła dostać nawet karty od stomatologa, żeby dokonać identyfikacji. Zwróciła się o pomoc do MSZ, a tam uspokajano ją, że prawdopodobnie żyję, bo gdybym umarł, to w Afryce ktoś chciałby na mnie zarobić i zgłosiłby się, żądając pieniędzy za ciało. Urzędnicy przekonywali, że kiedy tylko ustalimy, gdzie jestem, to uwolnienie będzie kwestią kilku godzin. Rodzina powiedziała mi więc, że za chwilę będę wolny.

Rzeczywiście sprawa potoczyła się już szybko?

Niestety cała historia trwała jeszcze wiele tygodni. Przez cały ten czas moje życie było zagrożone. W Makali panuje ogromne przeludnienie. W więzieniu zaprojektowanym na ok. 1,5 tys. osób jest ich, lekko licząc, dziesięć razy więcej. Dodatkowo strażnik pojawia się tam tylko raz dziennie, bo – jak powiedział mi komendant – dla resocjalizacji więźniów jest lepiej, kiedy oni sami ustalają reguły. W praktyce codziennie dochodzi tam do morderstw. Cały czas trzeba być czujnym i starać się przetrwać. Stres jest niewyobrażalny.

Moją sytuację pogarszał fakt, że od lat choruję na depresję i muszę przyjmować konkretne leki. Prosiłem o nie odwiedzającego nas pseudolekarza, ale on tylko się uśmiechał, potrząsając siatką z tabletkami i mówiąc: jak coś ci dolega, to wybierz sobie coś z tego. Bez leków nasilały mi się myśli samobójcze. Uratowali mnie przedstawiciele ambasady belgijskiej, dostarczając tabletki. Pewnego dnia doszło jednak do przesilenia i byłem przekonany, że umieram. Zemdlałem. Trafiłem do punktu medycznego i to, co po odzyskaniu przytomności tam zobaczyłem, zostanie mi w pamięci do końca życia. Ludzie, niektórzy już martwi, inni dogorywający, z ropiejącymi ranami, z kończynami tak poranionymi, że należałoby je natychmiast amputować, ale w Makali nikt się nimi nie przejmował. Czekali na powolną śmierć i gdy nadeszła, gdzieś ich wywożono, zapewne do zbiorowego grobu. Mój stan po tym wszystkim był na tyle fatalny, że szef bloku więziennego zarządził: dajcie mu telefon, niech się pożegna z rodziną.

Na szczęście jednak przetrwałem dzięki Francuzowi, który został przywieziony do więzienia krótko przed moim wyjściem. Był przy mnie przez cały dzień.

eprasa.pl 5357578c79

Podniósł mi nogi, żeby krew zaczęła lepiej krążyć. Po kilku godzinach najgorsze minęło.

Co w tym czasie robiła nasza dyplomacja?

Rozmawiali. Do Polski przyjechał kongijski prokurator, który zapewnił wiceministra Andrzeja Szejnę, że moja sprawa będzie rozpatrzona pozytywnie. Zamiast tego po jego powrocie urządzono mi proces pokazowy.

Jak wyglądał?

Oskarżono mnie o wszystko, co możliwe. Agresywną postawę wobec żołnierzy, sabotaż, a na koniec o zamach na prezydenta. Ten ostatni zarzut był szczególnie niebezpieczny, bo w Kongu prezydent jest traktowany jak Bóg. Przez chwilę miałem tłumacza, więc przekazałem, że skoro oskarżają mnie o robienie zdjęć strategicznym obiektom, to niech wyciągną je z mojego telefonu, który przecież mają. W odpowiedzi usłyszałem: fakt, że tych zdjęć nie ma, jest najlepszym dowodem, że je robiłem, bo specjalny program szpiegowski wysłał je do moich mocodawców i natychmiast usunął. Przy takim podejściu można udowodnić wszystko, a moją sytuację pogorszyło jeszcze to, że trzy dni przed ogłoszeniem wyroku doszło do faktycznego zamachu na prezydenta, zorganizowanego przez obcokrajowców, głównie Amerykanów. Z uzasadnienia wyroku nie zrozumiałem nic, poza dwoma zwrotami Andrzej Duda i 10 mln dol. W więzieniu przekazano mi, że dzięki zabiegom dyplomatycznym moją karę śmierci zamieniono na dożywocie. Zostałem przeniesiony do kolejnej placówki, gdzie miałem spędzić resztę życia.

Na czym tak naprawdę zależało Kongijczykom?

Sądzę, że nie tylko na pieniądzach. Musimy zdawać sobie sprawę, że ludzie w tym kraju doskonale pamiętają tragiczną przeszłość kolonialną i cierpienia, jakie ich spotkały, przede wszystkim od Belgów. Niechęć do białych jest tu bardzo silna. Dodatkowo szerzone są fake newsy o tym, że polscy żołnierze zabijają Kongijczyków. To już zapewne robota rosyjskich trolli, ale niestety przynosi skutek. W więzieniu wielokrotnie słyszałem: wy, Polacy, zabijacie naszych braci. W Makali ukrywałem informację o obywatelstwie, bo mogłaby mnie kosztować życie. Kongijczykom chodziło więc głównie o gest ze strony prezydenta Dudy. Żeby wycofał się ze słów o pomocy Rwandzie. Gdyby tego nie dostali, prawdopodobnie zostałbym stracony. Demokratyczna Republika Konga chciała pokazać, że jest silnym państwem, które trzeba szanować. Na szczęście zarówno prezydent, jak i MSZ zachowali się odpowiedzialnie i dzięki temu dziś jestem w Warszawie cały i zdrowy.



Mariusz Majewski, podróżnik, pierwszy Polak, który przed ukończeniem 40. roku życia odwiedził wszystkie 193 kraje członkowskie ONZ i Watykan. Wraz z Jarosławem Kocembą wydał właśnie książkę „Kongijskie piekło. Polak w afrykańskim więzieniu".

Kiedy nastąpił przełom, który doprowadził do uwolnienia?

Po wyroku zacząłem działać na własną rękę. Wcześniej przedstawiciele MSZ prosili mnie i moją rodzinę, żebyśmy nie informowali mediów, bo to może rozzłościć Kongijczyków i podbić cenę. Po wyroku stwierdziłem, że nie ma na co czekać i skontaktowałem się z Bogdanem Rymanowskim. Zaczął działać. Sprawą zainteresowały się polskie i światowe media. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy siedząc w kolejnym więzieniu, najbardziej jak dotychczas luksusowym, bo z łazienką i telewizorem, zobaczyłem na ekranie informację, że prezydent Duda zadzwonił do prezydenta DRK. Inny więzień powiedział mi, że rozmawiali w mojej sprawie. Od tej chwili wypadki potoczyły się błyskawicznie. Następnego dnia znów zapakowano mnie do samochodu i ponownie przeżyłem chwile grozy, bo nikt nie chciał mi powiedzieć, dokąd jedziemy. Wreszcie dotarliśmy na lotnisko i wsiadłem do samolotu belgijskich linii lotniczych. Prawdziwą ulgę poczułem, dopiero gdy wzbiliśmy się w powietrze i minęliśmy rzekę Kongo.

Jak wyglądał pana powrót do życia po tym wszystkim?

Nie było łatwo. Codzienność okazała się trudniejsza, niż mogłem przypuszczać. W całej sytuacji bardzo ucierpiała moja rodzina. Partnerka, która do tej pory była jak skała, organizowała poszukiwania, opiekowała się dziećmi, ogarniała sprawy zawodowe, poczuła się kompletnie wykończona. Firma, którą od lat prowadziłem, przez te sto dni znalazła się na granicy bankructwa. Dzieci, których tata tak nagle zniknął, do dziś mają problemy ze snem, a ja sam cierpię na klasyczne PTSD. Jeszcze do niedawna zdarzały mi się wybuchy płaczu i flashbacki z tego, co się wydarzyło. Wszyscy potrzebowaliśmy wsparcia psychologicznego. Do tego stopnia nie radziłem sobie z codziennością tutaj, że wyznałem terapeutce, że nie wiem, czy w kongijskim więzieniu nie było prościej. Świat więzienny miał bowiem swoje reguły i choć były straszne, to zdążyłem się do nich przyzwyczaić. Wiedziałem, jak się tam poruszać, komu ufać, z kim się układać, komu płacić, a komu nisko się kłaniać. Po powrocie muszę na nowo układać wszystko w zwykłym świecie. Terapeutka uspokoiła mnie, że to nie przejaw szaleństwa, tylko normalne zachowanie po traumie.

Wyciągnął pan z tego doświadczenia jakieś wnioski?

Że nie warto tak ryzykować. Nie trzeba za wszelką cenę realizować celu, nie oglądając się na innych. Uświadomiłem sobie, jak bardzo egoistyczne było moje zachowanie. Na jak wielki stres narażałem rodzinę. A przecież to właśnie najbliżsi są najważniejsi i to o nich trzeba dbać. Oczywiście kocham podróże i już nawet do nich wróciłem. Dziś jednak moja partnerka zna moje wszystkie hasła, jesteśmy w stałym kontakcie, a ja nie jeżdżę do miejsc wysokiego ryzyka. Ekstremalnych emocji wystarczy mi już na całe życie.

Czy pisanie książki było dla pana sposobem na poradzenie sobie z traumą?

Na pewno było to poważne wyzwanie. Kiedy opowiadałem o wszystkim Jarosławowi Kocembie, parę razy zdarzyło mi się rozpłakać. Wracały wspomnienia i obrazy, o których wolałbym nie pamiętać. Sam Jarek kilkakrotnie chciał przerywać rozmowę i wychodzić z powodu gęstej atmosfery. Można więc powiedzieć, że przygotowanie książki było jakąś formą terapii. Najważniejsze, że udało się opowiedzieć prawdziwą historię bez upiększeń. Nie czuję się do końca pozytywnym bohaterem. Przeżycia, na które naraziłem rodzinę, do dziś wywołują u mnie wyrzuty sumienia. Mam jednak nadzieję, że moja historia będzie jakąś przestrogą dla innych.

ROZMAWIAŁ FILIP ZAGOŃCZYK

© MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 5357578c79

Kupowanie wplecione w rozrywkę to chiński pomysł, aby zarabiać jeszcze więcej. Od poniedziałku TikTok Shop działa także w Polsce. Na zyski liczą zwłaszcza influencerzy, bo to oni wiedzą, jak zwrócić uwagę milionów widzów.

Top shop

CEZARY KOWANDA

Ponad 16,5 mln – tylu użytkowników ma w Polsce TikTok według majowego badania Mediapanel dla portalu wirtualnemedia.pl. Już od poniedziałku możemy w tej chińskiej aplikacji nie tylko oglądać mniej lub bardziej zabawne klipy, lecz również robić zakupy. Polska razem z Belgią, Holandią i Austrią dołączyła 15 czerwca do grupy europejskich krajów, w których działa TikTok Shop. Jak twierdzi sama platforma, na TikToku kupuje już prawie 100 mln osób w Europie (dotąd m.in. w Wielkiej Brytanii, we Francji i Niemczech). Jednak największe triumfy aplikacja święci w Stanach Zjednoczonych (ponad 180 mln użytkowników) i Azji. W samej Indonezji na TikTok Shop aktywnych jest pół miliona sprzedających, a filmy przegląda ponad 100 mln osób. Poprzez TikTok Shop w ub.r. sprzedano towary warte łącznie ok. 64 mld dol. W tym roku obroty mają być niemal dwa razy wyższe.



eprasa.pl 5357578c79

Biznesowy potencjał TikToka jest ogromny, bo z tej aplikacji korzystają już niemal 2 mld ludzi na całym świecie. Ten imponujący wynik nie obejmuje liczących prawie 1,5 mld mieszkańców Chin, bo tam działa inna aplikacja o nazwie Douyin, należąca do tego samego właściciela – koncernu ByteDance. Używa jej regularnie około połowy Chińczyków. TikTok Shop to podobnie jak Allegro czy Temu platforma sprzedażowa: oferowane produkty kupujemy nie od zarządzającego aplikacją, ale od konkretnego sprzedawcy. Sam TikTok służy jako pośrednik i zarabia na każdej transakcji, pobierając prowizję. W Polsce wynosi ona 9 proc. kosztów zakupu, chociaż na starcie obowiązuje trzymiesięczna promocja dla sprzedawców. Przez ten czas płacą oni TikTokowi tylko 2 proc. wartości transakcji. Sprzedawać przez TikTok Shop może każda osoba pełnoletnia, która ma przynajmniej 1,5 tys. obserwujących jej profil, regularnie zamieszcza na nim nowe treści i przejdzie proces weryfikacji. Chodzi o to, żeby wykluczyć np. handlujących podróbkami czy towarami niedopuszczonymi do obrotu.

TikTok wydaje się traktować polski rynek poważnie. Można używać Blika (to najpopularniejsza u nas forma płatności w sieci) i korzystać z dostaw do paczkomatów InPost. Długa jest lista znanych marek i firm, które weszły na polski TikTok Shop w chwili jego debiutu. To np. Modivo, Reserved, Sinsay, Mohito, Cropp, Empik, Rossmann, E.Wedel, Ziaja, Bielenda, Eveline Cosmetics czy Kubota. Nie oznacza to jednak, że każda z nich odniesie sukces.

Bo na TikToku kupuje się zupełnie inaczej niż na Allegro czy Amazonie. – *W przypadku tradycyjnych platform zazwyczaj szukamy konkretnych produktów, których potrzebujemy. Porównujemy oferty, ceny, warunki dostawy i na tej podstawie podejmujemy decyzję. Tymczasem na TikTok Shop rządzą emocje. Nie przeglądamy aplikacji z myślą o tym, że zrobimy zakupy. Decyzję podejmujemy pod wpływem impulsu, gdy zobaczymy coś dla nas ciekawego czy intrygującego* – wyjaśnia Michał Barski, dyrektor marketingu w Fulfilio, ekspert w dziedzinie marketingu cyfrowego.

Do takiego właśnie impulsywnego kupowania TikTok nadaje się idealnie. – *Filmy promujące określone produkty wyświetlają nam się w trakcie zwykłego skrolowania, czyli przechodzenia z jednego wideo do kolejnego. Nie ma żadnej osobnej zakładki kierującej do zakupów. Mechanizm sprzedażowy został wpleciony w normalne używanie aplikacji, czyli w rozrywkę, i na tym właśnie polega ogromna siła TikToka. Gdy spodoba nam się artykuł promowany w filmiku, możemy jednym kliknięciem przejść do transakcji. Zakupy na TikToku mają być spontaniczne, szybkie, oparte przede wszystkim na emocjach, a nie na racjonalnym wyborze* – podkreśla Mateusz Jeżyk, współzarządzający Sales Intelligence, cyfrowym domem mediowym w Digitree Group.

Co najlepiej sprzedaje się na TikToku? Przede wszystkim moda, kosmetyki i wszelkie inne produkty mające poprawić nasz wygląd, ale tak naprawdę nie ma żadnych ograniczeń. – *Liczą się pomysł i kreatywność, bo trzeba szybko zdobyć uwagę użytkownika. Mamy na świecie przykłady zupełnie nowych produktów, na które moda została wykreowana właśnie poprzez TikTok Shop, jak pasta do zębów w pastylkach. Często coś, co odniosło sukces na TikToku, trafia potem do tradycyjnych sklepów. TikTok Shop jest ogromną szansą dla małych i średnich firm. Uzyskują one bowiem dostęp* ▶

© CHAYTEE/SHUTTERSTOCK

REKLAMA

Oferta powitalna

POLITYKA

5 zł | za tydzień
przez cały rok

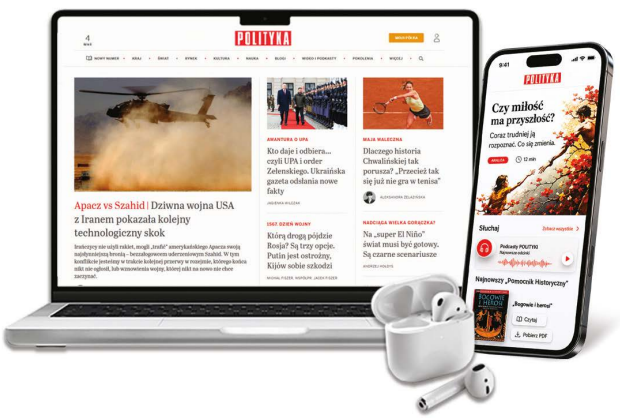

Oferta dla nowych subskrybentów

Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Podkasty i artykuły

Codziennie nowe treści

KUP DOSTĘP

polityka.pl/powitalna

eprasa.pl 5357578c79

▶ *do ogromnej liczby potencjalnych klientów i od ich pomysłowości zależy, czy odniosą sukces* – mówi Sebastian Błaszkiewicz, strategiczny doradca i ekspert rynku w Univio, członek Rady Izby Gospodarki Elektronicznej.

Odnieść sukces na TikToku nie jest wcale łatwo, skoro o uwagę użytkowników walczy ogromna rzesza sprzedających. Pomóc mogą influencerzy, dla których TikTok to potencjalna żyła złota. – *Pośrednikiem między sprzedającym a kupującym staje się często twórca, bo to jemu się ufa. Kto zgromadził zaangażowaną społeczność i zbudował wokół siebie zaufanie, ten jest w szczególnie uprzywilejowanej roli. Firmy zatem są gotowe sporo zainwestować w influencerów, którzy potem dostają prowizję od każdego produktu, jaki pomogą sprzedać. Rola influencerów w przypadku TikTok Shop jest dużo większa niż na tradycyjnych platformach sprzedażowych* – podkreśla Mateusz Jeżyk z Sales Intelligence.

Zapewne TikTok Shop znajdzie się szybko pod lupą Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. On od dawna zarzuca influencerom, że promują różne produkty w swoich postach na Facebooku czy Instagramie, nie oznaczając ich wyraźnie jako współpracy reklamowej. W ub.r. spore kary pieniężne dostali za to Filip Chajzer, Dorota Rabczewska (Doda) i Małgorzata Rozenek-Majdan. W przypadku tej ostatniej sąd zdążył już podtrzymać decyzję UOKiK, więc celebrytka zapłaciła 200 tys. zł i oznajmiła publicznie, że „szanuje prawo i zasady transparentności". W przypadku TikTok Shop pole do nadużyć będzie jeszcze większe niż w innych serwisach społecznościowych. Bo skoro dla użytkowników liczy się autentyczność, influencerzy muszą balansować między sprawianiem wrażenia obiektywnych a przyznawaniem, że biorą pieniądze od firm, które tak zawzięcie promują.

TikTok liczy, że Polki i Polacy szybko pokochają nowy sposób robienia zakupów; tak stało się w Wielkiej Brytanii czy Stanach Zjednoczonych. Nowa platforma nie jest na razie zagrożeniem dla liderów naszego rynku jak Allegro czy Temu. – *Będzie się skupiać raczej na produktach, w których przypadku o wyborze nie decyduje najniższa cena, tylko inne atuty, takie jak wygląd, efekt nowości, ograniczona dostępność czy po prostu chwilowa popularność. Skoro trzeba zainwestować w atrakcyjny film i pomoc influencera, te wydatki muszą zostać wliczone w koszt sprzedaży. Z drugiej strony aura wyjątkowości ma sprawić, że będziemy skłonni zapłacić więcej niż w zwykłym sklepie* – mówi Michał Barski z Fulfilio.

Hitem na TikToku bywają transmisje na żywo, podczas których influencerzy są w stanie znaleźć ogromną liczbę kupujących. To trochę jak telezakupy w nowym wydaniu. – *Tu również chodzi o emocje, o skłonienie do podjęcia jak najszybszej decyzji, o stworzenie wrażenia, że jeśli nie kupimy teraz, potem już nie będzie takiej szansy. Są jednak istotne różnice. Tradycyjne telezakupy są identyczne dla wszystkich oglądających, a teraz nowoczesna technologia umożliwia personalizację. Dzięki algorytmowi TikToka każdy użytkownik ma trafiać na transmisje promujące produkty, które właśnie jego zainteresują* – podkreśla Mateusz Jeżyk.

Sporym wyzwaniem dla sprzedających na TikToku będzie prawidłowe przewidywanie zainteresowania klientów. – *Czasem jeden filmik odnosi taki wiralowy sukces, że liczba zamówień rośnie błyskawicznie. Kto nie jest w stanie ich obsłużyć, ten szybko może z nieba trafić do piekła: spada na niego ogromna krytyka, a firma traci wiarygodność* – mówi Sebastian Błaszkiewicz.

To jednak już problem konkretnego sprzedawcy, a nie samej platformy. Triumfalny pochód TikToka wydaje się nie do powstrzymania. Właściciel aplikacji porozumiał się nawet z Donaldem Trumpem, który groził zablokowaniem serwisu w Stanach Zjednoczonych. Ostatecznie stworzono tam dla amerykańskiego TikToka odrębną spółkę. Część udziałów objęły w niej amerykańskie firmy – głównie te, których szefowie są zaprzyjaźnieni z Trumpem. Jedynie Komisja Europejska próbuje jeszcze zmusić firmę ByteDance, aby choć trochę zmieniła algorytm TikToka.

Bruksela podkreśla, że ta aplikacja oparta jest na uzależnianiu od siebie użytkownika, zwłaszcza niepełnoletniego, a mechanizm automatycznego, niekończącego się odtwarzania kolejnych filmów okazuje się wyjątkowo szkodliwy dla naszej psychiki. Tyle że to podstawa sukcesu TikToka. Na przykład w Polsce korzystający z aplikacji spędzają w niej miesięcznie, jak wynika z danych Mediapanelu, już prawie 24 godziny. Oznacza to niemal godzinę dziennie przeznaczaną na oglądanie krótkich filmików. A tendencja rośnie.

Komisja Europejska żąda od firmy ByteDance zmian w aplikacji, które choć trochę zmniejszą jej uzależniający charakter, np. wprowadzenia obowiązkowych przerw przy skrolowaniu nocą. Chiński właściciel wszelkie zarzuty odrzuca, chociaż do współpracy z Unią mogą go przekonać potencjalne kary finansowe, sięgające nawet kilku miliardów euro. Na razie jednak nie wiadomo, czym zakończą się negocjacje ByteDance i Brukseli.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że TikTok Shop to kolejny krok uzależniający nas od Chin. Do takich potęg w handlu internetowym jak Shein, Temu i Aliexpress dołączy kolejny potężny gracz, zarabiający na europejskich – w tym od poniedziałku także polskich – konsumentach. – *Oddajemy Chińczykom coś bardzo cennego: dane o sobie. Oni to potem przetwarzają i wykorzystują, aby sprzedawać nam jeszcze więcej, oczywiście na tym zarabiając. Zresztą ten transfer danych następuje już nie tylko poprzez platformy sprzedażowe w internecie, ale także np. przez chińskie samochody elektryczne, coraz popularniejsze na naszym kontynencie. To zjawisko jest z pewnością niepokojące, ale jako Europa nie potrafimy wypracować spójnej strategii, żeby je ograniczyć* – podkreśla Sebastian Błaszkiewicz z Univio.

Bardzo prawdopodobny sukces TikTok Shop w Polsce będzie oznaczał jeszcze ostrzejszą rywalizację amerykańsko-chińską o nasze portfele i dane. Z jednej strony mamy koncern Meta z Facebookiem, Instagramem i komunikatorem WhatsApp, wyszukiwarkę Google, Amazona czy imperium Apple, a po drugiej stronie Temu, Shein, TikToka, ale także koncerny technologiczne jak Xiaomi czy Huawei. Niestety, w tej walce gigantów nawet jako cała Unia Europejska (nie mówiąc już o poszczególnych państwach) mamy niewiele do powiedzenia.

Jedyną naszą siłą może być... regulacja. To obrzydzane dzisiaj przez wielu polityków i przedsiębiorców słowo pozostaje w przypadku handlowych i informatycznych gigantów szansą, aby nie podporządkowali nas sobie bez reszty. W cyfrowym świecie to demonizowana Bruksela jest jedyną nadzieją na ochronę naszych danych osobowych czy praw konsumenckich. Bo tylko z jej sankcjami (umożliwia je tak chętnie krytykowany przez Trumpa i jego ludzi Akt o usługach cyfrowych) wielkie koncerny jeszcze się trochę liczą. Dla nich zatem im więcej antyunijnych polityków na ważnych stanowiskach, tym lepiej.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl 5357578c79



Przez wieki sprzedawca zawsze targował się z kupującym. Dziś handlowcy próbują wprowadzić ceny indywidualne, analizując prywatne dane klientów.

Cena tylko dla ciebie

W wielu biznesach jawne i takie same dla wszystkich ceny towarów odchodzą do przeszłości.

MARIUSZ ZAWADZKI

W 1999 r. Douglas Ivester, prezes firmy Coca-Cola, zapowiedział nowe, ulepszone automaty z napojami – działające zgodnie z prawami popytu i podaży. Miały mieć wbudowany termometr i automatycznie podnosić cenę puszek z Coca-Colą wraz ze wzrostem temperatury. „To jest naturalne i sprawiedliwe. Ludzie podczas upału bardziej pragną Coca-Coli, a to znaczy, że jej realna wartość wzrasta" – wyjaśniał Ivester dziennikarzom.

Plan wywołał oburzenie. Główny rywal Coca-Coli, czyli Pepsi, wydał oświadczenie, że „niczego podobnego nie planujemy, bo nie zamierzamy wykorzystywać ludzi, którzy są spragnieni". Jeden z menedżerów z branży szydził w rozmowie z „New York Timesem": „Co będzie następne? Może automaty z promieniami Roentgena, które prześwietlą kieszenie i portfele klienta i na tej podstawie ustalą dla niego indywidualną cenę puszki Coca-Coli?".

Ile kosztują krakersy

Ostatecznie Coca-Cola wycofała się z projektu uzależnienia cen napojów w automatach od pogody. Ale minęło ćwierć wieku i szyderstwa anonimowego menedżera okazały się prorocze. Najnowszy trend sprzedażowy jest taki, żeby prześwietlić nie tylko kieszenie i portfel potencjalnego klienta, ale nawet odgadnąć jego myśli i na tej podstawie ustalić dla niego specjalną indywidualną cenę za sprzedawany towar. Najwyższą, jaką skłonny będzie zapłacić. Oczywiście nie trzeba do tego promieni Roentgena. Wystarczy masowa inwigilacja w internecie.

Dla przykładu: w zeszłym roku w Seattle dwaj klienci jednocześnie kupowali te same krakersy w tym samym sklepie internetowym. Pierwszy zapłacił 3 dol. 99 centów, a drugi 4 dol. i 89 centów. Zapewne byśmy się o tej anomalii nie dowiedzieli, gdyby nie fakt, że oba zakupy były dokonane w ramach śledztwa, które przeprowadzili amerykańscy obrońcy praw konsumentów (portal Consumer Reports i lewicowy think thank Groundwork Collaborative). Okazało się ponadto, że to nie żadna anomalia. Konsumentów coraz częściej traktuje się jak w słynnym haśle Karola Marksa, ale rozumianym na opak: od każdego według jego możliwości, każdemu według jego potrzeb.

Jeśli jesteś zamożny, to nie ma dla ciebie znaczenia, czy zapłacisz za krakersy 4, czy 5 dol. Pewnie nawet nie patrzysz na cenę. Jeśli jesteś biedny, to możesz nawet na nowych zasadach sprzedaży zyskać. Dajmy na to, że koszt produkcji i dostawy paczki krakersów wynosi łącznie 2 dol. Wtedy najbiedniejsi zobaczą na ekranie cenę 3 dol. Sklepowi nadal się opłaca, ▶

© EMAD ALJUMAH/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 5357578c79

▶ bo lepszy dolar zysku niż nic. A klient też będzie zadowolony, bo zje krakersy, których za 4 dol. by nie kupił.

Status finansowy to tylko jedno z wielu kryteriów, które bierze się pod uwagę przy ustalaniu spersonalizowanej ceny. Logikę prezesa Ivestera można aplikować na wielu frontach: chorego, który na gwałt potrzebuje jakiegoś lekarstwa, można skasować ekstra; turysta, który codziennie wertuje strony internetowe o Meksyku, zapewne poleci tam nawet mimo droższych biletów; matka, która codziennie przed ósmą rano łapie Ubera, żeby odwieźć córkę do szkoły, nie zrezygnuje z kursu, jeśli trochę wzrośnie cena.

Takie przypadki, łącznie z aferą krakersową, to tzw. *surveillance pricing*, czyli indywidualne ceny oparte na analizie prywatnych danych klientów. W przypadku krakersów nie trzeba było zresztą żadnej inwigilacji. Portal Instacart, który je sprzedawał, nie ma dostępu do kont bankowych kupujących. Żeby ocenić ich zamożność, wykorzystał adres domowy (który trzeba podać, żeby kurier dostarczył zakupy). Wystarczyłby nawet kod pocztowy, bo w USA najczęściej determinuje on status człowieka, tzn. pokazuje, czy mieszkasz w bogatej, czy w biednej dzielnicy.

Pecet czy MacBook

Droższa Coca-Cola podczas upału szokowała. Ale nikogo już nie dziwi, że bilety lotnicze są sprzedawane zgodnie z zasadami podaży i popytu, np. im mniej wolnych miejsc w samolocie, tym bardziej ich cena wzrasta. A przecież jeszcze pół wieku temu ceny biletów w USA były stałe i wyznaczane przez rząd federalny! Dopiero w 1979 r. Kongres zdecydował, że linie lotnicze mogą sprzedawać miejsca w swoich samolotach jak chcą i po ile chcą.

Dziś ceny biletów są zmienne i dynamiczne, decyduje o nich wiele czynników, nie tylko data lotu, ale nawet dzień zakupu biletu. Jeśli w sobotę kupujemy lot na Kretę (chodzi o dzień zakupu, a nie dzień wylotu), to najpewniej zapłacimy więcej, niż gdybyśmy kupili ten sam lot we wtorek. Po prostu w weekend więcej ludzi ma czas na planowanie wakacji, a linie lotnicze to wykorzystują i wtedy podnoszą ceny.

Dopóki o wahaniach cen decydują okoliczności, terminy czy ogólne prawa rynku, dopóty jest to akceptowane. Problemy zaczynają się, jeśli cena jest uzależniona od cech lub sytuacji kupującego. W 2012 r. wybuchła afera z portalem turystycznym Orbitz, który te same noclegi oferował drożej użytkownikom komputerów Apple'a, a taniej użytkownikom zwykłych pecetów (kiedy w internecie wchodzimy na jakiś portal, to „widzi" on, jakiego komputera używamy). Logika była taka, że skoro kogoś stać na MacBooka, który był wtedy dwa–trzy razy droższy od peceta, to stać go również, żeby zapłacić więcej za hotel. Kiedy sprawę ujawnił dziennik „Wall Street Journal", ceny noclegów na pecetach i MacBookach się wyrównały.

Dzisiejsze *surveillance pricing* jest twórczym rozwinięciem pomysłu menedżerów z Orbitz. Na ogromną skalę. O cenie nie decyduje tylko jeden czynnik – np. model komputera posiadanego przez konsumenta – ale potencjalnie wiele zmiennych.



Śledzenie w sieci wykorzystywano do podsuwania reklam, dziś służy do wprowadzania inteligentnych cen.

Żeby ten nowy, fantastyczny biznesplan wprowadzić w życie, potrzebne są dwie rzeczy. Po pierwsze, trzeba masowo zbierać informacje o swoich potencjalnych klientach. Czy są zamożni, w jakim są wieku, gdzie mieszkają, na co chorują, co kupowali w przeszłości, czego akurat szukają. Po drugie, potrzebny jest ktoś, kto wszystkie te informacje przeanalizuje i ustali dla każdego optymalną cenę. Czyli najwyższą, jaką dany klient, biorąc pod uwagę jego sytuację życiową (generalną i doraźną), będzie statystycznie skłonny zapłacić.

Jesteś towarem

Tę drugą kwestię załatwia sztuczna inteligencja, która zastępuje tysiące ludzkich analityków. Jeśli chodzi o dane do analizy, to ich zbieranie rozpoczęło się już ponad 30 lat temu i z każdym rokiem stawało się skuteczniejsze, bo ludzie przenoszą się do sieci – tam robią zakupy, spotykają się, rozmawiają.

Skrzynka pocztowa Gmail była od początku darmowa – ale pod warunkiem że zezwoliliśmy Google na przeglądanie naszych maili, żeby firma mogła podsuwać nam adekwatne reklamy i inkasować pieniądze od sprzedawców reklamowanych towarów. Było to zgodne ze znaną mądrością ludową: jeśli ktoś daje ci za darmo jakiś towar (w tym przypadku skrzynkę mailową), to zapewne sam jesteś towarem. Od 2017 r. Google już nie skanuje maili – kojarzyło się to bardzo źle – ale nadal podsuwa nam reklamy, opierając się na naszej historii przeglądania internetu, tym, co wpisujemy w okienku wyszukiwania, oglądamy na YouTube itd.

Internetowa inwigilacja to ogromny rynek, generujący globalnie ok. 300 mld dol. rocznie. Powstało mnóstwo wyspecjalizowanych firm, które skupują nasze dane ze wszystkich możliwych źródeł, np. od różnych stron internetowych, które rejestrują nasze wizyty. Jesteśmy przez nie śledzeni również w realu. Np. jeśli instalujemy na telefonie aplikację z prognozą pogody, to wyrażamy zgodę na udostępnienie naszej lokalizacji. Przecież aplikacja musi wiedzieć, gdzie się znajduje telefon, żeby mogła pokazać prognozę pogody dla tego miejsca. Ale nie każdy zdaje sobie sprawę, że aplikacje pogodowe sprzedają naszą lokalizację handlarzom danych – sami się na to bezwiednie zgadzamy, klikając „tak" podczas instalacji.

Kilka lat temu firma Mobilewalla, jeden z handlarzy danych, została przyłapana na tym, że sprzedawała informacje, jakie szpitale i kliniki odwiedzają użytkownicy telefonów. Jeśli jakaś kobieta była na oddziale położniczym, na jej telefonie zaraz pojawiały się reklamy pieluch. Federalna Komisja Handlu (FTC) uznała, że zbieranie i sprzedawanie danych tak wrażliwych, jak wizyty u lekarzy, jest niedopuszczalne.

Dotychczas masową inwigilację wykorzystywano głównie do podsuwania adekwatnych reklam, a *surveillance pricing* to kolejny logiczny krok w tym samym kierunku.

Wielu ludzi uważa, że to o krok za daleko. Obrońcy praw konsumentów skrzyknęli się pod hasłem „Jedna sprawiedliwa cena dla wszystkich!". W kilkunastu stanach USA przyjęto już prawa ograniczające *surveillance pricing* albo zmuszające

eprasa.pl 5357578c79

sprzedawców do ujawniania takich praktyk. Mieszkańcy stanu Nowy Jork od kilku miesięcy czasami widzą podczas zakupów następujący, wysoce odstręczający komunikat: „Ta cena została ustalona przez algorytm na podstawie twoich prywatnych danych". To efekt ustawy, którą władze stanu przyjęły rok temu. Sprzedawcy próbowali ją obalić w sądach, ale pozwy zostały odrzucone i od listopada ub.r. mają obowiązek informować konsumentów o indywidualnych cenach.

Dopasujemy do ciebie

Ten gwałtowny ludowy bunt jest zaskoczeniem dla niektórych menedżerów i marketingowców. Prezes linii lotniczych Delta Glen Hauenstein w zeszłym roku publicznie chwalił się na zebraniu akcjonariuszy, że ceny 3 proc. biletów są ustalane indywidualnie przez sztuczną inteligencję, wkrótce będzie to 20 proc., a docelowo – wszystkie!

Izraelski start-up Fetcherr, który dostarcza Delcie algorytmicznych narzędzi potrzebnych do *surveillance pricing*, tak reklamował się na blogu skierowanym głównie do linii lotniczych, ale opublikowanym publicznie: „Nasz system holistycznie analizuje dane, znajdując optymalną cenę biletu dla każdego klienta, z uwzględnieniem jej wpływu na całkowite przychody firmy. Czynniki, takie jak wartość klienta w całym cyklu jego życia, wcześniejsze zachowania zakupowe oraz kontekst każdej rezerwacji w czasie rzeczywistym, składają się na stworzenie prawdziwie spersonalizowanej oferty".

Problem w tym, że ludzie generalnie nie lubią masowej inwigilacji i irytuje ich myśl, że być może płacą za to samo więcej niż inni. Nikogo nie przekonuje marketingowy bełkot o „dopasowaniu do indywidualnych potrzeb każdego klienta", a *surveillance pricing* kojarzy się głównie ze szpiegowaniem i naciąganiem. Na to nakładają się ogólnie złe nastroje Amerykanów, którzy uważają, że za rządów Donalda Trumpa żyje im się coraz gorzej. W kilku sondażach zamówionych przez obrońców konsumentów około dwóch trzecich respondentów opowiadało się za całkowitym zakazem indywidualnych cen.

Indywidualnymi cenami zajęła się Federalna Komisja Handlu (FTC). „Wstępne wyniki naszego śledztwa potwierdzają, że sprzedawcy często wykorzystują prywatne dane konsumentów, żeby ustalać indywidualne, dopasowane do każdego ceny. Używane są do tego dane demograficzne i lokalizacja. Analizuje się nawet ruchy komputerowej myszki, którą posługuje się konsument" – mówiła w styczniu 2025 r. szefowa FTC Lina Khan. „Należy nadal badać tę sprawę, bo Amerykanie mają prawo wiedzieć, jakie ich dane są wykorzystywane i czy płacą takie same, czy różne ceny za te same towary i usługi".

Deklaracje pani Khan okazały się nieco na wyrost. Zaraz po publikacji raportu FTC prezydentem został Trump, ona sama straciła pracę, a śledztwo w sprawie *surveillance pricing* zamknięto. Nadeszły czasy deregulacji i to, co wydawało się podstawą handlu detalicznego – jawna, sprawiedliwa, taka sama dla wszystkich cena – jest już zagrożone nie tylko w internecie.



Ludzie generalnie nie lubią masowej inwigilacji i irytuje ich myśl, że być może płacą za to samo więcej niż inni.

Ostatnio w sklepach stacjonarnych w Nowym Jorku zaczęły się pojawiać elektroniczne etykiety z cenami, które zastępują te tradycyjne, wydrukowane na papierze. Początkowo uważano to za nieszkodliwą modę, ale konsumenci zauważyli, że ceny zaczęły się zmieniać nawet kilka razy w ciągu dnia. Elektroniczne etykiety podłączone są do systemu, wystarczy kilka kliknięć i już! W nowojorskiej radzie miejskiej pojawił się projekt ustawy zakazującej elektronicznych etykiet w sklepach spożywczych i aptekach.

Powrót do przeszłości

Wielu ludzi te zmiany szokują, ale być może nie powinny, bo etykiety z cenami – i jawne ceny, takie same dla wszystkich klientów – to wynalazek bardzo późny. Późniejszy niż maszyna parowa, telegraf czy aparat fotograficzny. W starożytności, średniowieczu czy oświeceniu człowiek wchodzący do sklepu czy podchodzący do kramu na bazarze nie widział żadnych cen. Sprzedawca zawsze targował się z klientem i każda transakcja była skutkiem negocjacji. Zaczęło się to zmieniać dopiero ok. 1870 r., kiedy w Ameryce powstały pierwsze duże, wielopiętrowe domy handlowe.

Niejaki John Wanamaker zakupił magazyn kolejowy w Filadelfii i przerobił go na taki właśnie dom handlowy. Dotychczasowy model zakupów, oparty na targach między sprzedawcą i kupującym, był tam niemożliwy do zastosowania. Po pierwsze, targowanie się wymagało doświadczenia, które dobry sprzedawca nabywał latami, oraz wiedzy, jak bardzo może zejść z ceny, żeby transakcja jeszcze była opłacalna. Żeby przyzwoicie zarabiać, nierzadko musiał być dobrym psychologiem. Tymczasem Wanamaker potrzebował wielu sprzedawców i nie miał czasu ich szkolić. Po drugie, nawet gdyby zostali wyszkoleni, to klientów było zbyt wielu, żeby z każdym z osobna się targować. Dlatego w domu handlowym Wanamakera wprowadzono nowość – etykiety z cenami.

Minęło 150 lat i model handlu detalicznego znowu się zmienia; być może jawne i sprawiedliwe ceny będą znikać. Ale w niektórych miejscach zapewne zostaną. Bo nawet w dawnych wiekach, w czasach powszechnego targowania się, były znaczące wyjątki. Np. 500 lat temu w Sewilli ceny chleba były stałe i ściśle regulowane przez radę miejską. Po piekarniach chodzili kontrolerzy, którzy sprawdzali, czy jest sprzedawany według urzędowej stawki. Sprzedawcy, którzy nielegalnie podnosili cenę, byli surowo karani, m.in. konfiskatą towaru. Sezonowo wprowadzano również limity cenowe na wino oraz mięso. Ale handel owocami, przyprawami czy ubraniami nigdy nie był regulowany.

Dlatego – w dającej się przewidzieć przyszłości – ceny Coca-Coli w automatach nie będą rosnąć nawet w największe upały. A firma Instacart, przyłapana na sprzedaży krakersów po indywidualnych cenach, już wyraziła skruchę: „Wysłuchaliśmy głosów naszych klientów i rozumiemy, że nasze testy sprzedażowe były niefortunne i niestosowne, zwłaszcza że jesteśmy firmą zbudowaną na zaufaniu, transparentności i przystępności naszych cen".

MARIUSZ ZAWADZKI

eprasa.pl 5357578c79

Reprezentacja

ŁUKASZ WÓJCIK

Nawet jeśli Iran wygra mundial, dla wielu Irańczyków nie będzie to ich zwycięstwo, tylko reżimu. Jak władza ukradła sport Irańczykom?



Jest taki film Abbasa Kiarostamiego „A życie trwa dalej" z 1991 r. Główny bohater, reżyser, wraz z synem jadą do Gilian nad Morzem Kaspijskim, gdzie doszło do trzęsienia ziemi. I tam, brnąc przez ruiny jednego z miasteczek, spotykają okaleczonego mężczyznę. Właśnie stracił prawie całą rodzinę, ma rany na twarzy i rękę w gipsie. A rzecz się dzieje w 1990 r., równolegle z mundialem we Włoszech. Nie zważając na nic, mężczyzna wytrwale uderza gipsem w antenę telewizyjną, bo zaraz zacznie się mecz Argentyna–Brazylia.

Później Kiarostami przyzna w jednym z wywiadów, że to jemu przydarzyła się ta historia. „Dla tego pokiereszowanego Irańczyka pośród gruzów liczyło się tylko to, że żyje. A potem piłka nożna". Dziś Kiarostami takiego filmu już by nie nakręcił.

Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, 16 czerwca w Los Angeles piłkarska reprezentacja Iranu rozegrała z Nową Zelandią pierwszy mecz na północnoamerykańskim mundialu. Zakwalifikowała się na turniej bez problemu – jeszcze gdy nie było wojny. Komplikacje zaczęły się później. Mimo protestów Irańczyków ich drużyna rozegra wszystkie trzy mecze w USA (drugi z Belgią, też w Los Angeles; trzeci z Egiptem w Seattle). Władze irańskiej federacji wybrały więc Tucson w Arizonie jako bazę. Ale po amerykańsko-izraelskiej agresji z 28 lutego Waszyngton wyprosił Irańczyków, którzy ostatecznie bazują w Meksyku.

Administracja Trumpa zwlekała z przyznaniem specjalnych wiz irańskiej reprezentacji niemal do samego turnieju – Iran jest na liście państw, których obywatele nie mają prawa wjazdu do USA. A gdy już wizy przyznała, to nie wszystkim – zabrakło ich dla wielu działaczy, w tym dla szefa irańskiej federacji Mehdiego Tadża, który jest związany ze Strażnikami Rewolucji, czyli z gwardią reżimu uznawaną m.in. w USA za organizację terrorystyczną.

Największym jednak utrudnieniem może się okazać ostatni warunek postawiony przez Waszyngton reprezentacji Iranu – nie może pozostać na noc na terytorium USA. Oznacza to, że przy okazji każdego meczu rano przylatuje z Meksyku i zaraz po meczu tam wraca. To pierwsza taka sytuacja w historii piłkarskich mistrzostw świata, gdy dwaj uczestnicy, w tym gospodarz, prowadzą otwartą wojnę.

Tylko czy Irańczykom jeszcze zależy na mundialu? – *Kiarostami nie nakręciłby już swojego filmu, bo Irańczycy odkochali się w futbolu* – mówi irański socjolog Asef Bayat. – *Cztery lata temu na mundialu w Katarze coś jednak tąpnęło.* Wcześniej kolejne awanse na mundial (było ich siedem) Irańczycy świętowali na ulicach. Gdy po dwumeczu z Australią zakwalifikowali się na francuski mundial w 1998 r., celebracje trwały tydzień, w kolejnych latach obchodzono nawet rocznice tamtego triumfu.

We Francji doszło do pierwszego meczu Iran–USA. Od rewolucji islamskiej i zajęcia ambasady USA w Teheranie stosunki między tymi państwami były fatalne. Inaczej niż między piłkarzami. Przed meczem Irańczycy obdarowali Amerykanów białymi różami, symbolami pokoju, a potem obie reprezentacje pozowały wymieszane do wspólnego zdjęcia. Nie było czerwonych kartek, wygrali Irańczycy. Potem jeszcze obie reprezentacje spotkały się na mundialu w Katarze, gdzie Amerykanie się odegrali.

Bez względu jednak na mundialowe wyniki przez ostatnie trzy dekady piłka nożna była na pierwszym miejscu w sercach irańskich kibiców. Teraz coś się zmieniło. – *To już nie jest drużyna narodowa* (Irańczycy mówią „Team Melli"), *ale reprezentacja reżimu* – mówi Mohsen, który ukrywa przed tym reżimem swoje nazwisko. Jako junior grał w legendarnym klubie z Teheranu, Persepolis. Na studiach zaangażował się w antyreżimowe protesty, ale reprezentację „nadal kochał". Aż przyszedł 2022 r. – *Gdy tym pajacom przyszło się opowiedzieć po jednej ze stron, wielu wybrało reżim. To był koniec Team Melli.*

Mohsenowi chodzi o falę protestów po śmierci Mahsy Amini, młodej Iranki zamordowanej przez policję obyczajową za nieodpowiednie przykrycie włosów. Wtedy, tuż przed mundialem w Katarze, protestujący uważali, że większość zawodników reprezentacji nie zajęła jasnego stanowiska wobec tłumienia demonstracji, a liczyli na ich wsparcie. Nie zmienił tego fakt, że przed pierwszym meczem z Anglią demonstracyjnie nie zaśpiewali hymnu. Potem było już tylko gorzej.

eprasa.pl 5357578c79

reżimowa



Reprezentacja Iranu przed eliminacyjnym meczem z Kostaryką ze zdjęciami dzieci zabitych na wojnie z Izraelem i Ameryką

© ORHAN CICEK/ANADOLU/GETTY IMAGES

– *Nie pamiętam, żeby mundial wydawał się Irańczykom tak nieważny i pozbawiony emocji, jak ten obecny* – opowiada o atmosferze w Iranie Bayat. – *Po części wynika to z przytłoczenia wojną, sytuacją ekonomiczną. Też ze społecznego napięcia, które utrzymuje się przecież już od stycznia, gdy wybuchła ogromna fala protestów. Ale Irańczycy rzeczywiście liczyli na swoich współczesnych bohaterów i się zawiedli.*

2 Nie na wszystkich. „Magik", czyli Ali Karimi, to dawna gwiazda stołecznego klubu Persepolis, potem zdobył m.in. mistrzostwo Niemiec z Bayernem Monachium. „Ojczyzna na was czeka. Nie pozwólcie, aby niewinna krew została przelana" – pisał „Magik" podczas styczniowych protestów na swoich profilach społecznościowych, gdzie ma setki tysięcy obserwujących. I dalej: „Ich (elity – przyp. red.) dzieci opuszczają kraj, nasze dzieci umierają". Karimi sam jest już poza krajem, reżim odebrał mu niemal cały majątek.

Drugi odważny, Ali Daei, zwany też „monarchą", nie może z kolei wyjechać z kraju, bo władze odebrały mu paszport. Przez kilka lat był rekordzistą świata, jeśli chodzi o bramki zdobyte w reprezentacji (przebił go dopiero Cristiano Ronaldo). Poparł najpierw protesty po zabójstwie Amini, a w styczniu, gdy na ulicach w starciach z rządowymi bojówkami i policją zginęło co najmniej kilkanaście tysięcy osób, zarzucił reżimowi, że „ostatecznie zdradził rewolucję i odwrócił się od ludu".

– *Reżim boi się takich ludzi, bo mają ogromny posłuch wśród Irańczyków, nawet tych niezainteresowanych piłką* – mówi Abbas Amanat, irański kibic i historyk z Yale University. – *To może być taka bomba z opóźnionym zapłonem. Bo, wiadomo, ludzie jeszcze teraz nie wyjdą na ulice na wezwanie Karimiego czy Daei. Ale w tak rozczłonkowanym społeczeństwie jak irańskie dzięki ich wpisom ludzie przynajmniej wiedzą, że nie są sami.*

Przypadki Karimiego i Daei są szczególne, bo przed ostrzejszymi represjami chroni ich wciąż popularność. Na większy szacunek zasługują piłkarze z drugiego czy trzeciego szeregu. Amanat przytacza historię prowincjonalnego klubu Naft Masdżed Solejman FC z zachodniego Iranu. Podczas styczniowych protestów jego zawodnicy, korzystając ze swojej lokalnej rozpoznawalności, próbowali powstrzymywać ataki sił bezpieczeństwa na demonstrantów. „Nie mam żadnych kontuzjowanych zawodników, ale trzech graczy mojej drużyny zostało aresztowanych i prawdopodobnie są już kontuzjowani" – powiedział przed kolejnym meczem Naftu trener Reza Mohadżeri.

Większość znanych piłkarzy nie odwróciła się od reżimu. Co najmniej dwóch gra dziś na mundialu. Pierwszy to lewoskrzydłowy Mehdi Torabi, który na co dzień występuje w kraju. Gdy podczas jednego z meczów po zabójstwie Amini wszyscy piłkarze założyli czarne opaski, Torabi jako jedyny się wyłamał. Potem tłumaczył, że przecież ta dziewczyna złamała prawo. Drugi, jeszcze głośniejszy, przypadek to napastnik Mehdi Taremi, którego międzynarodową karierę Irańczycy śledzili dotąd z zapartym tchem. Teraz gra w greckim Olympiakosie. Taremi regularnie umieszcza na swoim profilu „listy miłosne do reżimu", jak to określają jego krytycy.

3 „Po rewolucji 1979 r. nie tylko piłka nożna, ale sport w ogóle stał się narzędziem w rękach nowego reżimu – pisze w swojej historii Iranu Michael Axworthy. – Sport nie rozwijał się już oddolnie, jako niezależna instytucja obywatelska – został przekształcony w odgórny instrument władzy. ▶

eprasa.pl 5357578c79

▶ Podobnie jak w ówczesnych państwach obozu komunistycznego medale zdobywane na międzynarodowych imprezach stały się narzędziem legitymizacji i geopolitycznego komunikatu – jesteśmy silni".

Na całą pierwszą dekadę republiki islamskiej sport w zasadzie zniknął z przestrzeni publicznej. Formalny zakaz dostało wiele dyscyplin niekompatybilnych z nową ideologią państwa – w tym kilka tak nieoczywistych jak tenis (sport zachodnich bogaczy), kung-fu, szermierka, boks (sporty przemocy), ale też szachy. Ten ostatni, jakże perski przypadek kojarzył się nowej władzy z hazardem, lenistwem, a długie partie miały przeszkadzać w regularnych modlitwach.

Dla jeszcze większej kontroli rewolucyjne władze przejęły stadiony i inne obiekty sportowe, a piłkarska federacja dostała nowe kierownictwo. Władze konfiskowały też największe kluby piłkarskie, widząc w nich (trafnie) alternatywne i niezależne ośrodki mobilizacji społecznej. W ręce państwa trafiły m.in. dwa stołeczne giganty – Tadż i Persepolis (ten pierwszy występuje dziś pod zmienioną nazwą Esteglal). Według azjatyckiej federacji piłkarskiej AFC Persepolis jest zresztą nadal najpopularniejszym klubem w Azji, z ponad 30 mln. kibiców.

Oba wspomniane kluby mają udział w przełamaniu pewnego tabu. W lutym 1990 r., gdy kraj dopiero wychodził z bezsensownie przedłużanej wojny z Irakiem, a negatywne emocje społeczne buzowały pod przykrywką represji, Persepolis i Esteglal miały zaplanowane mecze ligowe w Teheranie. W ostatniej chwili władze piłkarskie odwołały oba spotkania z powodu ulewnego deszczu. Ale nie dowiedzieli się o tym kibice, którzy tłumnie pocałowali stadionowe klamki. I się wściekli. Doszło do masowych zamieszek i – zdaniem kilku historyków – właśnie wtedy pierwszy raz wybrzmiało hasło „Śmierć islamskiej republice", do dziś główny uliczny slogan opozycji.

4 Sport bywał więc poręczny dla reżimu, ale stanowił też zagrożenie. Dlatego wymagał coraz większego nadzoru i podporządkowania ideologii. Widać to dobrze w „temacie izraelskim", jak mówią nasi rozmówcy. Otóż władze do dziś nie zgadzają się, aby irańscy sportowcy rywalizowali z Izraelczykami. Czasem takiej konfrontacji nie sposób przewidzieć, szczególnie w sportach rozgrywanych metodą pucharową, jak w zasadzie wszystkie sporty walki. Wtedy Irańczycy muszą symulować kontuzję lub chorobę, po prostu nie wchodzą na matę. Albo prewencyjnie przegrywają.

Kilka lat temu głośny był przypadek z Polski. Na rozgrywanych u nas zapaśniczych mistrzostwach świata jeden z najlepszych irańskich zawodników, Alireza Karimi, już w trakcie pojedynku z Rosjaninem, w którym wyraźnie wygrywał, dowiedział się, że na macie obok wygrał Izraelczyk, który teraz czeka na niego w kolejnej rundzie. Karimi usłyszał wtedy od trenera „Musisz przegrać!", co zarejestrowały mikrofony. Karimi przegrał, za co dostał od Najwyższego Przywódcy złoty pierścień. A w irańskim internecie szaloną karierę zrobił hasztag „Musisz przegrać!".

Zapasy doskonale pokazują, jaką drogę przebył sport w rewolucyjnym Iranie. Jeszcze 200, 300 lat temu zapasy były narodową religią. Irańscy zapaśnicy łączyli sprawność fizyczną z medytacją, sufizmem oraz społeczną odpowiedzialnością. Tworzyli bractwa opiekujące się najsłabszymi, przekształcając swoje sale treningowe, tzw. domy siły (*zurkaneh*) w przytułki. Zurkanehy wciąż można znaleźć w wielu irańskich miastach, ale dziś pełnią one zupełnie inną funkcję, o czym zaraz.

Tamci mistrzowie zapasów też czasem świadomie wybierali porażkę, ale z zupełnie innych powodów. Np. gdy widzieli, że przeciwnik jest kontuzjowany. Legenda irańskich zapasów, Gholam Reza Takti, pierwszy irański mistrz olimpijski (Melbourne 1956), podczas walki z Rosjaninem Aleksandrem Miedwiediem odmówił ataku na kontuzjowane kolano rywala, choć taki atak głośno doradzał mu trener, i ostatecznie przegrał walkę.

Współcześni irańscy mistrzowie zapasów i innych sportów walki poszli w zupełnie inną stronę. Jedną z najbardziej utytułowanych i prominentnych postaci w tym sporcie jest były już zawodnik, a teraz działacz Mohammad Dżaran, który jednocześnie kieruje związaną ze Strażnikami jednostką specjalną do tłumienia demonstracji Fatehin. Sama nazwa budzi wśród Irańczyków strach. To nie są ludzie, którzy z pałkami i tarczami w szeregu spychają demonstrantów – oni wyłapują słabsze jednostki, a potem się nad nimi znęcają.

To właśnie pod okiem Dżarana domy siły stały się ośrodkami rekrutacji osiłków, którzy później – korzystając z zapaśniczego przeszkolenia – jako „nieznani sprawcy", rozbijają demonstracje albo napadają na mieszkania aktywistów.

5 Największy ciężar sportowej rewolucji po 1979 r. poniosły jednak Iranki. W pierwszych latach nowej republiki nie mogły uprawiać publicznie żadnych sportów. Władze tłumaczyły to wtedy brakiem odpowiednich strojów, np. do pływania czy gimnastyki, i odrębnych dla kobiet przestrzeni publicznych. Z czasem to się zmieniło, ale nadal obowiązuje lista sportów zakazanych dla Iranek. Np. za jazdę na rowerze, choćby rekreacyjną, kobieta może trafić do aresztu. Z egzekwowaniem tego zakazu bywa różnie, ale władze jeszcze niedawno tłumaczyły, że kolarstwo może spowodować u kobiet bezpłodność.

Odrębną „dyscypliną" jest hidżab. Jeszcze w latach 80. obowiązkowe nakrycie głowy było pretekstem do zakazywania Irankom każdej aktywności ruchowej, która mogłaby odsłonić włosy. Z czasem jednak hidżab stał się dla reżimu narzędziem promowania pobożnego stylu życia. Zakryte Iranki są więc do dziś wysyłane na wszystkie możliwe zawody, nawet jeśli wyraźnie odstają poziomem – tylko po to, aby przed kamerami świecić przykładem, czyli hidżabem.

6 „Wiedza o sporcie jest kluczem do poznania społeczeństwa". Ta teza twórców socjologii sportu Norberta Eliasa i Érica Dunninga w ich wspólnej książce „Sport i cywilizacja" wydaje się nabierać szczególnego znaczenia w przypadku Iranu. Sport długo był dla Irańczyków sposobem wyrażania siebie – może ograniczonym, ale pełnym iście latynoskiej emocji. Potem porwała go rewolucja. Zdeprawowała zapasy, teraz próbuje to samo zrobić z piłką nożną. Każdy sukces reprezentacji na obecnym mundialu będzie chciała przedstawić jako triumf własny. A wszystkich Irańczyków cieszących się z tych sukcesów wrzucić do grona swoich zwolenników. Szczególnie teraz, w czasie wojny.

Tym bardziej że może się nadarzyć ku temu wyjątkowa okazja. Jeśli reprezentacje Iranu i USA zajmą w swoich grupach drugie miejsca, to w kolejnej rundzie, 3 lipca, znów zagrają ze sobą.

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl 5357578c79



W imię córki

Posag znów stał się w Indiach sposobem na zarobek. Zakazany prawem zwyczaj kwitnie i zgarnia śmiertelne żniwo – tysiące młodych żon rocznie.

PAULINA WILK

Jeszcze zanim ciało jej synowej zdjęto ze sznura, Giribala Singh chwyciła za telefon. Wykonała ponad 40 połączeń, ale nie było wśród nich numeru alarmowego 112. Na wyciągu telefonicznym byli natomiast urzędnicy, śledczy, funkcjonariusze, prawnicy. Jako sędzia okręgowa – już emerytowana, ale wciąż zawodowo czynna – wiedziała, jak działać. A także kogo trzymać z dala od swego rodzinnego domu w Bhopalu, stolicy stanu Madhja Pradeś. Udawało się przez pierwsze kluczowe doby. Dopiero po trzech dniach lokalna policja, której posterunek znajduje się kilkaset metrów od domu sędzi, przyjęła zawiadomienie od rodziny zmarłej. Rodzice i brat ofiary domagali się zbadania okoliczności śmierci w związku z wymuszeniem posagu i możliwym okrucieństwem.

Prawie trzy dni to dość czasu, by usunąć ślady, uszkodzić domowe kamery, uzgodnić wersje zeznań, wysłać głównego podejrzanego (czyli swego syna) w nieznane miejsce. I sędzia o wszystkie te szczegóły zadbała. Pogubiła się tylko w kwestii sznura lub paska mającego być dowodem – do dziś nie przekazano go policji. Nie wiadomo, na czym zawisło – o ile w istocie wisiało – ciało zmarłej. Pierwsze doniesienia mówiły o upadku z balkonu. Pani sędzia była gotowa na pojawienie się kamer i odwracanie uwagi od takich kłopotliwych pytań. Gdy media przyjechały, uruchomiła kampanię oczerniającą zmarłą synową – Twishę Sharmę, 33-letnią modelkę i aktorkę, którą ledwie pięć miesięcy wcześniej przyjęła pod swój dach.

W przypadkach związanych z posagiem indyjski kodeks karny narzuca surową procedurę. Jeśli w ciągu siedmiu lat od zawarcia małżeństwa żona umiera nienaturalną śmiercią (w tym samobójczą) na skutek odniesionych ran, np. poparzeń, lub w wyniku nękania, śledczy i sądy mają obowiązek traktować taki zgon jako *dowry death* (ang. śmierć w związku z posagiem).

Dochodzenie musi prowadzić wysoki rangą śledczy, żeby nie ulegać naciskom. Orzekać mogą sędziowie magistratów pierwszej klasy (odpowiedniki naszych sądów okręgowych), a policja ma obowiązek zlecić sekcję zwłok. Jeśli oskarżenie wykaże, że w okresie poprzedzającym śmierć zmarła była nękana w związku z posagiem, sąd automatycznie zakłada winę męża i krewnych.

Śmierć w związku z posagiem doczekała się szczególnego traktowania w 1986 r., ćwierć wieku po tym, gdy zakazano wręczania posagu, przyjmowania go, nakłaniania lub wymuszania jego przekazywania. Niepodległe Indie walczyły wówczas z rozmaitymi tradycjami i obyczajami, które nie licowały z aspiracjami świeckiego państwa stawiającego na rozwój i pragnącego dołączyć do nowoczesnego świata.

Ustawy karzą już samo nękanie w związku z posagiem. Okrucieństwo krewnych lub męża wobec żony podlega sankcji do trzech lat pozbawienia wolności lub grzywny. Za zabójstwo w związku z posagiem grozi co najmniej siedem lat więzienia, maksymalna kara to dożywocie. Skazany nie może wyjść za kaucją. ▶

© SYED ALI ASHRAF/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 5357578c79

▶ Tyle że to surowe prawo nie działa. Nawet 85 proc. mężów oskarżonych o zabójstwa żon chodzi wolno.

Samarth Singh, syn emerytowanej sędzi, a zarazem główny podejrzany w sprawie o zabójstwo swej żony Twishy Sharmy, na razie nie ma szczęścia. Policja w końcu go znalazła, przebywa w areszcie tymczasowym, a sąd odrzucił jego wniosek o tzw. kaucję wyprzedzającą, którą reprezentujący go koledzy po fachu (Sharma ma własną kancelarię prawną) złożyli już dzień po śmierci żony, ale aż dwa dni przed tym, gdy policja zarejestrowała zgłoszenie o podejrzanej śmierci.

12 maja ciało Twishy Sharmy przetransportowano z domu męża w Bhopalu do szpitala, gdzie stwierdzono „zgon przez powieszenie". Kto znalazł ciało i gdzie dokładnie – na dachu czy w domowej siłowni? Wyciekają sprzeczne wersje. A sprawa od ponad miesiąca wstrząsa Indiami – krajem znieczulonym, bo przywykłym do doniesień o nieszczęśliwych zgonach młodych żon. Ta historia jednak nie ucichnie, bo toczy się na świeczniku.

Walka dwóch rodzin z wyższej klasy średniej świadczy o tym, że dziś w Indiach same pieniądze, edukacja czy prestiż – a dostęp do tych zasobów ma coraz większa grupa – nie gwarantują równości, wolności ani bezpieczeństwa. Wykształceni i ambitni przedstawiciele nowych elit zderzają się z murem tych starych – naprawdę wpływowych, zakotwiczonych w strukturach władzy, których więzi uświęcane są nektarem z łapówek i wzajemnych przysług. Sam fakt, że policja odmawiała przyjęcia zawiadomienia o podejrzeniu przestępstwa, nie dziwi. Bez łapówki często nie ma zgłoszenia. I to samo usłyszeli rodzice i brat zmarłej. Dopiero gdy razem z krewnymi głośno protestowali przed posterunkiem, zgłoszenie przyjęto.

Twisha Sharma to nie była prowincjonalna „panna nikt", lecz wykształcona aktorka, z dyplomem MBA, karierą w spotach reklamowych i filmach kręconych w języku telugu (mówią nim południowe Indie) oraz z tytułem Miss Pune – ważnej metropolii i centrum kultury filmowej, miasta liberalnych i artystycznych elit. Ostatnio pracowała dla niemieckiej firmy jako specjalistka od marketingu.

Jej rodzina umiejętnie wykorzystuje swoje kompetencje, dostęp do wiedzy, wsparcia i mediów. Walczy skutecznie, teraz już z pomocą cenionych prawników, a ma przeciw sobie potężną machinę. Nie tylko struktury władzy, lecz także schematy działające w dwulicowym społeczeństwie, które lubi oglądać melodramaty, ale problemy społeczne częściej zamiata pod dywan, niż rozwiązuje.

W dniu śmierci, 12 maja – zaledwie rok po tym, gdy poznali przyszłego męża Twishy – państwo Sharma odebrali telefon od córki. Znów dzwoniła z płaczem. Wcześniej już mówiła, że jest nieszczęśliwa, zastraszana i nękana. Opowiedziała bratu, że mąż ją popchnął ledwie dzień po ślubie. Brat żałuje, że nie zareagował od razu. W ostatniej wieczornej rozmowie miała powiedzieć rodzicom: „Przeszłam aborcję, zarezerwujcie mi bilet powrotny. Nie mogę tu mieszkać". Potem w tle słychać było krzyk męża, połączenie zostało przerwane. Następnego dnia byli już w Bhopalu, długo domagając się wpuszczenia do kostnicy. Twierdzą, że na ciele córki widzieli rany, posiniaczenia, a na szyi ślady wiązania.

Odmówili odebrania ciała, zażądali ponownej sekcji – niezależnej. Wiedzieli, że tę pierwszą przeprowadzono w szpitalu, w którym ważną funkcję pełni siostra podejrzanego męża. Wyniki badania nie zostały upublicznione, ale z informacji sądowych wiadomo, że zmarła miała liczne i niewyjaśnione obrażenia. Ciało Twishy zostało już skremowane, odbyły się ceremonie pogrzebowe. A pojedynek o prawdę się rozpędza.

Policja przesłuchała sędzię Giribalę Singh oraz jej syna, który miał się przyznać do kłótni z żoną i konfliktu o ciążę. Śledczy potwierdzili, że było wiele nieprawidłowości w dochodzeniu i doszło do niszczenia dowodów. Co dalej – zdecyduje sąd. Jednak szanse na sprawiedliwość są ponadprzeciętne, tak jak niezwykłe jest zainteresowanie sporem toczącym się przed kamerami. Pod tą presją już 15 maja premier stanu obiecał rodzinie zmarłej uczciwe śledztwo, ale zaraz potem dochodzenie przejęły władze centralne.

Teściowa zmarłej rozkręcała tymczasem kampanię nienawiści: udzielała wywiadów, zwoływała konferencje i informowała, że Twisha Sharma cierpiała na schizofrenię, była uzależniona od leków, chciała usunąć ciążę, a do tego – i to kluczowy w kontekście indyjskiej kultury zarzut – była rozwiązła, najpewniej zaszła w ciążę na skutek romansu. Na żadne z tych twierdzeń nie przedstawiła dowodów.

Rodzina zmarłej kontruje własnymi konferencjami i twierdzi, że teściowa atakuje poprzez oszczerstwa. Faktycznie taka taktyka w Indiach bywa często stosowana wobec kobiet – ofiar rozmaitych przestępstw i dyskryminacji. Główną amunicją są tu: poniżanie, publiczne zawstydzanie, podważanie honoru kobiety i jej rodziny. Wszystko to nie tylko działa zastraszająco, ale może też mieć realny wpływ na decyzje sądów, a przede wszystkim na publiczne oceny moralne.

Ideał żony – wiernej, posłusznej, nieskalanej – to wciąż świętość. Dorastanie do niego jest obowiązkiem panny młodej, tak jak obowiązkiem jej rodziny jest wychować ją na wcieloną perfekcję. Teściowa, której trafi się zgniły owoc, czyli synowa niedoskonała, o podejrzanej opinii, ma moralne prawo prezentować się jako ofiara oszustwa i dążyć do oczyszczenia swego domu z takich powiązań. Emerytowana sędzia Singh skrupulatnie z tego schematu korzystała, sugerując, że Twisha prowadziła rozwiązłe życie przed ślubem, a „takie nawyki nie mijają". Rodzina Sharmy podtrzymuje, że ich córka zaczęła być molestowana o pieniądze i psychicznie nękana wkrótce po ślubie. I ta wersja budzi większe zaufanie, bo jest udziałem wielu indyjskich rodzin.

Sprawa Sharma przeciw Singh urasta do rangi wielkiego sporu na linii obywatele kontra państwo. Batalia toczy się aż na trzech planach. Dotyczy, po pierwsze, zaklętego kręgu przywilejów i koneksji, a więc pozorów demokracji. Po drugie – nieskuteczności prawa. A po trzecie – systemowo umacnianej nienawiści do kobiet. O wymiarze pierwszym najtrudniej publicznie rozmawiać w państwie coraz wyraźniej kroczącym ku autorytaryzmowi, gdzie rząd marginalizuje środowiska prodemokratyczne i betonuje swe wpływy od prowincji po Delhi. A wymiary drugi i trzeci ściśle się ze sobą wiążą. Indie mają regulacje prawne zapewniające – nominalnie – równość kobiet, a nawet tzw. pozytywną dyskryminację na ich korzyść, np. jeśli chodzi o dostęp do części usług publicznych.

Dlaczego więc surowe prawo, od 65 lat biorące na celownik zwyczaj przekazywania posagów wraz panną młodą do rodziny męża, nie tylko nie wyrugowało tej praktyki, lecz pozostaje martwą literą, podczas

© MS

eprasa.pl 5357578c79



Modelka Twisha Sharma po ślubie z prawnikiem Samarthem Singhiem skarżyła się na szykany w domu teściów. Znaleziono ją martwą z ranami na ciele. Samobójstwo? Sprawa nie zdobyłaby takiego rozgłosu w Indiach, gdyby nie dotyczyła elit.

gdy posagi puchną do horrendalnych rozmiarów, upowszechniają się w nowych społecznościach, a niemal wszyscy sprawcy pozostają bezkarni? Ponieważ niemal wszyscy są uwikłani w podtrzymywanie i wypaczanie obyczaju, któremu u zarania towarzyszyły dobre intencje.

Tradycja dawania pannie młodej biżuterii czy kawałka szlachetnego materiału miała stanowić jej zabezpieczenie finansowe w domu męża, do którego – i to się właściwie nie zmieniło – żona przenosi się zaraz po ślubie. Na dobrym wychowaniu i wydaniu za mąż tradycyjna rola jej rodziców i dotychczasowych opiekunów, np. braci czy wujów, się kończy. Obojętność na wołanie o pomoc to także część kultury, w której powrót zamężnej córki do domu to wielki dyshonor. W niewybaczających społecznościach nie ma wyjść awaryjnych ani pomocy. Zaklęcie brzmi: „Z czasem przywykniesz".

Matki wiedzą, że wychowują swe córki dla innych kobiet – przyszłych teściowych. I że czeka je trudna przeprawa, bo nawet w życzliwym domu wszystkiego trzeba się nauczyć od nowa, udowodnić swą wartość, odnaleźć się w hierarchii. Własny grosz z posagu miał tę pozycję od razu wspierać i służyć w czarnej godzinie. Bo nawet Twisha Sharma, wykształcona żona w zamożnym domu w 2026 r., żaliła się bratu, że odebrano jej wszystkie pieniądze. Brat wysyłał jej sekretne przelewy, żeby mogła płacić za własne potrzeby. Taka utrata niezależności – aż po faktyczne niewolnictwo – nie jest zamierzchłą baśnią, lecz historią z życia współczesnych Indusek, także tych z elit, w których konwenanse trzymają w uścisku tak samo mocno, jak bieda paraliżuje żony u spodu społecznej drabiny.

Od końca lat 80. i przejścia na gospodarkę wolnorynkową Indie się bogacą. Nierówno, bezlitośnie – na wyższe szczeble wchodzi się po cudzych plecach. Dlatego z żoną musi przyjść zarobek, czyli posag. W klasie Sharmów i Singhów posagiem mogą być nieruchomości albo gotówka na ich zakup, samochody, elektronika, sprzęty AGD, luksusowe wyposażenie domów, stroje. Nie trzeba używać słowa „posag" – i rodzina Twishy przyznaje, że ono nigdy nie padło.

Kto ma płacić za przyjęcie, za urządzenie domu, za wszelkie inne potrzeby państwa młodych – to przedmiot zawoalowanych ustaleń oraz nacisków, które tężeją z czasem. Wystarczy, że teściowa zacznie narzekać, że mogła mieć synową z lepszej rodziny. Jej syn przecież zasługuje na samochód, na wakacje, na komputer. Presja jest codzienna i się nasila. Zaczynają się telefony córki do rodziców, a większość z nich płaci, zapożycza się i płaci jeszcze więcej. Na ogół z nadzieją, że wreszcie żądania ustaną, a wysoka cena zapewni córce dobrą pozycję. I ten system trwa – z ważnym zastrzeżeniem. Gdy już dawna młoda żona umocni się, urodzi dzieci, przede wszystkim syna, przechodzi na pozycję władzy. I nieraz po latach bierze odwet na własnej synowej. A uporczywy kod kulturowy odtwarza się w nowych warunkach. Podlewany chciwością i pragnieniem zabezpieczenia finansowego rodziny.

Wbrew utrwalonemu na Zachodzie wizerunkowi Indii jako społeczeństwa głęboko uduchowionego, prawda jest złożona – owa duchowość współistnieje z ambicjami materialnymi i deficytem wrażliwości społecznej. Zbyt wielu ludzi zbyt poważnie martwi się o własne przetrwanie i pozycję, by żałować cudzych cierpień lub wahać się przed ich zadaniem innym uczestnikom tej rywalizacji. W takiej bezlitosnej ramie rozwija się – i właśnie walczy o uznanie – inny model rodziny i rodzicielskiej miłości. Sharmowie kochali swoją córkę, zachęcali do rozwoju. Nie była gorszym dzieckiem. Zarezerwowali powrotne bilety, o które prosiła.

Rodzina zamordowanej jest symbolem zmiany, jaką ostatnio przypadkowo oznajmił Indusom producent metalowych prętów stosowanych w budowlance. Zamówił film reklamowy, w którym chciał podkreślić siłę swoich prętów, pokazując niezłomność charakteru. „Człowieka ze stali" zagrał w nim ceniony bollywoodzki aktor – Gajraj Rao, który wcielił się w rolę ojca. W pierwszej scenie odbiera telefon od zapłakanej, niedawno wydanej za mąż córki. Nie ulega podszeptom krewnych: „Daj jej czas, musi przywyknąć". Jedzie po nią. Nie po cichu. Zatrudnia wielką orkiestrę, jaka zwykle gra w ślubnym orszaku, oznajmiając, że panna młoda zostaje oddana nowej rodzinie. W filmie równie triumfalnie i hałaśliwie ojciec odprowadza uratowaną córkę do domu.

I byłaby to tylko ckliwa historia, gdyby nie wydarzyła się naprawdę, gdy w 2023 r. biznesmen Prem Gupta wynajął orkiestrę i odebrał córkę z przemocowej rodziny w małym stanie Dżharkand (potem na podobny ruch zdecydowało się kilku innych ojców). A film stał się w Indiach wiralem.

Szacuje się, że co trzecia kobieta w Indiach doświadcza przemocy domowej. Co półtorej godziny jedna z nich umiera w związku z posagiem. Zwykle pozoruje się samobójstwo (otrucie lub powieszenie) albo wypadek (pożar kuchenki, upadek z dachu przy wieszaniu prania itp.). Sąsiedzi na ogół zeznają, że nie widzieli, nie słyszeli. Mężowie – że nie było ich w domu. Ciała często znajdują teściowe, zaskoczone i zrozpaczone. Jak Giribala Singh, która twierdzi, że 12 maja wieczorem po wspólnym oglądaniu telewizji wszyscy członkowie rodziny położyli się spać.

PAULINA WILK

eprasa.pl 5357578c79



Wściekły jak Fin

Wyrwana z neutralności Finlandia szybko przypomina sobie, co to znaczy być pod rosyjską okupacją. I jak trzeba się bronić przed wschodnim sąsiadem.

MARCIN ŻYŁA Z HELSINEK

Juho Kyntäjä dobrze pamięta moment, gdy poczuł, że Rosjanie wciąż marzą o imperium. Był koniec lat 90., wiózł klientów zza wschodniej granicy. Wzdłuż autostrady z Helsinek do Turku mijali nowe sklepy i centra logistyczne, gdy z tylnego siedzenia usłyszał: „I pomyśleć, że to wszystko było kiedyś nasze...".

– *Zagotowało się we mnie, lecz odparłem spokojnie: że za panowania carów Finlandia była ubogim krajem, a to, co widać, powstało dzięki naszej pracy* – mówi Kyntäjä, w tamtym czasie biznesmen działający w branży rolniczej. – *I drugi obrazek: trwa wojna w Czeczenii, a klienci z Rosji próbują mi wmówić, że w Groznym nie ma kobiet i dzieci, „tylko sami terroryści".* Po kilku podobnych rozmowach uznał, że musi zmienić pracę – na taką, w której nie trzeba będzie się spotykać z Rosjanami.

Historia Kyntäji – dziś uznanego tłumacza literatury polskiej – dobrze oddaje nastawienie Finów do Rosji po upadku Związku Radzieckiego. W latach 90. był to dla nich kraj wielkich możliwości. Za Borysa Jelcyna Finowie wierzyli, że wszystko potoczy się tam w stronę normalności. – *Starsze pokolenie, które uczestniczyło w wojnie, już wtedy patrzyło na ten optymizm młodych ze zdziwieniem i niedowierzaniem. Dla nich Rosja zawsze była wrogiem, źródłem zła. Po zmianie granic mój dziadek musiał opuścić swój rodzinny dom w Karelii* – opowiada Juho Kyntäjä.

Pamięć o masowych przesiedleniach sprzed lat – gdy po wojnach zimowej (1940) i kontynuacyjnej (1944) z terenów zajętych przez ZSRR wyjechało ok. 420 tys. Finów, czyli 12 proc. populacji – przypomina polskie wspomnienie Kresów. Żyje jednak we wszystkich pokoleniach. Grupujące potomków dawnych mieszkańców Karelii stowarzyszenie Karjalan Liitto od dekad organizuje imprezy kultywujące pamięć o zabranych ziemiach. A w helsińskich galeriach można się natknąć na inspirowane tamtymi wydarzeniami dzieła młodych artystów. Tożsamość karelską Finowie odkrywają równolegle z dyskutowanym wciąż dziedzictwem rdzennych Samów.

Juho Kyntäjä: – *Jako naród nosimy głębokie rany, jeszcze z XVIII w., gdy przez osiem lat trwała tu okupacja rosyjska. Dlatego słysząc dziś, co się dzieje na okupowanych terytoriach Ukrainy, wiemy dobrze, co to oznacza w praktyce.*

Może dlatego Marttaliitto – inne znane fińskie stowarzyszenie, które od końca XIX w. działa na rzecz lokalnych społeczności – organizuje teraz w fińskich szkołach nietypowe spotkania. Seniorki i seniorzy opowiadają dzieciom i młodzieży o swojej pamięci wojen i przesiedleń. Ma to budować społeczną odporność i oswajać młodsze pokolenie z myślą o nieprzyjaznym sąsiedzie ze wschodu.

Ostrzeżenia na przystankach

Cztery lata po pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę Finowie pierwszy raz poczuli wojnę na własnej skórze. 15 maja mieszkańcom prawie 2-milionowego re-

© JONAS GRATZER/GETTY IMAGES

eprasa.pl 5357578c79

gionu Uusimaa, obejmującego m.in. fińską stolicę, przez kilka godzin zalecano pozostanie w domach – nad ranem tego dnia znad Zatoki Fińskiej wleciał nad kraj niezidentyfikowany dron. Choć okoliczności incydentu pozostają wciąż niejasne, była to prawdopodobnie ukraińska maszyna biorąca udział w nalocie na Rosję.

Prezydent Alexander Stubb uspokajał wtedy obywateli, że nie ma bezpośredniego zagrożenia, ale jadący do pracy Finowie zapamiętali widok wyświetlanych na przystankach komunikatów alarmowych. Eksperci przypominają: podobne incydenty będą się powtarzać, a każde gospodarstwo domowe powinno mieć zapas wody, jedzenia i gotówki na co najmniej 72 godziny.

Finlandia – od 2023 r. członek NATO – inwestuje też w armię i współpracę z sojusznikami. 6 czerwca NATO ogłosiło powołanie pierwszej w Arktyce (z dowództwem w fińskim Rovaniemi) wielonarodowej grupy bojowej Sojuszu, której trzon stanowią Szwedzi. 600 żołnierzy wyszkolonych do walki w warunkach polarnych nie obroni Finlandii, ale wielonarodowy skład oddziałów, które docelowo mają osiągnąć liczebność brygady (kilka tysięcy), ma być gwarancją, że w razie konfliktu kraj nie zostanie sam.

Z kolei 19 czerwca kończą się natowskie manewry lotnicze Ramstein Flag z udziałem 12 myśliwców i pół tysiąca fińskich żołnierzy. Z lotnisk w północnej Finlandii i Norwegii samoloty Sojuszu ćwiczą m.in. przełamywanie obrony przeciwlotniczej wroga, a loty odbywają się m.in. w pobliżu Półwyspu Kolskiego, gdzie Rosja kotwiczy okręty zdolne do przenoszenia broni jądrowej.

Wyliczać można dalej. Fińska parlamentarna komisja obrony zarekomendowała właśnie zniesienie obowiązującego od lat 80. prawa zakazującego sprowadzenia do kraju broni atomowej. Straż graniczna testuje nowy system monitoringu dna morskiego, oparty na technologii wykrywania drgań akustycznych w wodzie.

Sami Metelinen z Fińskiego Forum Biznesu i Polityki (EVA), think tanku zajmującego się głównie polityką gospodarczą, tłumaczy, że fińskie myślenie o bezpieczeństwie opiera się na trzech nakładających się na siebie kręgach: – *Pierwszym i podstawowym jest oczywiście Finlandia. Nasza polityka przysposobienia obronnego od lat zakłada, że istotny udział w obronie kraju będą mieli wszyscy obywatele. Po drugie, Finowie patrzą na region: zależy nam na wzmocnieniu współpracy z państwami nordyckimi i bałtyckimi, ostatnio bliżej nam też do Polski. Trzeci krąg to NATO i współpraca atlantycka.*

Metelinen jest współautorem opublikowanych w ubiegłym roku badań na temat fińskiego poparcia dla NATO. Od 2023 r. zaufanie do Sojuszu spadło w Finlandii o 17 pkt proc. Tylko jedna trzecia Finów uważa, że art. 5 traktatu północnoatlantyckiego (wszyscy za jednego...) jest wystarczającym gwarantem bezpieczeństwa. Aż 42 proc. sprzeciwia się poglądowi, że w interesie Finlandii jest jak najściślejsza współpraca z USA. – *Powodem tych zmian jest Donald Trump, do którego większość Finów ma negatywny stosunek. A trzeba tu dodać, że sondaż przeprowadzono jeszcze przed obserwowaną tu uważnie eskalacją kryzysu wokół Grenlandii* – mówi Metelinen.

Ekspert wyjaśnia też, że Finowie – inaczej niż Polacy – nigdy nie byli specjalnie proamerykańscy. Na szybką ścieżkę do NATO prowadził ich wrodzony pragmatyzm – ten sam, który każe dziś zakładać, że granica z Rosją pozostanie zamknięta na długo.

Na kilka frontów

W opublikowanej kilka dni temu rozmowie ze szwajcarskim dziennikiem „Neue Zürcher Zeitung" prezydent Stubb, który jest uważnie słuchany na Zachodzie z powodu swoich kontaktów z Trumpem, podtrzymał swoje bezwarunkowe poparcie dla Ukrainy. Zaapelował jednak o negocjacje z Rosją: „Powinniśmy rozmawiać z Putinem. (...) W którymś momencie będziemy musieli wznowić stosunki polityczne". Jego zdaniem większość Rosjan jest przeciwko wojnie, a Finlandia i Europa nie mogą sobie pozwolić na dalsze ignorowanie Putina – nawet jeśli stosunki z Rosją nigdy nie będą takie jak kiedyś.

Na razie jednak Finowie przedłużyli na czas nieokreślony zamknięcie wszystkich przejść granicznych z Rosją. Nie działają one od końca 2023 r., gdy służby rosyjskie – podobnie jak wcześniej białoruskie na granicy z Polską – zaczęły zwozić migrantów. Natowskie samoloty rozpoznania elektronicznego monitorują też przygraniczne terytoria Rosji, skąd od roku docierają informacje o rozbudowie infrastruktury wojskowej. Helsinki dołączyły do innych państw regionu, żądając od Unii Europejskiej ograniczenia wydawania rosyjskim obywatelom wiz Schengen. Premier Petteri Orpo, który kilka dni temu wrócił z Paryża, nie wykluczył nawet udziału Finlandii we francuskiej inicjatywie „parasola nuklearnego".

Takie działanie na kilku frontach – wzmacnianie porozumień z pojedynczymi sojusznikami przy równoczesnej współpracy z całym NATO – łączy Finlandię z państwami bałtyckimi i Polską. „Cokolwiek [te państwa] zrobią niezależnie, muszą mieć wsparcie NATO lub UE. Tylko to zagwarantuje, że nie będą osamotnione w starciu z Rosją" – mówił w minionym tygodniu w wywiadzie dla publicznego nadawcy YLE Keir Giles, ekspert brytyjskiego think tanku Chatham House.

Mit o uzależnieniu

Po zamknięciu granicy rosyjskiej Finlandia niemal całkowicie odcięła się od wschodniego sąsiada. Mocno odczuło to kilka przygranicznych miejscowości, dokąd Rosjanie przyjeżdżali wcześniej na zakupy. Ale zdaniem Juho Kyntäji straty były ograniczone. – *Rosyjskie media piszą, że od tego czasu w Finlandii jest gigantyczny kryzys. Faktycznie, nasz wzrost gospodarczy w ostatnich latach spowolnił. Ale Rosja nie miała z tym dużo wspólnego.*

Kyntäja przypomina, że wbrew mitowi o fińskim uzależnieniu handlowym od Rosji nawet w szczytowych latach 90. eksport do tego kraju stanowił zaledwie kilkanaście procent całego fińskiego eksportu. Na szczęście dla krajowej gospodarki jej motor napędowy rozwoju stanowiła już wtedy branża nowych technologii, której symbolem była dawna potęga Nokii.

– *2014 r. odczuliśmy w branży rolniczej mocno* – mówi Juho Kyntäjä. – *Po aneksji Krymu Rosjanie nagle uznali, że nie chcą naszych produktów. Wcześniej na wschód sprzedawaliśmy np. jedną trzecią fińskiego mleka. Najpierw rolnictwo, a potem kolejne branże przestawiły się jednak na handel z innymi partnerami. Już wtedy było jasne, że poleganie na eksporcie do Rosji jest dużym ryzykiem.*

Kilka dni temu w pobliżu rosyjskiej ambasady w Helsinkach, której sąsiedztwo już wcześniej udekorowano ukraińskimi flagami, odsłonięto specjalną ławkę poświęconą Aleksiejowi Nawalnemu. Juho Kyntäjä zapytany, czy w kraju, który ma długą na 1344 km granicę lądową z Rosją, czuć dziś lęk o przyszłość, po krótkim milczeniu odpowiada zdecydowanym głosem, że większość Finów czuje wobec Rosji nie lęk, lecz wściekłość. ■

eprasa.pl 5357578c79



Nikol niemożliwy

Premier Armenii to jedna z najtrudniejszych posad w światowej polityce. I jest jakby skrojona pod Nikola Paszyniana.

JĘDRZEJ WINIECKI

Spektakularnie przegrana wojna z Azerbejdżanem w 2023 r. Utrata Górskiego Karabachu, czyli ziem, których utrzymanie uznawano w Armenii za sprawę egzystencjalną. I jeszcze prowokowanie gróźb mocarstwa atomowego, czyli Rosji. Wszystko to wykończyłoby niejednego polityka. Tymczasem notowania Nikola Paszyniana mają się nieźle. 51-letni premier Armenii właśnie wygrał wybory i będzie rządzić trzecią kadencję. Jego ugrupowanie Umowa Społeczna zdobyło blisko 50 proc. głosów i komfortową większość w parlamencie. Opozycja próbowała eksploatować gniew obywateli z powodu Karabachu, skąd musiało uciec 120 tys. Ormian i gdzie Azerbejdżan planowo niszczy ślady ormiańskiej obecności. Nie zadziałało. A Paszynian awansował na mistrza politycznego przetrwania.

Zaczynał od pisania. W swoich tekstach bezkompromisowo bił we władze i przez to m.in. wyleciał ze studiów dziennikarskich w Erywaniu. Założył wówczas poczytny dziennik „Haykakan Zhamanak" (pol. „Czas Ormian"), był jego redaktorem naczelnym, czołowym publicystą i dziennikarzem śledczym. Popularność zdobył jako tropiciel korupcji i krytyk porządków oligarchicznych. Musiał zachodzić za skórę, skoro jego Łada Niwa spłonęła pod redakcją.

Z dziennikarstwa niedaleko bywa do politycznego aktywizmu. W 2008 r. związany z Rosją klan karabaski, dekadami dominujący w armeńskiej polityce, zmanipulował wybory prezydenckie. Kraj wyszedł na ulice, a redaktor zameldował się na pierwszej linii. Władza się broniła, zginęło dziesięć osób. Paszynian był jednym z tych, których obwiniano o radykalizację nastrojów. Stał się poszukiwanym zbiegiem. Ukrywał się przez 16 miesięcy. W tym czasie gazetę prowadziła jego partnerka, równolegle wychowująca trójkę dzieci (teraz jest ich czworo). Przesyłał jej listy z instrukcjami, w których rzadziej chwalił decyzje redakcyjne, a częściej je krytykował.

Armeński Gandhi

W końcu się ujawnił, za organizowanie zamieszek skazano go na siedem lat więzienia. W zakładzie penitencjarnym nieprzypadkowo za sąsiadów dostał kryminalistów. Wyszedł po dwóch latach w ramach amnestii. Klan karabaski liczył się ze zdaniem Zachodu, dlatego tolerował medialną krytykę i opozycję, ale nie w stopniu, który pozwoliłby przejąć jej władzę. Paszynian umiał poruszać się w takim systemie – w 2012 r. dostał się do parlamentu, a później zajął drugie miejsce w wyborach na burmistrza Erywania.

W 2018 r. ówczesny prezydent, związany z klanem karabaskim Serż Sarkisjan, wyczerpał limit kadencji i tak zmienił konstytucję, by przesiąść się na fotel premiera, ale z zachowaniem uprawnień

© YURI KOCHETKOV/IMAGO/EAST NEWS

eprasa.pl 5357578c79

prezydenckich. To była iskra, która wywołała nową falę protestów, szło o całokształt dokonań klanu, stan państwa i trudy codziennego życia. Protestowało też nowe pokolenie obywateli. A Paszynian wrócił na ulicę. Nadal z tubą w ręce, ale tym razem w nowym emploi: bez garnituru, z wyraźną łysiną, z siwiejącą już brodą, czapką z daszkiem.

Miał też nowy program, już nie tak konfrontacyjny jak dziesięć lat wcześniej. Tym razem jego inspiracjami byli Nelson Mandela, przywódca walki o prawa czarnych mieszkańców RPA, i Mahatma Gandhi, ojciec indyjskiej niepodległości. Miało być więc bez rozrób i bojowych haseł, za to z moralną wyższością. Jak w 1930 r. Gandhi poszedł w tzw. Marszu Solnym, tak Paszynian szedł z Giumri, drugiego pod względem wielkości miasta kraju (i z adresem rosyjskiej bazy wojskowej), do Erywania.

Po pokonaniu 190 km wdrapał się na trybunę. Jak wielu Ormian zna kilka języków. Komunikatywnym angielskim objaśniał więc zagranicznym dziennikarzom stawkę zamieszania. Ta aksamitna rewolucja się skończyła, gdy pod presją rodaków premier podał się do dymisji. Oczywiste stało się, że najważniejsze stanowisko w kraju, teraz wzmocnione, czeka na Paszyniana. Musiał go jednak wybrać parlament zdominowany przez większość powiązaną z klanem karabaskim.

Początkowo szanse były marne. Paszynian nie pasował establishmentowi, który m.in. wyśmiewał jego strój. Armenia jest niewielka, prawie każdy mężczyzna był na wojnie w zamieszkanym przez Ormian Górskim Karabachu, który odebrano Azerbejdżanowi przy upadku Związku Radzieckiego. Paszynianowi wypominano, że weteranem nie był. I że ubieganie się o zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi wymaga czegoś więcej niż koszulki myśliwskiej. Paszynian to jednak sprawny trybun. Gdy więc zniecierpliwiony paraliżem w parlamencie ogłosił ogólnonarodowy strajk, znalazł posłuch. I w końcu został premierem – parlamentarzyści potwierdzili tylko decyzję, którą w praktyce podjęli demonstrujący na ulicach Ormianie.

Ścieżka Trockiego

Karierą armeńskiego premiera szczerze wydaje się zafascynowany Dmitrij Miedwiediew, były prezydent Rosji. Sądzić tak można po namiętności jego internetowych wpisów. We wrześniu 2023 r., gdy Ormianie ostatecznie nie obronili Karabachu przed azerską agresją, Rosjanin napisał: „Przegrał wojnę, ale dziwnym trafem pozostał na swoim miejscu. Potem postanowił zrzucić winę za swoją porażkę na Rosję. Potem oddał część terytorium swojego kraju. Potem postanowił flirtować z NATO (...). Zgadnijcie, jaki los go czeka?".

Pytanie było retoryczne. Jednak teraz, przy okazji niedawnych wyborów, Miedwiediew sam udzielił sobie odpowiedzi. „Towarzysz Nikol poszedł niebezpieczną ścieżką towarzysza Trockiego". Dla obeznanych z rosyjskim kodem politycznym aluzja jest jasna: Trocki rzucił wyzwanie Stalinowi, wiele lat uciekał, w Meksyku ciosem w głowę zabił go agent NKWD uzbrojony w czekan wspinaczkowy.

Rosja przez blisko 200 lat pozostawała imperialną zwierzchniczką Armenii. Z jej perspektywy Paszynian solidnie nagrzeszył. Formalnie jest sprzymierzeńcem w ramach koordynowanego przez Rosję anty-NATO. Współtworzy też przestrzeń wolnego rynku na części dawnego ZSRR. A zachowuje się tak, jakby chciał wypisać się z klubu, próbując zachować przywileje członkostwa. Udział w Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym zamroził. Na szczyt Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej w Astanie wysłał wicepremiera. No i otwartym tekstem dąży do członkostwa w Unii Europejskiej. W maju na szczycie w Erywaniu serdecznie przyjął przywódców państw członkowskich UE. Ciepło mówi o NATO i bliższych związkach z Ameryką Donalda Trumpa, którego zalał morzem pochlebstw i nominował do pokojowego Nobla za pośrednictwo w rozmowach z Azerbejdżanem.

Wypełnia to znamiona przewinienia najcięższego z możliwych, opisywanego jako „zdrada peryferii". Z reguły imperia, z Rosją włącznie, bywają znacznie bardziej rozdrażnione nielojalnością lub odejściem własnych peryferii niż rywalizacją z innymi potęgami. W tej logice rosnąca samodzielność Paszyniana ujawnia rosyjskie słabości. Stąd wspominanie Trockiego i wygłoszona zupełne serio uwaga prezydenta Rosji Władimira Putina, że podobnymi ruchami Ukraina sprowadziła na siebie rosyjski najazd.

Ci sami analitycy, którzy w 2018 r. narzekali na nieopierzenie Paszyniana, teraz zarzucają mu rządy autorytarne oraz – mówiąc delikatnie – brak zainteresowania wzmacnianiem instytucji państwa. Skądinąd robi dokładnie to, co przeważająca większość polityków w demokratycznej części Europy, idąc drogą, którą nikt inny w regionie nie kroczy. Ten zakątek pogranicza z Azją stoi raczej despotami, różniącymi się brutalnością, z jaką traktują własnych obywateli. A Paszynian oferuje prozachodni populizm, ale z kaukaskim stylem. Stąd wykorzystywanie zasobów państwa do własnych celów, ręczne sterowanie wymiarem sprawiedliwości i aresztowania opozycji, na czele z szemranym rosyjskim oligarchą, który miał być główną kontrofertą. Na prozachodniej flance nie ma konkurencji.

Paszyniana lubi też Trump i politycy z Europy. Wystąpił w duecie z Emmanuelem Macronem. Grał na perkusji, prezydent Francji śpiewał piosenkę Charles'a Aznavoura, z pochodzenia Ormianina. Poklepywał się po plecach z Donaldem Tuskiem i wspólnie układali dłonie w kształcie serduszek, nowego znaku rozpoznawczego Paszyniana. Teraz znów nie ma brody. Koszulkę moro odłożył do szafy. W klapie marynarki nosi pomarańczową broszę w kształcie międzynarodowo uznawanych granic Armenii, a więc bez Karabachu z przyległościami.

Mała Armenia

Po ośmioleciu u steru armeński premier nadal zachowuje się bardziej jak działacz niż polityk. Przede wszystkim przeciwny zmian. Tymczasem politycy, co do zasady, starają się ich unikać, zwłaszcza tych gwałtownych. Tak jak boją się przegranych wojen, choć te bywają katalizatorem pozytywnych przemian. Dla Paszyniana przegrana wojna z Azerbejdżanem i utrata Karabachu paradoksalnie stały się okazją do nowego otwarcia – straty terytorium, ale zyskania państwa. I przede wszystkim porzucenia mitu o Wielkiej Armenii – a jest co porzucać: Ormianie cumowali Arkę Noego na Araracie, wymyślili wino, też mieli swoje mocarstwo – na rzecz zbliżenia z Azerbejdżanem i równie wrogą dotychczas Turcją.

W 2018 r., gdy pierwszy raz zostawał premierem, Paszynian obiecał rozbić system oligarchiczny i wyciągnąć kraj z biedy – jedna trzecia obywateli żyła wówczas w ubóstwie. A Karabach miał pozostać częścią Armenii. Słabo mu poszło, ale mimo to Paszynian pozostaje optymistą, bo – jak powiedział jako debiutujący szef rządu – „skoro udało nam się dokonać niemożliwego, to znaczy, że uporamy się też z trudnymi sprawami". ■

eprasa.pl 5357578c79

Bój z bólem

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA



Chiński medyk Hua Tuo (II/III w.) operuje rannego w ramię generała Guan Yu. Aby odwrócić uwagę pacjenta, zaordynował mu... grę w go.

Nasi przodkowie wykonywali różnego rodzaju zabiegi chirurgiczne. Pacjentów znieczulali makiem, konopiami czy alkoholem. A także truciznami, które albo działały, albo zabijały.

Żelazne nożyczki i pęsetę chińscy archeolodzy znaleźli w Jiangyin w grobie Xia Quan – lekarza z czasów dynastii Ming – już w latach 70. XX w. Dopiero teraz jednak przyjrzeli się rudemu osadowi, jakim były pokryte. Spektroskopia ramanowska – pozwalająca rozpoznać związki chemiczne po tym, jak rozpraszają światło lasera – wykazała, że w osadzie są ślady toksycznej akonityny. Ten występujący w tojadzie alkaloid w większych dawkach może powodować nagłe zatrzymanie krążenia i śmierć. W małych działa przeciwbólowo i odurzająco. Chińskie teksty medyczne

eprasa.pl 5357578c79

wspominają o podobnych substancjach od stuleci. Do tej pory brakowało jednak materialnego dowodu na to, że naprawdę ich używano podczas zabiegów chirurgicznych. Teraz go mamy – ogłosili badacze 26 maja na łamach „Antiquity".

A jak aspiryna

Nasi przodkowie metodą prób i błędów odkrywali, że pewne rośliny działają na organizm inaczej niż zwykłe pożywienie. Jedne usypiają lub łagodzą ból, inne ograniczają ropienie ran albo pomagają zatamować krwawienie.

Pyłki krwawnika i rumianku znajdowane na stanowiskach neandertalskich interpretuje się jako pozostałości lekarstw, ponieważ obie rośliny mają niewielką wartość kaloryczną, ale za to właściwości przeciwzapalne i łagodzące. U chorującego na ropień zęba i infekcję jelitową osobnika z jaskini El Sidrón w północnej Hiszpanii znaleziono ślady pleśni z rodzaju *Penicillium* – tej samej grupy grzybów, dzięki którym w 1928 r. Alexander Fleming dokonał przełomowego odkrycia. Oczywiście nie oznacza to, że nasi żyjący 50 tys. lat temu krewniacy znali antybiotyki, ale intuicyjnie wykorzystywali substancje hamujące rozwój bakterii. Co ciekawe, ten sam osobnik miał w kamieniu nazębnym ślady DNA topoli – drzewa, którego kora zawiera salicylany. A z salicyny – pokrewnego związku występującego w korze wierzby – Johann Andreas Buchner wyizolował w 1828 r. substancję, która stała się jednym z etapów na drodze do opracowania aspiryny, jednego z najbardziej znanych środków przeciwbólowych na świecie.

Wykorzystywanie leczniczych właściwości roślin nie jest wyłącznie ludzkim wynalazkiem, ale świadome leczenie bólu – już tak. Człowiek od dawna szukał sposobów, by się go pozbyć, stosując najróżniejsze rośliny o działaniu odurzającym, takie jak mak, konopie, daturę, lulka czarnego, mandragorę, kokę czy właśnie tojad oraz alkohol ze sfermentowanych owoców. Poza tym okadzał się dymem z wymienionych roślin oraz żywic, które uwalniają substancje działające na układ nerwowy. Wszystkie te sposoby pomagały znieść ból i przetrwać zabiegi chirurgiczne.

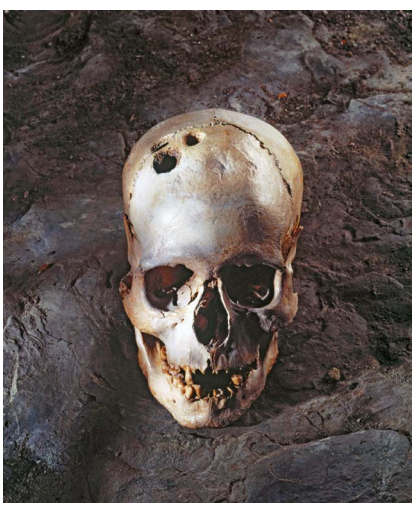

Neolityczna czaszka z Jerycha dowodzi, że pacjent przeszedł co najmniej trzy trepanacje.

Z jak zęby

Na powierzchni trzonowca neandertalczyka żyjącego 60 tys. lat temu w Jaskini Czagyrskiej na Syberii były charakterystyczne rowki i mikrorysy. Jak wykazały analizy mikroskopowe i tomografia, mogły powstać podczas manipulowania cienką i twardą wykałaczką. Nie jest to nic wyjątkowego, bo dłubanie w zębach było częste, ale w tym wypadku – według paleoantropolożki Kseni Zubowej – ślady były tak regularne, jakby „narzędzie" wprawiano w ruch obrotowy. Choć sceptycy powiedzą, że równie dobrze mógł to być efekt uporczywego dłubania w chorym zębie, rosyjska badaczka w majowym „PLOS One" sugeruje, że może to być jednak najstarszy przykład zabiegu dentystycznego w celu zmniejszenia skutków próchnicy.

Z pewnością zabieg został przeprowadzony w przypadku dwóch górnych siekaczy żyjącego ok. 13 tys. lat temu sapiensa z Riparo Fredian w Toskanii. Analizy ubytków wykazały, że po wyskrobaniu z zębów ostrym narzędziem próchnicy ktoś wypełnił otwory bituminem zmieszanym z włóknami roślin i włosami. Łowcy-zbieracze próbowali w ten sposób zabezpieczać ubytki po zabiegu, substancja ta działała bowiem jak uszczelniacz, chroniąc odsłoniętą miazgę przed zimnem, resztkami jedzenia, bakteriami i bólem.

W osadzie rolników Mehrgarh w Pakistanie 9 tys. lat temu działało więcej „dentystów", ponieważ naukowcy odkryli tam w 2001 r. aż 11 trzonowców różnych osób ze śladami przewierceń wykonanych w celu usunięcia próchnicy. Używano zapewne krzemiennych wierteł i choć w dziurach nie zachowały się ślady „wypełnień", też mógł być w nich bitumin lub wosk pszczeli, jak w przypadku kła sprzed 6,5 tys. lat temu z Lonche w Słowenii. Zabiegi te można było wykonywać na żywca, ale jak radzono sobie z bardziej skomplikowanymi operacjami chirurgicznymi?

C jak czaszka

Obcinanie palców (głównie w ramach rytuałów inicjacyjnych) czy trepanacje były w pradziejach zadziwiająco częste. Otwieranie ludzkiej głowy kamiennym nożem, skrobakiem albo prymitywnym świdrem wydaje się dziś czymś z pogranicza medycyny i horroru, a jednak robiono to na wielu kontynentach od neolitu. W dodatku większość pacjentów przeżywała ten inwazyjny zabieg, na co wskazują ślady gojenia kości czaszki wokół otworów. Zdarzały się nawet wielokrotne operacje – przedinkaski rekordzista z Peru przeszedł siedem trepanacji. Z badań Davida Kushnera, Johna Verano i Anne Titelbaum, obejmujących ok. 800 trepanowanych czaszek, wynika, że w tym okresie skuteczność inkaskich chirurgów mogła sięgać nawet 90 proc. Początkowo przeżywało ok. 40 proc. pacjentów, ale z czasem odsetek ten wyraźnie wzrósł, jakby medycy uczyli się na błędach, udoskonalali technikę – otwory stawały się mniejsze i bardziej regularne, unikano miejsc bardziej narażonych na krwawienie, a operatorzy najwyraźniej nauczyli się nie uszkadzać opony twardej.

Czy znieczulano pacjentów? Zapewne nie zawsze. Kości czaszki są słabo unerwione, więc ich skrobanie lub wiercenie, choć nieprzyjemne, nie musiało być aż tak bolesne jak przecięcie skóry czy mięśni. W pewnych okresach wiele trepanacji mogło mieć charakter rytualny lub magiczny i wykonywano je niekoniecznie na chorych, więc ból mógł być częścią rytuału. Stąd w neolitycznych grobach wycięte z czaszek krążki kości, które mogły pełnić funkcję amuletów. W 2023 r. zbadano szczątki mężczyzny z elit Megiddo, zmarłego ok. 1550–1450 r. p.n.e. Miał liczne anomalie rozwojowe (m.in. dodatkowy szew czaszkowy i nieprawidłowości uzębienia) oraz ślady przewlekłej choroby zakaźnej.Krótko przed śmiercią usunięto mu kwadratowy fragment kości czołowej poprzez nacinanie czaszki pod różnymi kątami. Brak śladów gojenia wskazuje, że zmarł szybko po zabiegu, który najprawdopodobniej miał mu ratować życie.

Choć wierzono, że przez otwór w czaszce wylecieć mogą złe duchy czy demony powodujące bóle głowy i epilepsję, ofiara urazu głowy naprawdę mogła odczuć ulgę po trepanacji, która ▶

© SCIENCE HISTORY IMAGES/ALAMY/BE&W, SSPL/GETTY IMAGES

eprasa.pl 5357578c79

▶ zmniejszała ciśnienie śródczaszkowe. Hipokrates pisał o konieczności odprowadzania „zepsutej krwi", a Galen wiedział, obserwując gladiatorów z urazami czaszki, jak groźny jest ucisk odłamków kości na mózg, i zalecał ich usuwanie.

Trudno sobie wyobrazić, by bez znieczulenia przeprowadzano amputacje kończyn, wykonywane rzadko i tylko po to, aby ratować życie. W 2022 r. badacze znaleźli w jaskini Liang Tebo na Borneo szkielet żyjącego 30 tys. lat temu młodego mężczyzny bez dolnej części piszczeli i stopy, bo ktoś zaskakująco fachowo i precyzyjnie odciął mu w dzieciństwie kończynę. Nie dość, że rana zagoiła się prawidłowo, to pacjent żył jeszcze dziewięć lat. Podobne operacje jeszcze w XIX w. często kończyły się śmiercią, bo zakażenie po amputacji było niemal normą, więc aby pacjent przeżył taki zabieg, mieszkańcy wilgotnych lasów tropikalnych musieli znać rośliny o właściwościach antyseptycznych, przeciwzapalnych, przeciwkrwotocznych i znieczulających. Część zabiegów wykonywano zapewne w stanie rytualnego transu, przy wsparciu wspólnoty i wykorzystaniu substancji otępiających, by unieruchomić pacjenta.

T jak trucizna

Jeśli jakaś dawna cywilizacja szczególnie intensywnie badała granicę między trucizną a lekarstwem, były to Chiny. Półlegendarny Hua Tuo – lekarz żyjący pod koniec rządów dynastii Han (II/III w.) – miał wykonywać operacje jamy brzusznej, nacinać ropnie, zszywać rany po wcześniejszym odurzeniu pacjenta mieszanką zwaną *mafeisan*. Dokładny skład pozostaje nieznany, ponieważ receptura zaginęła po śmierci lekarza. Od dawna spekuluje się jednak, że mogła zawierać konopie, daturę, opium, tojad albo inne silnie działające rośliny psychoaktywne.

Jak zapisano w „Kronice Trzech Królestw" – oficjalnym dziele historycznym spisanym pod koniec III w. przez historyka Chen Shou – gdy choroba znajdowała się „wewnątrz ciała" i nie można jej było leczyć akupunkturą ani zwykłymi lekami, Hua Tuo podawał pacjentowi swą tajemniczą miksturę. „Po chwili chory stawał się niczym pijany i nieczuły jak martwy. Wówczas można było naciąć ciało i usunąć chorą tkankę". Jeśli problem dotyczył jelit, lekarz przecinał je, czyścił, a następnie zszywał jamę brzuszną. Według tekstu po kilku dniach ból ustępował, a pacjent wracał do zdrowia. Jeśli opis nie jest przesadzony, oznaczałoby to, że Chińczycy eksperymentowali ze znieczuleniem ogólnym ponad 1,5 tys. lat przed pierwszym udanym pokazem eterowej narkozy w XIX w.

Historycy długo traktowali te opowieści z dużym sceptycyzmem, jednak odkrycie śladów akonityny na narzędziach chirurga z czasów dynastii Ming potwierdza, że chińscy medycy używali toksycznych substancji przeciwbólowych podczas zabiegów. Szczególnie fascynujący jest tojad. Medycyna zaczyna się bowiem wtedy, gdy człowiek poznaje odpowiednią dawkę substancji, obserwuje skutki jej działania, próbuje zmniejszyć toksyczność i świadomie wykorzystuje efekt, jaki wywiera ona na organizm. Chińskie teksty wspominają o „oswajaniu" trucizny: gotowaniu, zakwaszaniu lub mieszaniu z innymi substancjami. Nie wyjaśniają natomiast, w jaki sposób takie środki testowano ani czy eksperymentowano na zwierzętach, czy na ludziach. Tak czy inaczej, każde zastosowanie wiązało się zapewne ze znacznym ryzykiem dla pacjenta.



Amputacja nogi na holenderskiej rycinie z końca XVI w. Lewa pięść pielęgniarza gotowa do znieczulenia.

© THE PRINT COLLECTOR/GETTY IMAGES

U jak upadki

Skoro ludzie tak wcześnie nauczyli się łagodzić ból i wykonywać skomplikowane zabiegi, dlaczego medycyna nie rozwinęła się szybciej? Dlaczego losy chirurgii pełne są nagłych skoków, ale też zaskakujących regresów?

Historia chińskiej medycyny nie jest prostą opowieścią o marszu ku nowoczesnej nauce. Chirurgia i farmakologia osiągnęły wysoki poziom, ale później ich rozwój częściowo zahamowały wpływy konfucjanizmu, według którego ciało odziedziczone po rodzicach nie powinno być okaleczane. Wyżej ceniono medycynę zachowawczą – ziołolecznictwo, regulowanie energii *qi*, dietę czy akupunkturę – niż brutalną chirurgię kojarzoną z naruszaniem harmonii ciała.

Nożyczki i pęseta w grobie Xia Quana sugerują raczej wykonywanie drobnych zabiegów. Badacze przypuszczają, że mogły służyć do usuwania zmian skórnych, oczyszczania ran albo nacinania ropni. Możliwe, że przed zabiegiem nakładano na skórę preparat z akonityną, aby miejscowo zmniejszyć ból, a dopiero potem przystępowano do zabiegu. Jeśli tak było, znalezisko stanowiłoby zapewne ślad znieczulenia miejscowego, a nie ogólnego.

Podobne procesy zachodziły zresztą także w innych częściach świata. Wiedza medyczna nierzadko zanikała lub była wypierana przez religię, filozofię czy społeczne uprzedzenia. Czasem ginęła wraz ze śmiercią mistrza, jak receptura Hua Tuo. Innym razem przegrywała z epidemiami i brakiem higieny, jak europejska chirurgia przed odkryciem zasad aseptyki. Bywało też, że nie pozostawiała po sobie tekstów ani narzędzi, i dziś można ją rekonstruować jedynie na podstawie śladów na kościach.

Historia medycyny to seria prób, pomyłek, zapomnianych odkryć i intuicji, które czasem wyprzedzały swoją epokę. Jedno jest pewne – sztuka lekarska nie narodziła się wyłącznie z czystej ciekawości, lecz z niezgody na cierpienie. I przez tysiące lat jej najważniejszym zadaniem było sprawić nie tylko, by człowiek żył jak najdłużej, ale też by bolało go jak najmniej.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

eprasa.pl 5357578c79

Ursus bliżej Tokio

W minionym roku w Japonii doszło do rekordowej liczby śmiertelnych ataków niedźwiedzi na ludzi. I rekordowej liczby śmiertelnych ataków ludzi na niedźwiedzie.



© FRANK FICHTMUELLER/SHUTTERSTOCK

JĘDRZEJ WINIECKI

Pojawił się we wtorek 2 czerwca o godz. 6.30. Pierwszego pracownika zaatakował na parkingu. Zaskoczony dwudziestokilkulatek próbował uciec, ale po paru krokach – przebieg zdarzenia rejestrowała kamera przy wejściu do zakładu – został przewrócony. Kierowca nadjeżdżającego samochodu przegonił napastnika. Ten przez otwarte drzwi wbiegł na teren odlewni w Fukuszimie. Tam natarł na dwóch mężczyzn po sześćdziesiątce. Służby odebrały też informację o poturbowanej osiemdziesięciokilkulatce. Życiu poszkodowanych nie zagrażało niebezpieczeństwo.

W firmie spędził kilkadziesiąt godzin. Odkręcił kran i ugasił pragnienie. Rozpracował zatrzask przesuwanego okna. Otworzył je i wyszedł z budynku. Nie dał się nabrać na przynęty i pułapki. Zrezygnowano ze strzelania ostrą amunicją ze względu na obecność substancji łatwopalnych. W czwartek o 22.50 opuścił odlewnię i rozpłynął się w mroku. „Wyjątkowo inteligentny" – usprawiedliwiał się burmistrz Fukuszimy.

Dwa dni później, w sobotę, też o wpół do siódmej, innego przedstawiciela gatunku opisywanego przez naukę jako niedźwiedź himalajski (*Ursus thibetanus*) zauważono w dzielnicy mieszkalnej półmilionowego miasta Utsunomiya, 100 km od Tokio. To była pierwsza potwierdzona jego wizyta w tej miejscowości. Do poniedziałku widziano go lub nagrano w pobliżu siedziby władz prefektury, szkół i biblioteki, na osiedlach i w parkach. O drugiej w nocy przebiegł przez zadaszony pasaż handlowy.

Wydano ostrzeżenia jak przed nadejściem tajfunu lub ofensywy wrogiej armii. „Nie wychodzić na zewnątrz", „zamknąć okna", „kto natknie się na niedźwiedzia, niech się chroni w najbliższym budynku". W obławie – z detalami relacjonowanej z lądu i z powietrza przez ogólnokrajowe stacje telewizyjne – uczestniczyli policjanci, strażacy, myśliwi, operatorzy dronów i lekarz weterynarii. We wtorek zamknięto wszystkie szkoły podstawowe i średnie, w sumie 94 placówki. Zwierzę zlokalizowano na kampusie, więc zawieszono także zajęcia uniwersyteckie. Strzałki ze środkiem usypiającym dosięgły go w przydomowym ogrodzie.

Bez danych

W ciągu ostatniego tzw. roku fiskalnego (administracyjnym trybem wyznaczanego od początku kwietnia do końca marca) w Japonii z łap niedźwiedzi i od ich kłów zginęło 13 osób, 238 doznało poważnych poranień. Od prawie dwóch dekad notowano przeciętnie od jednej do czterech ofiar śmiertelnych i ok. 155 ataków rocznie. Taki poziom uważano za naturalny. Jednak w dwóch minionych latach fiskalnych liczba incydentów wyraźnie przekraczała 200. Z kolei w rejestrze tegorocznych obserwacji niedźwiedzi – tu obserwatorom ▶

eprasa.pl 5357578c79

▶ nic się nie stało – zgromadzono przeszło 50 tys. pozycji.

Wyłaniają się nowe tendencje, m.in. do coraz większej liczby spotkań dochodzi w pobliżu stolicy. I wygląda to tak, jakby w japońskiej rzeczywistości rozwijał się scenariusz opisany w „Słynnym najeździe niedźwiedzi na Sycylię". W przejmującej książce Dino Buzzatiego dochodzi do niedźwiedzio-człowieczej wojny. Wygrywają schodzące z gór, głodne i zdesperowane prześladowaniami zwierzęta, które zamiast znaleźć ukojenie po zwycięstwie, schodzą na złą drogę i przejmują tryb życia ludzi.

Japonia ma zaskakująco duże populacje niedźwiedzi. Na Honsiu, wyspie o powierzchni dwóch trzecich obszaru Polski, mieszka ponad 100 mln ludzi i ok. 42 tys. niedźwiedzi himalajskich. Są w stałym ruchu, żyją w górach, w trudno dostępnym terenie. Nawet w tak świetnie zorganizowanym państwie brakuje dokładnych szacunków o liczbie tych niemałych przecież zwierząt. Niemniej na terytorium o gęstości zaludnienia czterokrotnie większej niż w Polsce zagęszczenie niedźwiedzi jest nawet kilkaset razy wyższe niż nad Wisłą (a mamy 100–120 niedźwiedzi brunatnych). Ich sporo więksi kuzyni też są w Japonii, na Hokkaido. Na tej północnej wyspie wielkości trzech dużych polskich województw żyje 12 tys. osobników z podgatunku *Ursus arctos lasiotus* (niedźwiedź ussuryjski).

Bez ludzi

Wzrostowi liczby niedźwiedzi himalajskich i ussuryjskich sprzyja wyludnianie się prowincji, zwłaszcza wsi i miasteczek. W 1920 r. prawie co drugi obywatel żył w miejscowości liczącej do 5 tys. mieszkańców. Przez wiek ten odsetek spadł z prawie 50 proc. do 1,7 proc. Dzisiejsza Japonia to przeważnie aglomeracje nadmorskie (tokijska ma 37 mln ludzi) oraz niemal opustoszały interior. Kraj w ok. 67 proc. pokryty jest lasami, przeważnie górskimi. Depopulacja trwa, rolnicy nadal porzucają pola i sady. Wiek robi swoje, nie mają siły ich obrabiać albo nie mają następców, którym mogliby przekazać gospodarstwa. Nieruchomości na wsi bywają bardzo tanie, niektóre samorządy próbują rozdawać opuszczone siedziby. Tylko jakoś nie ma chętnych.

Na dawnych polach i pastwiskach, w ogrodach i w sadach zostało sporo jedzenia dla zwierząt, w tym jeleni i niedźwiedzi. Wcześniej ludzie żyli w rozgraniczonych rewirach. Wsie były bronione, zagony otaczano płotami. Dzikim zwierzętom zostały góry. Tam człowiek rzadko się zapuszczał, a jeśli już, to po drewno i na polowanie. Wyżej położone tereny napawały lękiem, uważano, że są zamieszkane przez bóstwa. Między miejscami zajętymi przez ludzi a dziczą powstał bufor lasów, w których coś na co dzień robiono, np. ścinano drzewa czy zbierano rośliny, którymi użyźniano pola ryżowe. I dość wcześnie, bo już w XVII w., lasy zaczęto chronić. Dbano o to, by nie wyrąbać ich do gołej ziemi. Bardziej niż z troski o przyrodę zapobiegliwość ta wynikała z powracających deficytów drewna, służącego jako podstawowy surowiec budowlany oraz paliwo do przygotowywania posiłków i do ogrzewania.

Ogromne ilości drewna na stemple w kopalniach i podkłady kolejowe pochłonęła modernizacja z okresu Meiji. U progu XX w. zaordynowano więc wielkie sadzenie. Po przegranej drugiej wojnie światowej sadzono jeszcze intensywniej. Wybierano dwa szybko rosnące gatunki o uniwersalnym zastosowaniu – cedr japoński i cyprysik japoński. Pod ich plantacje tylko w latach 60. wycięto naturalne lasy na ponad 20 tys. km kw. – obszarze wielkości województwa dolnośląskiego lub podlaskiego. Te zmiany nie były dla niedźwiedzi obojętne.

Bez bukwi

Dotychczasową dzikość w znacznym stopniu przebudowano w nieprzyjaznym dla nich kierunku. Niedźwiedzie himalajskie, wyraźnie mniejsze od brunatnych, o czarnej sierści, z jasną – zazwyczaj beżową, kremową lub białą – kryzą na piersi oraz z uszami jak u myszki Miki, są wszystkożerne. Nie gardzą padliną, coś tam też upolują, ale najchętniej jedzą rośliny. Przygotowując się do zimowej hibernacji, rozglądają się za żołędziami i orzeszkami bukowymi, których próżno szukać na plantacjach cedrów i cyprysików. Jednocześnie bardzo atrakcyjne dla niedźwiedzi stały się dawne lasy buforowe, znacznie bardziej złożone i różnorodne, z dębami i bukami, więc z dłuższym menu niż to, jakie oferują plantacje. Dodatkowo zarosły i oplotły góry siecią korytarzy ekologicznych, którymi nie boją się przemieszczać duże zwierzęta. Także niedźwiedzie, pasąc się w porzuconych sadach i lasach dawnych rolniczych wsi, znalazły się znacznie bliżej ludzi.



Tym razem w Fukuszimie nie doszło do katastrofy. Skończyło się na strachu. Jednak cała wyspa Honsiu, gdzie jeden niedźwiedź przypada na 2,5 tys. mieszkańców, ma się na baczności.

Do dalszego podchodzenia do domostw zmuszają je braki jedzenia. Drzewa nie owocują co sezon z równą obfitością. Zdarzają się lata nasienne, w przypadku buku japońskiego nawet co osiem lat, a u gatunków dębów przeważnie co trzy lata. Są też okresy z bardzo małą ilością żołędzi i bukwi. Tak właśnie było w 2025 r., gdy doszło do rekordowej liczby ataków na ludzi. W takich okolicznościach odważniejsze spośród głodnych niedźwiedzi, w tym matki z młodymi, przełamują lęk i wchodzą do miejscowości, by stołować się np. w niezabezpieczonych śmietnikach. Z żołędziami jest jeszcze inny kłopot. Zmiany klimatu sprawiają, że podupadło wiele gatunków drzew. Japońskie dęby też są w gorszej kondycji, słabiej bronią się przed chorobami i mniej obficie owocują.

Niedźwiedzie atakują, jeśli są ranne, gdy zostaną zaskoczone, np. podczas odpoczynku albo pilnowania padliny. Agresywna może być też matka chroniąca przychówek, zwłaszcza gdy człowiek stanie między nią a dziećmi. Naukowcy badający te ssaki rozróżniają dwa rodzaje napaści. Obronną, przez zwierzaka zaskoczonego, i drapieżniczą, w której niedźwiedź obserwuje i szarżuje z daleka, uznawszy, że człowiek będzie np. odpowiednim posiłkiem. Poczucie nadchodzącej inwazji sprzyja wnioskom, że w Japonii przybywa przypadków interpretowanych jako napaść drapieżnicza. Brzmi to sensacyjnie, ale specjaliści nie dysponują dowodami potwierdzającymi takie domysły.

Najwięcej ofiar odnotowano w prefekturze Akita na północno-wschodnim

eprasa.pl 5357578c79



krańcu Honsiu. To tam doszło do zdarzeń, które uznano za symbol upadku japońskiej prowincji. W grudniu 2024 r. niedźwiedź przez dwa dni okupował supermarket i plądrował stoisko mięsne. Nic dziwnego, że to badacze z lokalnego uniwersytetu uruchomili projekt, który ma sprawdzić, jak częstsze pojawy tych drapieżników blisko ludzi wpływają na dobrostan seniorów.

Bez ruchu

Wiadomo, że osoby starsze, także w miastach, w obawie przed niedźwiedziami rzadziej wychodzą z domu, na zakupy i na spacery. Znana jest ścisła korelacja między spadkiem aktywności ruchowej i ograniczaniem kontaktów społecznych a wzrostem nastrojów depresyjnych i pogorszeniem jakości życia osób starszych. Tymczasem jedną z tajemnic japońskiej długowieczności jest to, że starsi spędzają dużo czasu na zewnątrz. Zbierają grzyby i zioła, wędrują, wykonują proste prace porządkowe. To nie przypadek, że wśród zabitych w ostatnim roku przeważają kobiety powyżej 70. roku życia. Mogą słabiej widzieć i słyszeć, co utrudnia im wychwycenie w porę np. prychania, porykiwania i innych sygnałów ostrzegawczych wysyłanych przez zwierzęta.

Przez bardzo długi czas zwierzęta te traktowano jak szkodniki i regularnie je zabijano. Podejście zmieniło się w latach 80., wraz ze wzrostem świadomości środowiskowej. Przybyło badaczy niedźwiedzi. Alarmowali, że mordowanie co roku 2,5 tys. zwierząt bez szczególnego planu i wnikliwego rozpoznania sytuacji to może być za dużo, w ten sposób części regionalnych populacji zagroziło wyginięcie. Przypadki ataków były wtedy rzadkie, nasilała się migracja do miast, powstały warunki do przyjęcia innej optyki. Eliminowania przede wszystkim tzw. zwierząt problemowych, zbyt blisko podchodzących do ludzi. Osiągnięto sukces ochroniarski. Problem tylko w tym, że nieco zbyt udany.

Do wzrostu populacji japońskich niedźwiedzi pośrednio przyczynił się brak wilków, zdziesiątkowanych zawleczoną z Azji kontynentalnej epidemią wścieklizny i ostatecznie wytępionych w 1905 r. Widziano w nich zagrożenie dla zorganizowanej hodowli bydła wprowadzanej w epoce Meiji. Główną ofiarą wilków były jelenie sika. Ich populacja, uwolniona od drapieżników, znacząco urosła, także dlatego, że znalazły nowe tereny w miejscach opuszczonych przez ludzi. Skoro jeleni nie zjadają wilki, to wiele jeleniej padliny czeka na niedźwiedzie. Liczba rogatych ssaków przez ostatnie cztery dekady wzrosła prawie trzykrotnie.

Bez sensu?

I wcale nie jest tak, że niedźwiedzie i jelenie mają całkowity spokój. W wielu regionach prowadzi się bardzo intensywne programy redukcji tych drugich. W ostatnim roku fiskalnym uśmiercono – z broni palnej i środkami do usypiania po schwytaniu w pułapki – kilkanaście tysięcy niedźwiedzi himalajskich i ussuryjskich. Sprawą oczywiście żywo zajmują się politycy szukający poparcia opowieściami o poważnym kryzysie bezpieczeństwa.

Rząd, który dopiero co odbył specjalne posiedzenie poświęcone zarządzaniu środowiskiem (z naciskiem na niedźwiedzie) dystansuje się od apeli, by do walki z nimi posłać wojsko. Siły Samoobrony są zaangażowane do transportu i rozstawiania klatek, biorą udział w poszukiwaniach zwierząt i osób, które zaginęły, a więc potencjalnych ofiar, ale same nie strzelają. Zliberalizowano zasady użycia broni przez myśliwych. Ich też jest coraz mniej, łowiectwo w dotychczasowym stylu przestaje być modne. Młodzi się nie garną. W latach 70. polowało 530 tys. osób, dziś licencję ma ok. 200 tys., a trzy czwarte myśliwych obchodziło już 65. urodziny.

Inne stanowisko zajmują biolodzy i organizacje obrońców środowiska. Skoro nie wiadomo, ile naprawdę jest niedźwiedzi, to może zabija się ich za dużo? Owszem, działa monitoring, w tym fotopułapki i modelowanie z udziałem sztucznej inteligencji, ale wciąż nie ma ogólnokrajowego planu zarządzania populacją drapieżników. Wiele władz lokalnych nie jest przygotowanych na spotkanie ze zwierzętami schodzącymi w doliny, gdzie czekają niezabezpieczone odpady komunalne. Są też rejony, gdzie niedźwiedzi nie ma zbyt wiele lub w ogóle. I takie, gdzie ich zagęszczenie jest bardzo wysokie.

Japonia nie jest jedynym krajem rozwiniętym, w którym zwierzęta – zwłaszcza te obdarzone wysoką inteligencją – wracają na tereny wcześniej w pełni kontrolowane przez ludzi lub wchodzą do miast. Japończycy, podobnie jak Polacy, żyją też w bezpośrednim sąsiedztwie dzików znajdujących łatwe jedzenie na skwerach, w parkach i w okolicy świątyń. W całej Europie wzrosła liczebność chronionych wilków. Są coraz częściej widywane, przybywa prawdziwych lub urojonych konfliktów z ich udziałem, wróciły dawne wilcze strachy, chętnie podsycane przez cynicznych polityków.

W Unii Europejskiej, m.in. w Szwecji, Słowacji i Rumunii, też się strzela do niedźwiedzi, choć dziesiątkami lub setkami, więc w skali dalekiej od japońskiej. Można jednak się spodziewać, że wobec wyludniania prowincji, zacierania granicy między naturą a miastem oraz wzrostu populacji dużych drapieżników, przybędzie krajów, które także pod tym względem staną się drugą Japonią.

JĘDRZEJ WINIECKI

© ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS, KIM KYUNG-HOON/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 5357578c79

Opcja atomowa

NASA zapowiada przełom w swoich misjach. Już pod koniec 2028 r. może wysłać w przestrzeń pierwszy w historii statek z napędem jądrowym.

PRZEMEK BERG



Statek kosmiczny Space Reactor-1 Freedom dostarczy na Marsa trzy śmigłowce Skyfall (fot. poniżej), a następnie poleci w głąb Układu Słonecznego

Space Reactor-1 Freedom ma zrzucić na powierzchnię Marsa kapsułę wejściową z trzema helikopterami Skyfall. Są one podobne – choć nieco większe i bardziej zaawansowane – do śmigłowca Ingenuity, który dotarł do Czerwonej Planety na pokładzie sondy Perseverance w 2021 r. i wykonał tam ponad 70 lotów rozpoznawczych – wszystkie się powiodły i dostarczyły mnóstwo danych. To był znaczący sukces Jet Propulsion Laboratory NASA w Pasadenie, z którego chcą skorzystać inicjatorzy misji Space Reactor-1 Freedom (czyli także JPL, oraz firmy AeroVironment, Lanteris Space System i Aerojet Rocketdyne). Na tym jednak nie koniec.

Po zrzuceniu Skyfall na Marsa sonda poleci w głąb Układu Słonecznego, by dokładnie przetestować, jak połączenie niewielkiego reaktora jądrowego z siedmioma tzw. jonowymi silnikami Halla, czyli elektrycznymi, będzie się sprawdzać w kosmosie w dłuższym czasie. Konkretny cel tej dalszej misji nie jest jeszcze ustalony, ale Freedom dotrze zapewne dość daleko. Obliczenia zdają się potwierdzać, że era tradycyjnych napędów kosmicznych, wykorzystujących paliwa chemiczne, powoli odchodzi w przeszłość.



W latach 60. XX w. Amerykanie z powodzeniem, chociaż tylko w warunkach ziemskich, testowali system NERVA (Nuclear Engine for Rocket Vehicle Application). Reakcja rozszczepienia wzbogaconego uranu 235 w niewielkim reaktorze podgrzewała do ok. 2,5 tys. st. C czynnik roboczy, którym był wodór. Gaz znacznie zwiększał swoją objętość, a następnie był wyrzucany w przestrzeń, co dawało dużą siłę ciągu – możliwości tego silnika były mniej więcej dwukrotnie większe niż silników chemicznych z tamtych czasów, przewyższał także ich dzisiejszych następców. Tego rodzaju napęd nosi nazwę NTP (Nuclear Thermal Propulsion).

Testy programu, prowadzone głównie na pustyni w Nevadzie, zakończyły się w 1972 r. Program był kosztowny, a poza tym w tamtych czasach nikt poważnie nie myślał o misjach kosmicznych w głąb Układu Słonecznego. Wówczas odrywaliśmy się od Ziemi w najbliższy kosmos. No i na Księżyc. Reaktor zasilający statek kosmiczny w dalekiej misji międzyplanetarnej był wówczas pomysłem rodem z science fiction.

Dopiero przyjęty na początku XXI w. przez NASA program Prometeusz przewidywał budowę potężnych statków kosmicznych z reaktorami jądrowymi, a jego najbardziej zaawansowaną egzemplifikacją był projekt dużego satelity JIMO (Jupiter Icy Moons Orbiter), który niedługo po 2017 r. zamierzano wysłać do lodowych księżyców Jowisza. Napęd NEP (Nuclear Electric Propulsion) działałby na innej zasadzie niż w projekcie NERVA – reaktor miał produkować ciepło zamieniane następnie w elektryczność, a ta miała zasilać silniki elektryczne. Znanej zbrojeniowo-kosmicznej korporacji Northrop Grumman zlecono nawet budowę prototypu. I ten projekt jednak upadł.

© NASA/FERRARI PRESS/EAST NEWS, AEROVIRONMENT INC/NASA/FERRARI PRESS/EAST NEW

eprasa.pl 5357578c79

Teraz jednak wiele wskazuje na to, że NASA wyśle w przestrzeń kosmiczną statek zasilany energią jądrową. Będzie to napęd typu NEP, znacznie bardziej wydajny od termicznego NTP. Stopień zaawansowania kosmicznych silników elektrycznych jest już dzisiaj ogromny. Umieszczone w dziesiątkach sond (amerykańskich, japońskich i europejskich) sprawują się wyśmienicie: pracują w przestrzeni kosmicznej non stop, nawet dziesiątki tysięcy godzin, mogą zatem z czasem rozpędzać pojazdy do ogromnych prędkości. A zużywają minimalne ilości paliwa, głównie gazów szlachetnych, jak ksenon lub argon. Tyle że korzystają z paneli fotowoltaicznych, co ogranicza ich rozmiary i wagę. Nadają się zatem dla niewielkich misji badawczych, bo tak dostarczana energia jest zbyt mała, by zasilać obiekty większe i wysyłane na dalsze odległości od Słońca. Dla takich potrzebne jest inne, znacznie potężniejsze źródło energii – atom. I tak ma być w przypadku sondy Space Reactor-1 Freedom.

Sonda zostanie wyposażona w niewielki modułowy reaktor jądrowy, w którym paliwem będzie średnio wzbogacony izotop uranu 235, tzw. HALEU, czyli uran wzbogacony w zakresie 5–20 proc. To sporo, zważywszy, że typowe duże reaktory jądrowe pracujące w ziemskich elektrowniach atomowych wykorzystują uran wzbogacony w kilku procentach, wzbogacenia do kilkudziesięciu wymagają jedynie bomby atomowe. Reaktor sondy Space Reactor-1 Freedom wytworzy ciepło zamieniane następnie na elektryczność, a ta będzie zasilać cztery jonowe silniki Halla o mocy 6 kW i trzy o mocy 12 kW. Wszystko to zostanie bezpiecznie uruchomione dopiero na okołoziemskiej orbicie, na którą sondę dostarczy konwencjonalna rakieta na paliwo chemiczne.

W literaturze anglojęzycznej nowa klasa silników, dzięki którym w zasadzie już dokonał się technologiczny przełom w misjach kosmicznych, jest nazywana zwykle napędem elektrycznym – głównie z tej przyczyny, że potrzebują dużo prądu. Są to przede wszystkim właśnie silniki jonowe. W planach są także elektryczne silniki plazmowe, np. VASIMR (Variable Specific Impulse Magnetoplasma Rocket), ale one to jeszcze pieśń przyszłości.

Budowę elektrycznych silników jonowych zaproponowali niezależnie od siebie, już na początku XX w., dwaj wielcy pionierzy astronautyki – Robert Goddard i Konstanty Ciołkowski. Były to jednak tylko luźne pomysły. Kilka dekad później zaczęły się w Związku Radzieckim i Stanach Zjednoczonych prace badawcze i konstrukcyjne. W 1961 r. NASA miała już prototyp, ale wyścig wygrali Rosjanie, którzy w 1964 r. wysłali w kosmos sondę Zond 2 z jonowymi silnikami elektrycznymi służącymi do kontroli orientacji w przestrzeni i korekcji położenia. Dziś urządzenia tego typu są wykorzystywane głównie w satelitach – do kompensacji oporu występującego na niższych orbitach okołoziemskich – ale także w wielu badawczych misjach kosmicznych. Budują je największe potęgi technologiczne świata.

W typowym silniku jonowym – tzw. elektrostatycznym, czyli z siatkami – gaz w komorze spalania (zazwyczaj ksenon, ale może to być też krypton lub argon) pod wpływem bombardowania elektronami ulega silnemu rozgrzaniu i jonizacji. Jony dodatnie są oddzielane z powstałej plazmy, przyspieszane do prędkości ok. 30 tys. m/s w polu elektrostatycznym między dwiema lub trzema naładowanymi elektrycznie siatkami o różnych potencjałach – i wyrzucane. Ich wysoka prędkość wylotowa zapewnia bardzo efektywne wykorzystanie paliwa – w ciągu sekundy zużyciu ulega zaledwie kilka mikrogramów gazu – ale daje małą siłę ciągu. W przestrzeni kosmicznej to jednak wystarcza, by z powodzeniem korygować pozycję satelitów, a także przyspieszać sondy i pojazdy kosmiczne do naprawdę dużych prędkości. Ponadto silniki jonowe mogą w kosmosie pracować bez przerwy przez dziesiątki tysięcy godzin. To daje im możliwość coraz większego, stopniowego przyspieszania napędzanych nimi obiektów, nawet do kilkudziesięciu kilometrów na sekundę.

Pierwszą sondą kosmiczną napędzaną silnikiem jonowym – elektrostatycznym, a więc z siatkami – była wyniesiona w 1998 r. w przestrzeń amerykańska Deep Space 1. Napęd pozwolił jej dotrzeć do asteroidy Braille, a później w pobliże komety Borelly'ego. Od 1998 r. do 1 września 2001 r. silnik przepracował łącznie 12 tys. godzin. Wielkim osiągnięciem był też późniejszy test NEXT (NASA Evolutionary Xenon Thruster), który w komorze próżniowej laboratorium Glenn Research Center w USA pracował bez przerwy przez 48 tys. godzin, czyli przez 5,5 roku, i zużył w tym czasie tylko 770 kg ksenonu.

Jonowe silniki Halla – nazwane na cześć amerykańskiego fizyka Edwina Halla – wykorzystują pole magnetyczne do przyspieszania jonów. Przekształcanie gazu w plazmę przebiega w nich szybciej niż w klasycznych urządzeniach z siatkami elektrostatycznymi, a strumień wypływających jonów jest bardziej skoncentrowany. Dzięki temu można wytwarzać znacznie większy ciąg.

Pierwsze takie silniki poleciały w kosmos w latach 70. XX w. na radzieckich satelitach meteorologicznych. Pierwszą sondą kosmiczną z tym urządzeniem była europejska SMART-1. Wyniesiona w przestrzeń w 2003 r., początkowo była satelitą Ziemi, ale włączany w odpowiednich momentach silnik potrafił ją rozpędzić do drugiej prędkości kosmicznej (doleciała wtedy do Księżyca).

Silniki Halla są dość niezwykłe. Przykładem może być amerykańska Psyche. Celem tej wystrzelonej w październiku 2023 r. sondy wyposażonej w cztery takie urządzenia zasilane fotowoltaicznie jest dość duży obiekt w Pasie Asteroid między orbitami Marsa i Jowisza (też nazwany Psyche, na cześć greckiej bogini, która opiekuje się duszami ludzkimi). To ciało niezwykle bogate w żelazo i inne metale.

Docelowa prędkość tej sondy – wielkości furgonetki – jest rekordowa: 55 km/s. Sonda już zaczyna ją osiągać, do asteroidy dotrze w 2029 r. Przypomnijmy, że do niedawna najszybsze sondy Voyager 1 i 2, które opuściły już Układ Słoneczny, poruszają się z prędkością ok. 17 km/s.

Nie wiadomo jeszcze, jakie prędkości osiągnie na swoim długim kosmicznym rozbiegu pierwsza „rozpalona" energią jądrową sonda Space Reactor-1 Freedom, z siedmioma silnikami Halla na pokładzie. Z pewnością jednak można się spodziewać kolejnego rekordu.

Poza tym zanosi się na kolejny skok w dziedzinie zaawansowanych napędów kosmicznych. Jet Propultion Laboratory testuje silnik jonowy, w którym czynnikiem roboczym nie są gazy szlachetne, lecz opary metali. Obiecujące wyniki osiągnięto, wykorzystując opary węglanu litu powstające po silnym podgrzaniu tego związku. W kwietniu br. w komorze próżniowej JPL przeprowadzono cztery udane testy. Specjaliści z NASA uważają, że takie silniki mogą być nawet 20 razy mocniejsze od tych obecnie stosowanych. ■

eprasa.pl 5357578c79



Palenie ksiąg było skutecznym sposobem walki z nieprawomyślnymi publikacjami, zanim wprowadzono prasę drukarską

TOMASZ TARGAŃSKI

Zakazany owoc

60 lat temu bez większego rozgłosu do lamusa odesłano jedno z najbardziej kontrowersyjnych narzędzi represji w dziejach Kościoła katolickiego – Indeks ksiąg zakazanych.

eprasa.pl 5357578c79

Obowiązywał przez 400 lat i obejmował dzieła najsłynniejszych naukowców i artystów. 14 czerwca 1966 r. Watykańska Kongregacja Nauki Wiary (dawniej Święte Oficjum) poinformowała, że Indeks ksiąg zakazanych nie ma już mocy prawa kościelnego, a czytanie, przechowywanie lub rozpowszechnianie zakazanych publikacji nie będzie podlegało karom. Komunikat głosił jednocześnie, że indeks zachowuje moc moralną, a obowiązkiem katolików jest unikanie niemoralnych dzieł.

Kościół od zarania walczył z nieprawomyślnymi ideami, niszcząc teksty uznane za bluźniercze lub heretyckie (od pism ariańskich za czasów cesarza Konstantyna po Talmud i niektóre dzieła Arystotelesa). Wynalezienie prasy drukarskiej sprawiło jednak, że palenie heretyckich tekstów stało się nieefektywną metodą cenzury. Publikacji było zbyt wiele, a cena książek znacznie spadła.

Ojciec indeksu

Po wystąpieniu Lutra w zalewie publikacji reformatorskich strona katolicka doszła do wniosku, że należy ograniczyć dostęp do książek poprzez kontrolę nad wydawcami. W 1544 r. paryska Sorbona ustanowiła ważny precedens, publikując „Catalogue des livres censurez par la faculté de theologie de Paris" – krótki wykaz niedopuszczalnych autorów i tytułów. Podobne listy ogłosili wkrótce uniwersytet w Leuven w Belgii pozostający pod władzą cesarza Karola V, a także urzędnicy inkwizycji w Portugalii (1547 r.) i Wenecji (1549 r.).

Na miano ojca indeksu zasłużył kardynał Gian Pietro Carafa (1476–1559), który jako przewodniczący Świętej Inkwizycji domagał się opracowania jednolitego katalogu wszystkich heretyckich książek. Kiedy Carafa został papieżem i przybrał imię Pawła IV w 1559 r., wydał dekret ustanawiający Index librorum prohibitorum. Obejmował on prawie tysiąc tytułów – w większości zaczerpniętych z wcześniejszych list Sorbony i Leuven. Dekret głosił, że pod karą ekskomuniki „nikomu nie wolno pisać, wydawać, drukować ani zlecać druku, sprzedawać, nabywać, dawać w formie wypożyczenia, prezentu lub w jakiejkolwiek innej, przyjmować, zatrzymywać lub w jakikolwiek inny sposób przechowywać czy zlecać przechowanie książek lub pism wymienionych w tym Indeksie Świętego Oficjum".

Indeks dzielił się na trzy kategorie. W pierwszej znalazło się 603 autorów, m.in. Marcin Luter, Jan Kalwin czy Erazm z Rotterdamu, którzy najbardziej „błądzili" i których pisma były zakazane całkowicie (w tym także wszystkie ich przyszłe dzieła „o czymkolwiek by traktowały"). W drugiej kategorii zgromadzono 117 autorów tylko w niektórych swoich książkach szerzących herezje lub przesądy. Trzecia obejmowała 332 anonimowo opublikowane dzieła (dotyczące głównie alchemii i astronomii), uznane za szkodliwe i szerzące zepsucie. Pierwszy indeks obejmował też listę 61 heretyckich drukarzy. Wszystkie wydrukowane przez nich książki, niezależnie od treści, uznano za podejrzane. Kilka lat po ogłoszeniu indeksu papież Pius V ustanowił Kongregację Indeksu, której jedynym zadaniem miało być badanie, cenzurowanie i zakazywanie książek. Kongregacja miała wskazywać, jak dostosować do wymagań wiary książki zakwestionowane i je poprawić. Mogła też udzielać zezwoleń na czytanie i przechowywanie książek zakazanych.

Integralną częścią indeksu były reguły, które wyjaśniały, jakie książki i dlaczego muszą być zakazane. Poza pismami znanych heretyków reguły przestrzegały przed tłumaczeniami Biblii na języki narodowe. Ich lektura – jako przynosząca więcej szkody niż pożytku – była dozwolona jedynie po uzyskaniu pisemnego zezwolenia. Książki dotyczące magii i czarów zostały w zupełności potępione, także dzieła astrologiczne, jeśli zawierały przepowiednie przyszłości. Z czasem liczba reguł wzrastała. Po upływie kilku dekad do listy podejrzanych gatunków literackich dodano epigramaty, elegie, emblematy, satyry, poematy, słowem wszelkiego rodzaju publikacje, w których podważano dobre imię Kościoła i duchownych.

Indeks wraz z towarzyszącymi mu regułami stał się fundamentem systemu kościelnej cenzury. Jego ogłoszenie utrudniło rozwój branży wydawniczej w krajach katolickich. Zgodnie z regułami zezwolenia na druk udzielał miejscowy biskup. Drukarze i księgarze zobowiązani byli spisać swoje towary i dostarczyć ich listę do podpisu wizytatorowi, mianowanemu przez biskupa. Wydawanie anonimowych książek zostało zakazane, a druk i sprzedaż książek bez zezwolenia groziły ich konfiskatą. Mimo że drukarze musieli składać przysięgę, że będą przestrzegać zaleceń Kościoła, nie wierzono im na słowo. Dlatego też już wydrukowaną książkę porównywano z rękopisem, sprawdzając, czy nie wprowadzono do niej żadnych zmian.

Pomimo tych wysiłków szybko okazało się, że zatrzymanie obiegu nieprawomyślnych książek jest walką z wiatrakami. Rynek wydawniczy tak się rozrósł, a nowych publikacji było tak dużo, że indeksu nie dało się aktualizować wystarczająco szybko, aby zachował aktualność. Zapis o „oczyszczeniu" z błędów (tzw. ekspurgacji) wybranych dzieł – szczególnie autorów klasycznych, poczynając od Homera, poprzez Euklidesa, aż po Owidiusza – również okazał się niewykonalny. Członkowie Kongregacji Indeksu nie byli w stanie przejrzeć i poprawić nawet ułamka zakwestionowanych książek. W efekcie Watykan wprowadził przepis zezwalający kolekcjonerom na ocenzurowanie własnych egzemplarzy, co oczywiście okazało się martwą literą.

Drukowanie w Koziej Głowie

W Rzeczpospolitej poważny impuls do walki z obiegiem nieprawomyślnych dzieł dała pierwsza polska edycja indeksu, która ukazała się w 1603 r. z inicjatywy biskupa krakowskiego Bernarda Maciejowskiego. Kolejne wydania wyszły w 1604 r. i 1617 r. Dotychczas krajowi cenzorzy musieli korzystać z rzymskiego spisu, w którym figurowały tylko nieliczne pozycje polskie, więc kierowali się własnym rozeznaniem. Teraz ani drukarze, ani czytelnicy nie mogli już wymawiać się nieświadomością. Z polskich pisarzy na indeks trafiły przede wszystkim antyjezuickie pamflety, dzieła Andrzeja Frycza Modrzewskiego, historyka Marcina Bielskiego czy utwory Mikołaja Reja.

Za sprawą publikacji polskiego indeksu po raz pierwszy zawitało do Rzeczpospolitej pojęcie prohibitów (ksiąg zakazanych). W Akademii Krakowskiej wydzielono je w osobnym zbiorze, z którego bez specjalnego pozwolenia nie mogli korzystać nawet profesorowie tej uczelni. Za czytanie, sprzedawanie i przechowywanie dzieł zakazanych groziła ekskomunika. Drukarzy, którzy mimo wszystko wydawali nieprawomyślne tytuły, biskup krakowski Piotr Gembicki polecił w instrukcji z 1647 r. karać ▶

© DEAGOSTINI/GETTY IMAGES

eprasa.pl 5357578c79

▶ grzywną w wysokości 100 zł, konfiskować im cały nakład i zamykać na rok księgarnie.

Jak pisał Janusz Tazbir w „Państwie bez stosów", aby zmylić cenzorów, część książek wydawano anonimowo, nie wymieniając miejsca ani drukarza, a na okładce umieszczano niekiedy drwiące z cenzorów wierszyki. Łukasz Opaliński, marszałek nadworny koronny, a zarazem błyskotliwy pisarz polityczny, wydany przez siebie anonimowo pamflet „Coś nowego", piętnujący tchórzostwo szlachty w czasie wojen kozackich oraz atakujący podkanclerzego Hieronima Radziejowskiego, zaopatrzył w taką oto metryczkę: „Drukowano w Koziej Głowie,/ Kiedy miesiąc był na nowie,/ Kosztem zaś pana jednego,/ Z bractwa piławieckiego;/A drukarnię zaś zakryto,/Boby drukarza zabito".

Najbardziej znaną publikacją polskiego autora, jaka znalazła się na indeksie, było słynne „De revolutionibus orbium coelestium" Mikołaja Kopernika. Wbrew obiegowej opinii dzieło astronoma nie zostało od razu potępione przez Kościół, a jego dwa wydania (z 1543 r. i 1566 r.) krążyły swobodnie w środowisku europejskich uczonych i astronomów. „De revolutionibus" trafiło na indeks w roku 1616, ale do tego czasu zapoznały się z nim najtęższe umysły epoki z Galileuszem i Keplerem na czele. Poza tym inkwizytorzy zakwestionowali tylko te fragmenty, które mówiły o ruchu Ziemi, nie zaś całe dzieło Kopernika. Po wprowadzeniu kilku poprawek „De revolutionibus" mogło znów wrócić do obiegu, ale ponieważ nikt się tym nie zajął, książka pozostała na indeksie ponad 200 lat. Dopiero w 1846 r. przy pracy nad kolejnym wydaniem indeksu „De revolutionibus" po cichu zniknęło z listy.

Stempel jakości

Począwszy od XVIII w., indeks zaczął tracić na znaczeniu i zamiast pełnić funkcję spisu książek niewskazanych dla wiernych, stał się raczej użyteczną „ściągawką" dla wszelkiej maści kontestatorów i niepokornych myślicieli. Angielski biskup Thomas Barlow otwarcie przyznawał, że watykańscy cenzorzy oddali wszystkim oświeceniowym reformatorom nieocenioną przysługę: „dostajemy wskazówki kierujące nas do konkretnej książki, rozdziałów i wierszy, w których można znaleźć każdą informację przeciwko jakimkolwiek przesądom lub błędom Rzymu (...). Kto ma indeks, nie może odczuwać braku świadectw przeciwko Rzymowi".

Wpisanie na listę stało się wręcz czymś w rodzaju stempla jakości – prędzej czy później spotka to każdego, kto pisze na tematy poważne (jak astronomia czy filozofia). Poza Hiszpanią i Włochami rola inkwizycji jako urzędu, który miał egzekwować zapisy indeksu, była marginalna. Cenzorską rolę zaczęły więc stopniowo przejmować władze świeckie (zwłaszcza europejskie monarchie oświeceniowe), które w niedługim czasie skonstruowały własne skuteczne aparaty cenzury prewencyjnej.

W XIX w. na indeksie pojawiało się coraz więcej zyskujących w tamtym czasie ogromną popularność powieści. „O wiele większą plagą od szarańczy, którą Bóg pokarał pychę faraona, jest ów zalew powieści, którymi Szatan usiłuje psuć społeczeństwo. Pobudzana przez ciekawość ich powierzchowna i służąca tylko rozrywce lektura przynosi całą mnogość zasad otwarcie negujących prawdziwą wiarę" – tak właśnie pracujący dla Kongregacji Indeksu recenzent w 1863 r. tłumaczył, dlaczego należy wpisać na listę prohibitów „Trzech muszkieterów" Aleksandra Dumasa. Na czarnej liście znalazły się wszystkie powieści Dumasa, a poza tym takie klasyki jak „Czerwone i czarne" Stendhala i „Pani Bovary" Flauberta (ta ostatnia za to, że „czyni zamęt w umysłach nieostrożnych kobiet i małżonek, psując obyczaje").



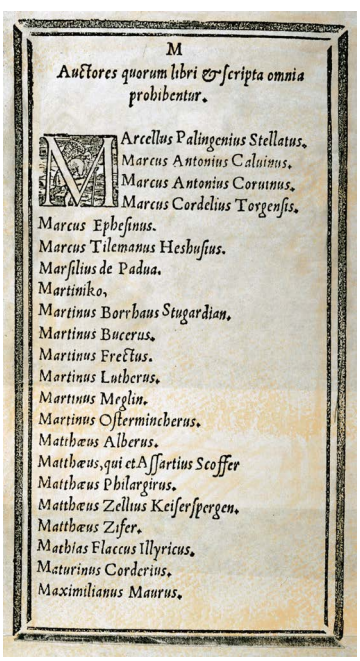
M
Auctores quorum libri & scripta omnia prohibentur.

Marcellus Palingenius Stellatus.
Marcus Antonius Caluinus.
Marcus Antonius Coruinus.
Marcus Cordelius Torgensis.
Marcus Ephesinus.
Marcus Tilemanus Hesbusius.
Marsilius de Padua.
Martiniko.
Martinus Borrhaus Stugardian.
Martinus Bucerus.
Martinus Frectus.
Martinus Lutherus.
Martinus Meglin.
Martinus Ostermincherus.
Matthæus Alberus.
Matthæus, qui et Assartius Scoffer
Matthæus Philargirus.
Matthæus Zellius Keiserspergen.
Matthæus Zifer.
Mathias Flaccus Illyricus.
Maturinus Corderius.
Maximilianus Maurus.

Strona z Indeksu ksiąg zakazanych z 1559 r. Powyżej: **okładka z 1640 r.**

Skazany na klęskę

Ogółem Watykan ogłosił 16 oficjalnych wydań indeksu. Ostatnie ukazało się w 1948 r., a na nowej liście znaleźli się m.in. Simone de Beauvoir i Jean-Paul Sartre. Wbrew czarnej legendzie indeks ani nie zahamował rozwoju naukowego, ani nie zaszkodził karierze żadnemu z wielkich pisarzy, jacy się na nim znaleźli. Książki objęte zakazem druku bez trudności publikowano w krajach protestanckich. Niekiedy obchodziły go nawet oficjalne instytucje katolickie. Na przykład w 1742 r. dwóch franciszkańskich matematyków opublikowało „Principia" Newtona z komentarzami i przedmową, mimo że ogólny zakaz publikacji książek głoszących heliocentryzm został zniesiony dużo później.

Powstanie i utrzymywanie fikcji indeksu największe konsekwencje miało przede wszystkim dla samego Kościoła. Podejmując skazaną na klęskę walkę z nieskrępowaną wymianą idei, Kościół ryzykował odcięciem się od świeckiej kultury i wszystkiego, co ją napędzało. Francuski historyk Georges Minois stwierdził, że dla Kościoła „historia zatrzymała się po Trydencie i aż do epoki fizyki kwantowej i jądrowej będzie on żył w czasach indeksu Pawła IV". Przed erą kontrreformacji kroczył w szeregu przemian kulturowych, a czasem wręcz im przewodził (najsłynniejsi naukowcy średniowiecza byli przecież duchownymi). Indeks – nawet jeśli jego realny wpływ był marginalny – stał się symbolem Kościoła okopanego na własnych pozycjach, który – jak pisał Minois – za pomocą stosów, inkwizycji i ekskomuniki walczył „ze wszystkim, co było w ruchu".

TOMASZ TARGAŃSKI

Bibliografia: Werner Fuld „Krótka historia książek zakazanych"; Georges Minois „Kościół i nauka"; Janusz Tazbir „Państwo bez stosów: szkice z dziejów tolerancji w Polsce XVI i XVII w.".

© ALAMY/BE&W (2)

eprasa.pl 5357578c79

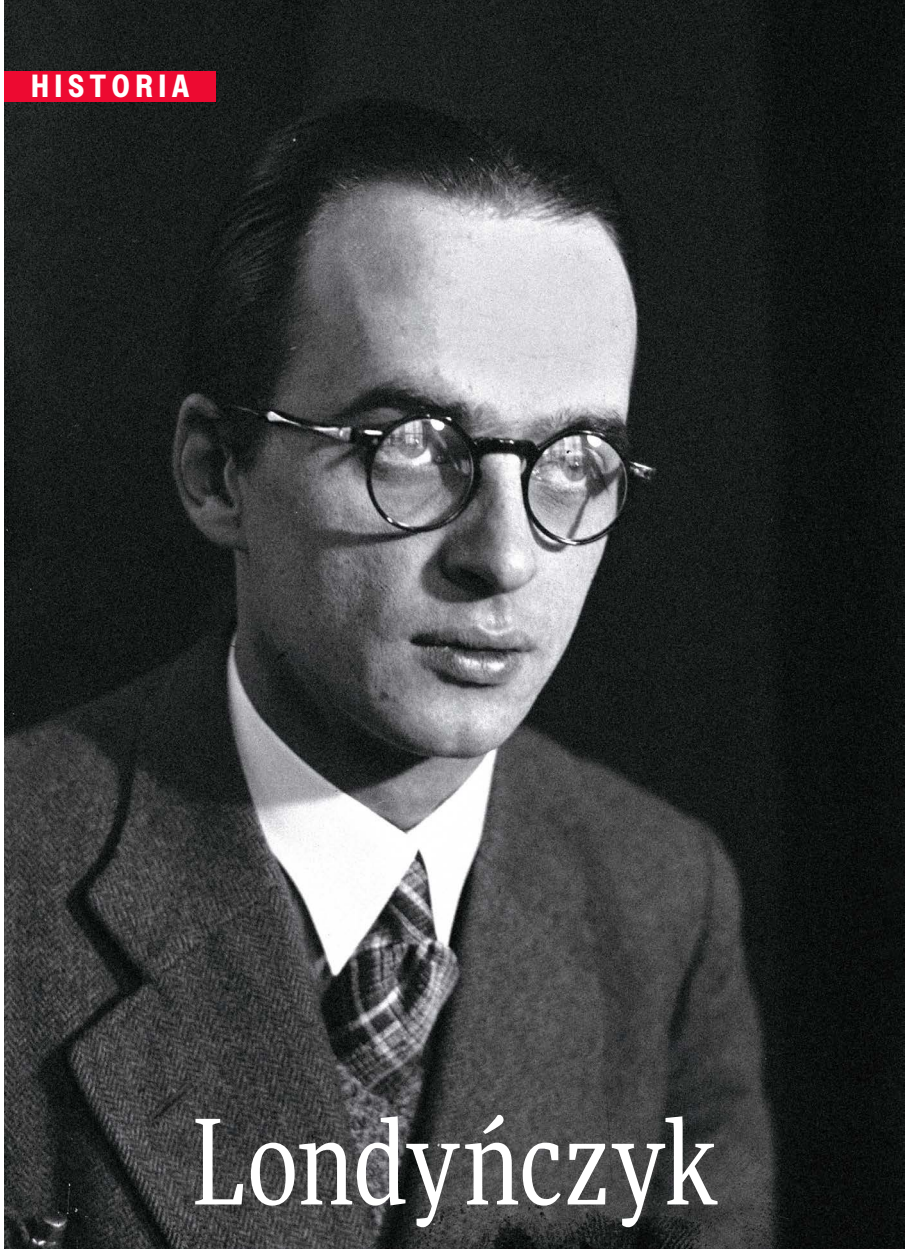

Londyńczyk

O Juliuszu Mieroszewskim, słynnym publicyście „Kultury" paryskiej, twórcy koncepcji „ukraińskiego bufora" oddzielającego Polskę od Rosji, opowiada Maciej Łuczak, autor jego biografii.

ANDRZEJ BRZEZIECKI: **– „Główna popisowa kukiełka w teatrzyku reżyserowanym przez Giedroycia" – tak go określała władza komunistyczna. Trafnie?**

MACIEJ ŁUCZAK: – Czytał go sam pierwszy sekretarz Władysław Gomułka, więc w PRL nie miano wątpliwości, że to główne polityczne pióro paryskiej „Kultury". Towarzysz Wiesław nawet w słynnym wystąpieniu 19 marca 1968 r. zaatakował Mieroszewskiego z imienia i nazwiska, mówiąc, że jego koncepcja ewolucjonizmu to „ni pies, ni wydra, coś na kształt świdra". To dowód na to, że niedowidzący już publicysta, pisząc w swym londyńskim mieszkanku teksty przy słabym świetle i wysyłając je w kopertach Jerzemu Giedroyciowi, docierał do poważnych czytelników. Gomułka z nim polemizował, ale – jak twierdził jego syn – wziął sobie do serca to, że „śmiertelnym zagrożeniem dla Polski jest porozumienie rosyjsko-niemieckie". Inny dowód uznania to notatka SB z rozmowy ze Zbigniewem Herbertem. Oficer SB relacjonował, że według poety Mieroszewski był „najwyżej ceniony przez figuranta [Giedroycia] spośród wszystkich pracowników obiektu [redakcja „Kultury]".

Za co go tak ceniono?

Zacytuję Gustawa Herlinga-Grudzińskiego: „Mieroszewski stworzył model żywego myślenia o sprawie polskiej. Nie w oparciu o to, co było, o wieczne roztrząsanie minionych świateł i cieni, lecz w kontekście zupełnie nowej sytuacji, jaka wyłoniła się na świecie i w kraju po ostatniej wojnie". Nie uznawał żadnych tabu i wstydliwych niedomówień. Cechował się odwagą i całkowitą niezależnością sądów.

Myślenie w poprzek i wbrew większości to cecha Mieroszewskich charakteryzująca ich do średniowiecza.

Mieroszewscy herbu Ślepowron uchodzili za ekscentryków nieoglądających się na konwencje. Nazywano to sobiepańskością. Zarazem byli to ludzie ciekawi świata, podróżujący, oczytani. Dość powiedzieć, że do założonego w 1816 r. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego należało aż pięciu Mieroszewskich. Pierwsza żona ojca Juliusza – Kazimierza Mieroszewskiego – była Japonką.

Wywodzący się z bogatej rodziny, przed drugą wojną świetnie zarabiający w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym", Mieroszewski był słabym materiałem na socjalistę, a jednak inaczej niż Józef Piłsudski nie wysiadł z tego tramwaju na przystanku niepodległość.

I zawsze to podkreślał. Był wychowany w liberalnym i kosmopolitycznym środowisku, zachował wrażliwość społeczną mimo pochodzenia i majątku. Po śmierci matki wychowywała go niemiecka guwernantka. Jego ojciec lekarz był człowiekiem światłym i znającym dobrze świat, który opłynął kilkakrotnie, służąc w austriackiej marynarce.

Sam Juliusz poznał Piłsudskiego jako ośmiolatek, gdy w 1914 r. przywódca Legionów stacjonował w Limanowej w domu Mieroszewskich i spał w jego pokoju. Mały Mieroszewski był tak zafascynowany postacią Brygadiera, że wymyślił z bratem patriotyczną zabawę. Kolekcję ołowianych niemieckich i austro-węgierskich żołnierzyków wrzucali do wrzątku, by usunąć pokrywającą ich farbę. Następnie kolorowymi farbkami „przebierali" żołnierzy za Wojsko Polskie. Piłsudski pozostał dla Mieroszewskiego ważną postacią, ale po 1918 r. uwikłał się w rządzenie, a Juliusz pozostał idealistą w kwestiach społecznych. ▶

© NAC

eprasa.pl 5357578c79

▶ Jako redaktor potężnego „Ikaca”?

W II RP funkcjonował przeważnie mimo zniesienia tytułów jako „hrabia” i „pan redaktor”. Zarabiał kilkakrotnie więcej niż przeciętny Polak. Miał własny samochód i kamienicę w Krakowie przy ul. Krupniczej, ale nie stał się przez to ignorantem. Charakteryzowała go ciekawość świata. Niemniej pod koniec lat 30. brał udział w kreowaniu wzmożenia patriotycznego, a wręcz mocarstwowego. Poetyka w stylu „nie oddamy ani guzika” nie była mu obca. Ale wtedy i Giedroyc grał na mocarstwowych nutach. Trzeba było klęski wrześniowej, aby obaj popatrzyli na świat bardziej analitycznie.

Byli rówieśnikami – urodzonymi w 1906 r. Przez wiele lat na emigracji współpracowali. Kiedy się poznali?

Po klęsce wrześniowej w Bukareszcie, potem zetknęli się w armii Andersa, ale wtedy Mieroszewski bardziej przyjaźnił się z Władysławem Broniewskim. Giedroycia lepiej poznał już po wojnie, gdy ten osiadł – początkowo – w Rzymie. Nawet jednak gdy zaczął współpracę z „Kulturą”, dalej nie miał z Giedroyciem bliskich relacji. Po imieniu zaczęli zwracać się do sobie dopiero w 1975 r., krótko przed śmiercią Mieroszewskiego.

W pierwszych latach po wojnie Mieroszewski należał do frakcji „niezłomnych” wobec realiów nad Wisłą.

Był sceptyczny wobec polskiego rządu w Londynie, ale jego pomysły na przyszłość „sprawy polskiej” krążyły wokół trzeciej wojny światowej. Dopuszczał możliwość użycia broni atomowej w walce ze Stalinem i polemizował z zachodnimi pacyfistami. Opowiadał się także za powstaniem legionu wschodnioeuropejskiego, w którym znaczącą część miałyby siły polskie. To nic innego jak dostosowany do realiów połowy XX w. program Adama Mickiewicza z „Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego” – pierwszej książki wydanej przez Instytut Literacki jeszcze w 1946 r. Przypomnijmy, że Mickiewicz kazał Polakom modlić się o wojnę powszechną.

Potem jednak Mieroszewski postulował przerzucanie mostów między emigracją a PRL. Pisał, że zaciekły emigracyjny antykomunizm, „nie produkuje niczego poza zwierzęcą nienawiścią do Rosji”. Co wpłynęło na tę zmianę poglądów?

Śmierć Stalina i „odwilż”. Referat Chruszczowa z XX Zjazdu KPZR (opublikowany zresztą przez Giedroycia) i zmiany w Polsce pokazały, że system komunistyczny nie jest litą skałą i można nań oddziaływać metodami pokojowymi. To wymusiło zmianę taktyki, ale cel się nie zmienił – wolna i demokratyczna Polska. To charakterystyczne dla myślenia i Mieroszewskiego, i Giedroycia – nadrzędne cele pozostają, ale zmieniają się metody działania. „Kultura” zawsze podkreślała, że trzeba się trzymać rzeczywistości. Mieroszewski ujrzał, że w PRL możliwa jest nawet zmiana przywódcy w wyniku oddolnej presji. Przyjął więc program ewolucyjny, który zakładał, że kraje demokratyczne i liberalne mogą wywierać nacisk na kraje totalitarne i tym samym wspierać żyjące w nich społeczeństwa w dążeniu do zmian. Chętnie wówczas przytaczał dowcip: Pyta ktoś Andersa, co myśli o Gomułce. Anders odpowiada: „To koniokrad!”. „Koniokrad?”. „Tak, bo ukradł mi białego konia”.



Dr **Maciej Łuczak** jest pracownikiem Instytutu Studiów Politycznych PAN. Jego książka „A imię jego 34. Postępowania karne wobec sygnatariuszy Listu 34 i popierających go pisarzy” (Warszawa 2023) została nominowana do nagrody im. K. Moczarskiego. Właśnie ukazała się jego biografia „Pragmatyczny wizjoner, rzecz o Juliuszu Mieroszewskim” wydana przez Centrum Dialogu im. Juliusza Mieroszewskiego.

Po 1956 r. Mieroszewski był pierwszym politycznym piórem „Kultury”. Wysoko cenił go nawet krytyczny Witold Gombrowicz, ale można odnieść wrażenie, że Giedroyc „krótko go trzymał”.

Bo przy wszystkich nadzwyczajnych cechach Giedroyc był niebywale apodyktyczny. Miał nad Mieroszewskim władzę, bo zamieszczał jego teksty i za nie płacił, i tę władzę konsekwentnie sprawował. Do tego stopnia, że nieraz ingerował w teksty Mieroszewskiego, a niektóre odrzucał. Dla niego publicystyka „Londyńczyka” była narzędziem politycznej gry. Mieroszewski to akceptował, bo dla niego korzyścią była możliwość wyrażania poglądów na łamach „Kultury”. Praca była dla niego sensem życia.

Duet perfekcyjny?

Jeden z wielu intelektualnych duetów, jakie znamy. Na biurku Redaktora w Maisons-Laffitte stał portret Mieroszewskiego. Uzupełniali się również dlatego, że Giedroyc był frontmanem, brał na siebie funkcjonowanie na zewnątrz, a Mieroszewski dostarczał mu amunicji do prowadzonych kampanii. Trafne jest porównanie ich relacji do podległości wojskowej – dowódca i żołnierz. W ich korespondencji, która liczy trzy tysiące listów, widać jednak, że ów żołnierz Mieroszewski wielokrotnie inspirował swego generała. Po drugie, Giedroyc był tzw. zwierzęciem politycznym. W jednym z listów Mieroszewski puścił wodze fantazji i projektował, że gdy w wolnej Polsce Giedroyc zostanie premierem i zwróci się do niego z propozycją objęcia ważnej funkcji w rządzie, odmówi, bo jego miejsce będzie wtedy w fotelu szefa opozycyjnej gazety. Mieroszewski swoją rolę widział w patrzeniu władzy na ręce.

Zrezygnował z zarabiania gdzie indziej, by pisać do „Kultury” – za niewielkie pieniądze.

To czasem prowadziło do nieporozumień. „Londyńczyk” – tak podpisywał swoje teksty – żył skromnie. Jego listy pełne są wyliczeń rzeczy, na które go nie stać – począwszy od butów, na które musiał długo oszczędzać. Świątecznego indyka kupował przez kilka miesięcy na raty – nadpłacając sprzedawcy drobne kwoty zawczasu, aż się do świąt uzbierało. Codzienną dietę ratował rybami, które z pasją łowił. Befsztyk był dla niego nieosiągalnym rarytasem. Kiedyś upomniał się u Giedroycia o zwrot za rachunki, które płacił w restauracjach, zapraszając na lunche „oficjalnych gości”. Redaktor bezwzględnie skarcił „Londyńczyka”, twierdząc, że takie wizyty – jak to było u niego w zwyczaju – załatwia się „kieliszkiem czerwonego wina i paluszkami”.

Pisze pan, że po wojnie Mieroszewski cierpiał na anhedonię – nieumiejętność cieszenia się życiem.

Porównałbym go do Kłapouchego z „Kubusia Puchatka”. Wrzesień 1939 r. był dla niego wstrząsem. Opuścił z pierwszą żoną Ewą Kraków i wszystko stracił. Jego świat nagle zniknął. Przepadły kamienica i pensja, do połowy września miał już tylko auto, ale i je stracił w Rumunii. Został w tym, co miał na sobie. Przez następne lata był skazany na łaskę władz na uchodźstwie i wojskowy żołd. Podczas pobytu na Bliskim Wschodzie rozpadło się jego małżeństwo, a córka Monika pozostała przy matce – obie po 1945 r. przez Anglię wyjechały do USA. Mieroszewski nie potrafił się finansowo ani towarzysko urządzić. Zawsze był lekko introwertyczny, ale wtedy nie był już zdolny do budowania relacji z ludźmi. Dość powiedzieć, że nigdy nie przyjechał do Maisons-Laffitte, zawsze

© RADOSŁAW PIETRUSZKA/PAP, MACIEJ ŁUCZAK

eprasa.pl 5357578c79

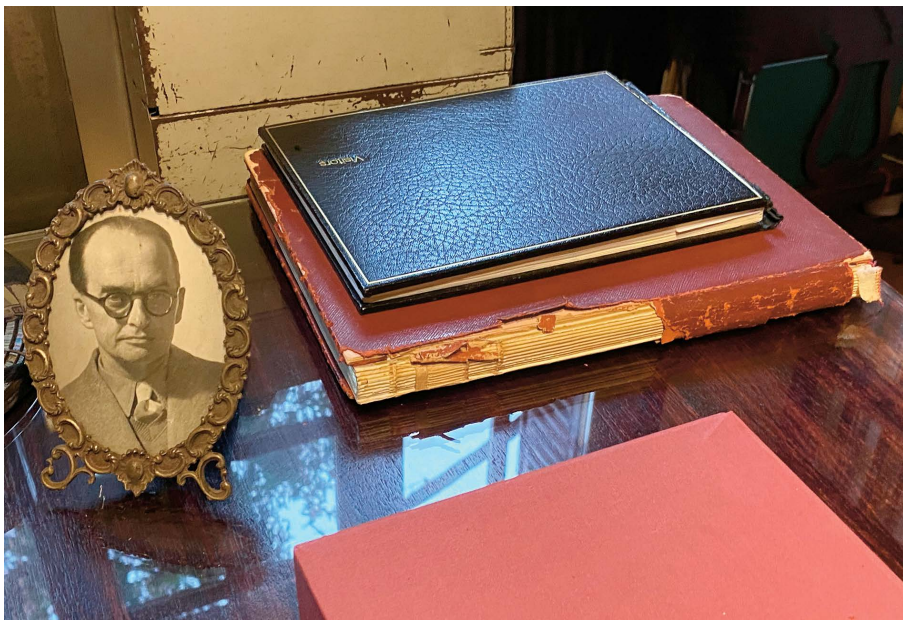

Zdjęcie Juliusza Mieroszewskiego na biurku Jerzego Giedroycia

wymyślał jakieś powody, dla których podróż była niemożliwa. To Giedroyc jeździł do Londynu, by z nim porozmawiać. Mieroszewski wolał świat poznawać z gazet i książek, a gdy pod koniec życia tracił wzrok – z radia.

Służba Bezpieczeństwa drwiła, że rozstawia pionki na światowej szachownicy, a sam żyje na koszt drugiej żony Jadwigi.

Poniekąd to prawda, bo Inka, jak ją wszyscy nazywali, czyli Jadwiga Czechowicz-Mieroszewska, pracując w wydawnictwach, zaczęła lepiej zarabiać od męża. Giedroyc dopiero po latach wypłacił mu porządną – jak na swoje możliwości – premię przyznaną na 25-lecie „Kultury".

Mieroszewski przeszedł do historii jako twórca koncepcji ULB (Ukraina -Litwa-Białoruś), która stała u podstaw polityki III RP i którą większość zna jako koncepcję Giedroycia.

Na czym polegała?

Mieroszewski uznał przemiany, jakie zaszły po drugiej wojnie światowej. „Kultura" głośno mówiła, że musimy zaakceptować nowe granice Polski, które są dla nas całkiem korzystne. Rezygnacja z pretensji do ziem wschodnich, Lwowa i Wilna szła w poprzek myślenia emigracji marzącej o powrocie do granic sprzed 1939 r. Koncepcja ULB szła jeszcze dalej, bo postulowała budowanie dobrych relacji z państwami graniczącymi z nami na wschodzie. Miał to być przede wszystkim sposób na prowadzenie skutecznej polityki wobec imperialnej Rosji. Ani Mieroszewski, ani Giedroyc nie byli szczególnymi ukrainofilami. Mieli bardzo pragmatyczny stosunek do Ukrainy, Litwy i Białorusi – uważali je za ważne, bo odgradzały nas od Rosji. Milcząco przyjmowano, że te państwa – niepodległe i demokratyczne – raczej będą przyjazne Polsce, a sceptyczne wobec Rosji. Ta koncepcja bardzo dobrze się sprawdzała po 1989 r.

Wydawałoby się, że po 2022 r., czyli po napaści Rosji na Ukrainę, będziemy mieli renesans myśli Mieroszewskiego – a chyba jest inaczej.

Rozmawiamy w chwili, gdy wybuchła awantura związana z decyzją Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu ukraińskiemu oddziałowi nazwy „Bohaterów UPA". Z punktu widzenia polskiej wrażliwości jest to kontrowersyjny pomysł, ale różne pamięci historyczne narodów są czymś naturalnym. Przypomnę tylko, że w kwietniu 2015 r. Rada Najwyższa Ukrainy już uhonorowała UPA. To jest konsekwentna polityka Kijowa, który postrzega UPA i Stefana Banderę jako bojowników o wolną Ukrainę z Rosją Sowiecką. Obecny zwrot antyukraiński zaprzecza koncepcji Mieroszewskiego.

Nie lubimy gdybać, ale zapytam: jak by zareagował?

Pewnie przypomniałby nam, że we wsparciu dla Kijowa nie chodzi o miłość do Ukraińców, ale o sposób na powstrzymanie kremlowskiego imperializmu. Jak pisał w swym najsłynniejszym tekście z 1973 r. „Rosyjski »kompleks polski« i obszar ULB": „zawsze chodzi o Ukrainę, Litwę i Białoruś, ponieważ sytuacja na tych obszarach determinuje stosunki polsko-rosyjskie".

Mieroszewski zmarł pół wieku temu, w czerwcu 1976 r. Jerzy Giedroyc doczekał III RP, ale bywał wobec niej krytyczny. „Londyńczykowi" nasza Polska by się podobała?

Warto przypomnieć, że w 1994 r. Giedroyc nie przyjął Orderu Orła Białego, tłumacząc się, że w ogóle nie przyjmuje państwowych odznaczeń, choć ukraińskie czy litewskie przyjął... Może i dobrze, że na piersi Redaktora nie pojawił się ten order, bo dziś przynajmniej nikt nie chce mu go odebrać. Mieroszewski chciał „wymyślić Polskę na nowo", był idealistą jak Stefan Żeromski, który opisywał „szklane domy". Myślę jednak, że choć nie miałby stuprocentowej satysfakcji, akceptowałby naszą Polskę. Zwłaszcza to, że jesteśmy w Unii Europejskiej, bo zawsze twierdził, że jesteśmy za małym i zbyt peryferyjnym państwem, aby prowadzić samodzielną „mocarstwową" politykę. Realia zawsze są gorsze od marzeń. Pisząc książkę o Mieroszewskim, chciałem przypomnieć człowieka, który nie bał się głosić opinii niepopularnych i propagować wizji, które na pierwszy rzut oka wydają się nierealne.

Donald Tusk powiedział kiedyś, że jak ktoś ma wizje, powinien iść do lekarza…

Koncepcje Mieroszewskiego były wynikiem wnikliwej analizy. Tworzył naprawdę profesjonalny jednoosobowy think tank. Pisał w 1967 r., że postulat, który wydaje się nieosiągalny, może stać się w zmienionej sytuacji propozycją jak najbardziej realną. Przekonywał, że realizm polega na trafnej ocenie rzeczywistości – na bezbłędnym wyczuciu aktualnej sytuacji politycznej.

I pozostaje w cieniu Giedroycia…

Nawet gdy staraliśmy się przekonać Senat, by do uchwały stanowiącej rok 2026 Rokiem Jerzego Giedroycia dopisać Mieroszewskiego i zebraliśmy kilkadziesiąt podpisów zacnych osób, nic z tego nie wyszło. Szkoda, bo Mieroszewski prezentował sposób myślenia racjonalny, analityczny i nie bał się stawiać tez idących w poprzek głównego nurtu, obecnie kreowanemu przez populistów. Taki człowiek byłby dziś bezcenny!

ROZMAWIAŁ ANDRZEJ BRZEZIECKI

eprasa.pl 5357578c79

film



Skrucha grzesznika 4/6

Robin Hood: koniec legendy (The Death of Robin Hood),
reż. Michael Sarnoski, prod. USA, 123 min, w kinach od 19 czerwca

Przywódca wyjętej spod prawa drużyny sherwoodzkiej, zanim wpisał się na stałe do panteonu największych gwiazd kultury masowej, był bohaterem niezliczonych mitologizujących go opowieści. Zaczęło się od poematu „Piers Plowman" z 1337 r. Więcej barwnych szczegółów dostarczyły m.in. klasyczne opracowania Howarda Pyle'a oraz „Ivanhoe" Waltera Scotta. Wybitni filmowcy – tacy jak Michael Curtiz, Richard Lester, Kevin Reynolds, Ridley Scott –wyciągali z legendy spektakularne epizody: wyrok śmierci okupiony zwycięskimi starciami ze strażnikami lasów królewskich, pojedynki z szeryfem Nottingham, awans na dowódcę łuczników w służbie Ryszarda Lwie Serce, romans z Lady Marion itd. Mało kogo natomiast pociągał schyłkowy okres, gdy Robin Hood miał zrezygnować z życia w gwarnym Londynie i powrócić do lasu, do dawnych kompanów, gdzie – jak głosi jedna z narracji – zginął, wykrwawiony przez podstępną przeoryszę po zabiegu puszczania krwi.

Widowisko Michaela Sarnoskiego („Świnia", „Ciche miejsce: Dzień pierwszy") poświęcone jest temu właśnie momentowi. Zaletą filmu wydaje się to, że radykalnie zrywa z romantycznym wizerunkiem ludowego rzecznika wolności. Słabością – ustanowienie nowego, opartego na antybohaterstwie. Robin Hood, w którego wciela się hollywoodzki gwiazdor **Hugh Jackman**, to żaden dobroczyńca rozdający łupy biedakom. Z filmu wyłania się obraz pozbawionego empatii zwyrodnialca, palącego ludzi żywcem, gotowego dla zabawy rozpruwać brzuchy. To człowiek złamany, wyczerpany walką, szukający ostatniej szansy na odkupienie, do którego w końcu dociera, że zemsty ofiar nie da się przerwać inaczej, niż wyrzekając się zabijania. Niestety nie sposób mu zatem współczuć ani się z nim utożsamić, nawet jeśli cierpi i wyznaje winy – choć twórcy robią wszystko, by stworzyć klimat biblijnego dramatu sumienia Szawła. Skutkiem jest przerost formy nad treścią. A bliskie plany, jak w „Makbecie" Justina Kurzela, i ascetyczna scenografia obnażają tylko jakiś fundamentalny fałsz tak skonstruowanej historii.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Idźcie, ofiara spełniona 5/6

Dzień objawienia (Disclosure Day),
reż. Steven Spielberg,
prod. USA, 145 min, już w kinach



Król Hollywood domyka swój nieformalny cykl poświęcony kosmitom widowiskową superprodukcją, wykorzystując do tego celu teorię spiskową, wedle której amerykańskie rządy od 79 lat, tzn. od incydentu w Roswell, ukrywają przed światem twarde dowody na istnienie obcych. „Dzień objawienia" nie jest sequelem „E.T." ani powtórką „Bliskich spotkań trzeciego stopnia", całkiem serio natomiast próbuje nadać spielbergowskiej mitologii status nowej religii. Film spina i rozwija większość poruszanych przez autora wątków, na czele z teologicznym pytaniem, czy chrześcijaństwo (w domyśle: każda ziemska wiara) rozpadnie się jak domek z kart, gdy się okaże, że nie jesteśmy sami, jednocześnie wlewając w nasze serca nadzieję: nie lękajmy się nieznanego, to ludzie są najbardziej agresywnymi istotami we wszechświecie. Spielbergowi bardzo się udała ta zabawa. W opakowaniu psychoanalitycznego kina akcji serwuje medialną baśń niosącą pacyfistyczne przesłanie w obliczu majaczącej na horyzoncie trzeciej wojny światowej. Jest w tym luz i przewrotność niespełna 80-letniego mistrza, który niczym szekspirowski Prospero dokonuje magicznej sztuki zespolenia elementów nadprzyrodzonych z refleksją nad władzą, zemstą i przebaczeniem. JW

eprasa.pl 5357578c79

serial

Piotruś łotruś 3/6

Morfeusz, reż. Maciej Migas, 7 odc., SkyShowtime

Po nagłej i brutalnej śmierci Króla, jak przystało na gangstera, jego ojciec (Andrzej Grabowski), emerytowany szef szczecińskiego gangu odsiadujący 25-letni wyrok, nakazuje pochować brata drugiemu synowi. Ten jest prawnikiem i dotąd unikał kontaktów z rodzinnym biznesem. A sprawa okazuje się skomplikowana i krok po kroku mecenas Piotr Leyer (**Kamil Szeptycki**), świeża gwiazda szczecińskiej palestry oraz przykładny mąż i ojciec, nie tylko przejmuje stery mafijnej organizacji, ale też, ku zdziwieniu otoczenia i widzów, świetnie się w nowej roli odnajduje. Zdziwienie widzów „Morfeusza" bywa nawet większe niż rodziny i podwładnych Piotra, bo choć z jednej strony serial SkyShowtime to parada wytartych klisz ciągnąca się przez długie



siedem godzin, z drugiej – twórcy, scenarzysta Michał Wawrzecki i reżyser Maciej Migas, nie potrafili stworzyć wiarygodnych psychologicznie bohaterów. W przemianę Piotra Leyera musimy więc uwierzyć na słowo, nieprzekonująco wypadają też rewelacje z ostatniego odcinka, w tym tożsamość tytułowego Morfeusza, która zresztą nikogo nie obchodzi. A po drodze długie minuty akcji zabiera stereotypowo poprowadzony wątek policyjnego kreta (Mateusz Kmiecik), nieporadnie napisane postacie kobiet (żona, policjantka, prostytutka), wojenka z konkurencyjną mafią, kierowaną przez niejakiego Romana (zabawny Andrzej Konopka), korumpowanie polityków, świętowanie w nocnych klubach czy walka MMA. I dla fanów tych ostatnich, zdaje się, powstał „Morfeusz".

ANETA KYZIOŁ

© AIDAN MONAGHAN/DORH HOLDING CO. LLC, NIKO TAVERNISE/UNIVERSAL STUDIOS, SKAYSHOWTIME, HAWA

scena



Ja, Hamlet 5/6

Paweł Demirski, **Mam coś w głębi nie do przedstawienia. Hamlet**, reż. Remigiusz Brzyk, Stary Teatr w Krakowie

Paweł Demirski, jako dramatopisarz i połowa duetu tworzonego z reżyserką Moniką Strzępką, przez ponad dwie dekady był jedną z najważniejszych postaci polskiego teatru. Po czym odszedł pisać scenariusze i reżyserować seriale. Wraca na scenę po pięcioletniej przerwie, tym razem już nie tylko jako autor tekstu, ale też główny bohater spektaklu. Motywy i postacie z „Hamleta" posłużyły mu do stworzenia autobiograficznej opowieści, której centralnym punktem jest śmierć ojca, gdy autor był nastolatkiem. Postawy polityczne, ideologiczne, motyw awansu społecznego i jego rewers: poczucie niedopasowania, niezakorzenienia, depresja i lęk, łagodzone wisielczym humorem – to, co budowało teatralny język Demirskiego, tu pojawia się bezpośrednio i spiętrzone. I układa się w poruszającą opowieść tyleż osobistą, co pokoleniową, snutą przez 47-latka i ojca, dorastającego na styku PRL-u i kapitalistycznej Polski, na gdańskim blokowisku, wychowywanego przez matkę, która sama też wcześnie straciła ojca. **Kamil Pudlik** gra Hamleta/Demirskiego, naśladując sposób mówienia i gestykulacji autora, reszta obsady też funkcjonuje na styku światów, a sam teatr – jako ocalenie (hołd złożony dramatopisarce Sarah Kane), jako przez lata dom (Stary Teatr, jego aktorzy i Plac Szczepański) i wreszcie jako rozczarowanie – jest tu może najważniejszym bohaterem. AK

REKLAMA

INNE BRZMIENIA wschód kultury

Park Ludowy, Stare Miasto

2–5 lipca, Lublin

Muzyka, która inspiruje.
innebrzmienia.eu

WSTĘP WOLNY

Zagrają między innymi:

Therapy? (GBR)
Sun Ra Arkestra (USA)
Dälek (USA)
Backengrillen (SWE)
Dead Bob (CAN)
Furia gra kino (POL)
Kap Bambino (FRA)
Mats Gustafsson & Kimmo Pohjonen (SWE/FIN)
Marcin Masecki & Boleros (POL)

Zeskanuj i sprawdź line–up

ORGANIZATORZY | ORGANIZERS

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
75 Narodowe Centrum Kultury
Warsztaty Kultury
Instytucja Kultury Miasta Lublin
Europejska Stolica Kultury Lublin 2029
Lublin Miasto Inspiracji

SPONSORZY | SPONSORS

Browar Zakładowy
STRABAG Work on Progress

eprasa.pl 5357578c79

książka Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia



Mroki Waldenburga 4/6

Marek Krajewski, **Droga krwi**, Wydawnictwo Znak, Kraków 2026, s. 480

Autor „Drogi krwi" jest jednym z tych, dzięki którym retrokryminał zdobył w Polsce olbrzymią popularność, i do dziś porusza się w ramach tego gatunku z zaiste profesorską pewnością. Marek Krajewski wie, jak dać czytelnikom dokładnie to, czego oczekują – wyraziste postacie, trochę makabry, szczegółowo odmalowane realia historyczne – a jednocześnie za każdym razem dołożyć do rekonstruowanego przez siebie świata trochę nowych, zaskakujących elementów. Tym razem znaczącą część fabuły przenosi z Wrocławia do rodzinnego miasta Eberharda Mocka, czyli Waldenburga (Wałbrzycha), lecz głównym bohaterem – podobnie jak w poprzedniej powieści „Głos z piekła" – znów czyni Herberta Anwaldta, studenta psychiatrii, który rozpoczyna pracę w lokalnym szpitalu dla syfilityków. Przypadkiem jednak wplącze się w przemytniczą aferę, której mózgiem jest bezwzględny przestępca ukrywający się pod pseudonimem Szatanor. Na arenę wydarzeń, także nieco przypadkiem, wkroczy również Mock, który boleśnie się przekona, że jego wrocławska sława nie zapewni mu nietykalności w Wałbrzychu. „Droga krwi" rozkręca się dość powoli, ale Krajewski wie, jak wykorzystać ten czas, by wprowadzić nowe postacie i naszkicować mapę wydarzeń, podprowadzić akcję do gwałtownego, jak zwykle dość krwawego finału. Najsłabszym elementem książki wydaje się, niestety, jej protagonista: Krajewski daje co prawda Anwaldtowi szansę na rozwój, lecz młody psychiatra wciąż wydaje się nijaki. Może to kwestia dobrze skonstruowanej persony Mocka, który nawet w drugoplanowej roli natychmiast skupia na sobie uwagę czytelników.

JAKUB DEMIAŃCZUK

galeria



Kobiece napięcie 4/6

Women Art Power 2, MCSW Elektrownia, Radom, do 6 września

Z jednej ze ścian spogląda na zwiedzających cała galeria męskich popiersi uformowanych na podobieństwo myśliwskich trofeów. Odwrócenie ról? I od razu wiemy, że jesteśmy na wystawie, która od odwiedzających ją panów wymaga szczególnej uważności. Pierwsza odsłona tego projektu odbyła się przed czterema laty, co może raczej galerię sytuować w gronie pionierów trendu wystaw poświęconych sztuce kobiet, a nie jego epigonów. Odsłona druga jest kontynuacją poprzedniej. Może nawet zbyt wierną, bo blisko połowa artystek pokazywanych teraz wystawiana była także wówczas. I choć nie brak na niej prac o silnym zabarwieniu feministycznym (np. niezrównanej w tych klimatach Iwony Demko), to jednak bardziej chodzi nie o walkę, sprawiedliwość dziejową i nadrabianie zaległości historii sztuki, lecz o zaprezentowanie możliwie szerokiej palety emocji, uczuć, sposobów widzenia świata u współczesnych polskich artystek. Różnorodność wątków ich twórczości – także formalna i stylistyczna – rzuca się w oczy i zaciekawia. Mamy tu prace skoncentrowane na cielesności (Monika Falkus, Martyna Czech), zdradzające perspektywę socjologiczną (Marta Nadolle), podszyte czarnym humorem (Alex Urban, Julia Szymczykowska) czy głęboko zanurzone w emocjonalności (Katarzyna Kukuła). A wszystkiemu patronują prace artystki, która staje się powoli najważniejszym symbolem polskiej sztuki kobiecej – Marii Pinińskiej-Bereś.

PIOTR SARZYŃSKI

nie przegap



Malta Festival, 21–28 czerwca, Poznań

Festiwalowy tydzień w Poznaniu zapowiada się różnorodnie i spektakularnie. Emocje muzyczne zapewnią m.in. Benjamin Clementine, Devendra Banhart, Beirut czy The Blaze, teatralne – m.in. Magdalena Cielecka, która w projekcie „The Second Woman" w ciągu doby powtórzy tę samą scenę rozstania z setką partnerów wyłonionych w castingu, a także duet CocoRosie z Justyną Wasilewską w ekooperze „La Mort de la Mer" czy spektakl Tiago Rodriguesa „Dystans" o relacji ojca i córki. Do tego bogaty program spotkań, debat i wydarzeń plenerowych. AK

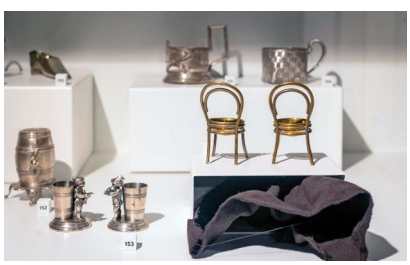

90/90. Dookoła muzeum, Muzeum Warszawy, do 1 lutego 2027 r.

Jubileuszowa akcja Muzeum Warszawy, świętującego swoje 90-lecie, rozpoczyna się 19 czerwca. Aż do lutego placówka będzie prezentować kolejno „90 rzeczy, miejsc, detali i zjawisk" związanych z jej codziennym funkcjonowaniem. Wśród eksponatów – często niematerialnych – znajdzie się muzealny zapach („mieszanka aromatu drewna, wosku, kurzu i pasty do podłóg", jak czytamy) albo towarzyszące zespołowi tej instytucji psy. Akcja obejmie wszystkie oddziały Muzeum Warszawy. BCH

Szczegóły: muzeumwarszawy.pl



Centralny Plac Muzyki, Plac Centralny, Warszawa, 19 czerwca–7 lipca

Takiego przedsięwzięcia jeszcze w stolicy nie było – 13 koncertów i spektakli na wolnym powietrzu, przed Pałacem Kultury. Dla każdego coś miłego – a więc muzyka symfoniczna i filmowa, opery (od Mozarta do Pucciniego), operetki i musicale w wykonaniu warszawskich instytucji muzycznych i teatralnych oraz gościnnie występujących gwiazd (m.in. Joyce DiDonato, Sonya Yoncheva, Aleksandra Kurzak). Oby dopisały pogoda i nagłośnienie. DS

© MICHAŁ GRABOWSKI, TOMASZ KACZOR, MP (3)

eprasa.pl 5357578c79

KULTURA+

Lato 2026



Aleksander Dębicz i Jakub Józef Orliński

115 najciekawszych wydarzeń kulturalnych

● Pod gołym niebem: festiwale muzyczne ● The Smiths: rozdzieleni bohaterowie ● Kneecap: wkurzamy właściwych ludzi ● Śląsk: rytmy transformacji ● Nowe w Zamku Królewskim

eprasa.pl 5357578c79

KALENDARIUM WYDARZEŃ: LATO

CZERWIEC

do 24.06 | TEATR | **46. Warszawskie Spotkania Teatralne**
do 16.08 | MUZYKA | 27. Letni Festiwal Opery Krakowskiej
17.06–22.09 | INTERDYSCYPLINARNE | **Art Box Experience, Art Box Metaverse** – dzieci zwiedzają za darmo | Fabryka Norblina | Warszawa
18.06–31.12 | SZTUKA | **Szkoła spojrzenia. Miasto** | Muzeum Sztuki | Łódź
19–20.06 | MUZYKA | **Carbon Silesia Festival** | Zabrze
19–21.06 | INTERDYSCYPLINARNE | **Festiwal Fantastyki Pyrkon** | Poznań
19.06–25.07 | MUZYKA | **9. Letni Festiwal Polskiej Opery Królewskiej** | Warszawa
19.06–28.08 | MUZYKA | **Międzynarodowy Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej** | Kamień Pomorski
19.06–7.07 | MUZYKA | **Centralny Plac Muzyki** | Plac Centralny | Warszawa
19.06 | TEATR | Szymon Adamczak, **Pranie Muzgó**, reż. Magda Szpecht | Teatr im. Jaracza | Łódź
19.06 | TEATR | Piotr Rowicki, **Maria Skłodowska-Curie. Doświadczenie**, reż. Justyna Łagowska, monodram Agnieszki Przepiórskiej | Teatr Stary | Lublin
19.06–13.08 | SZTUKA | **„Moda Polska"** | Muzeum Narodowe | Kraków
19.06–30.08 | SZTUKA | **Bielski Festiwal Sztuk Wizualnych** | Bielsko-Biała
20.06 | TEATR | Hanoch Levin, **Krum**, reż. Radosław Rychcik | Teatr im. Fredry | Gniezno
20.06 | TEATR | **Kolekcja prywatna**, scen. i reż. Claude Bardouil | Nowy Teatr | Warszawa
20.06 | TEATR | Gabriela Zapolska, **Moralność pani Dulskiej**, reż. Anna Augustynowicz | Teatr Narodowy | Warszawa
20–21.06 | MUZYKA | **Bryan Adams. Bare Bones** | ICE Kraków, NOSPR | Kraków, Katowice
21–28.06 | **INTERDYSCYPLINARNE** | Malta Festival | **Poznań**
23–27.06 | TEATR | **12. Międzynarodowy Festiwal Szkół Lalkarskich Lalkanielalka** | Białystok
25.06 | TEATR | **Zdzisiek**, scen. i reż. Tomasz Man | Teatr Nowy | Poznań
25.06–4.07 | MUZYKA | **AżTak Festiwal** | Warszawa
26.06–5.07 | MUZYKA | **29. Festiwal Muzyki Kameralnej Wieczory w Arsenale** | Wrocław
26.06–22.08 | MUZYKA | **Męskie Granie** | Żywiec, Poznań, Gdańsk, Wrocław, Kraków, Warszawa
26.06–10.01 | SZTUKA | **Drogi Czarnych wkraczają w Biały Świat** oraz **Jesteś w sercu zmian. Surrealizm i Antyfaszyzm** | Muzeum Sztuki Nowoczesnej | Warszawa
26.06–30.08 | SZTUKA | **Krajobrazy tekstylne** | Muzeum Narodowe | Gdańsk
26.06 | TEATR | Juliusz Machulski, **Meczycho**, reż. Tomasz Karolak | Teatr Powszechny | Łódź
26–27.06 | MUZYKA | **Ravekjavík Forever** | Elektrownia w kompleksie Fuzja | Łódź
27.06–31.08 | MUZYKA | **31. Summer Jazz Festival** | Kraków
27.06 | TEATR | Homer, **Iliada**, reż. Paweł Świątek | Teatr im. Szaniawskiego | Wałbrzych
27.06–5.07 | MUZYKA | **32. Międzynarodowy Festiwal Muzyczny im. Krystyny Jamroz** | Busko-Zdrój
27–28.06 | KOMIKS | **Kraków Comics Festival** | Kraków


Jennie (Open'er)


Bryan Adams

27.06–3.07 | FILM | **Międzynarodowy Festiwal Filmowy BellaTOFIFEST** | Toruń
28.06–5.07 | FILM | **Lubuskie Lato Filmowe** | Łagów

LIPIEC

1–4.07 | MUZYKA | **Open'er Festival** | Lotnisko Gdynia-Kossakowo
1–5.07 | MUZYKA | **48. Festiwal Muzyki Dawnej Omnia Beneficia** | Stary Sącz
1–7.07 | MUZYKA | **4. Baltic Opera Festival** | Opera Leśna, Opera Bałtycka, Europejskie Centrum Solidarności | Sopot, Gdańsk
2–5.07 | MUZYKA | **Festiwal Inne Brzmienia** | Lublin
2–5.07 | MUZYKA | **35. Warsaw Summer Jazz Days** | Warszawa
2–5.07 | MUZYKA | **23. Festiwal Księżnej Daisy** | Zamek Książ
3–26.07 | TEATR | **XXI Międzynarodowy Festiwal Wyobraźni i Możliwości Teatru Lalek „Anima"** | Olsztyn
4–12.07 | FILM | **Międzynarodowy Festiwal Filmów Animowanych Animator** | Poznań
4–11.07 | MUZYKA | **16. NDI Sopot Classic** | Sopot
4–27.07 | MUZYKA | **Strefa Ciszy – Royal Łazienki Music Festival** | Warszawa
4.07–29.08 | MUZYKA | **32. Jazz na Starówce** | Warszawa
4.07–29.08 | MUZYKA | **14. Festiwal Muzyki Emanacje** | Lusławice i różne miejsca
5.07 | MUZYKA | **Śląskie – Rytmy Industrii** | Muzeum Śląskie | Katowice
6.07–8.08 | MUZYKA | **26. Ogrody Muzyczne** | Warszawa
7.07 | MUZYKA | **The Roots** | Letnia Scena Progresji | Warszawa
9.07 | MUZYKA | **Morrissey** | Progresja | Warszawa
9–12.07 | TEATR | **XXVIII Międzynarodowy Festiwal Teatrów Plenerowych i Ulicznych Feta** | Gdańsk
10–11.07 | TEATR | **Mała Miss**, reż. Agnieszka Płoszajska | Kujawsko-Pomorski Teatr Muzyczny w Toruniu
10–12.07 | MUZYKA | **Audioriver Festival** | Łódź
13.07 | MUZYKA | **Suzanne Vega** | Narodowe Forum Muzyki | Wrocław
14.07 | MUZYKA | **Bad Bunny** | PGE Narodowy | Warszawa
15–19.07 | MUZYKA | **Kazimiernikejszyn** | Kazimierz Dolny
15.07–25.10 | SZTUKA | **Marilyn Monroe. Czuję, że ją znam, ale czasem moje ręce wyginają się do tyłu** | Krupa Art Foundation | Wrocław
16.07 | MUZYKA | **Lenny Kravitz** | Ergo Arena | Gdańsk
16–19.07 | MUZYKA | **Festiwal Kultur Świata Globaltica** | Park Kolibki | Gdynia
16–19.07 | MUZYKA | **Castle Party Festival** | Zamek Bolków
16–19.07 | MUZYKA | **Jarocin Festival**
17.07 | MUZYKA | **BEAT: Adrian Belew, Tony Levin, Steve Vai, Danny Carey** | Zamek Ćmielów
17.07–2.08 | MUZYKA | **22. Festiwal Muzyki Polskiej** | Kraków
17–18.07 | INTERDYSCYPLINARNE | **Future Frombork Festival**
18.07 | MUZYKA | **Marilyn Manson** | Atlas Arena | Łódź
18.07–2.08 | MUZYKA | **26. Festiwal Bachowski** | Świdnica
18–19.07 | MUZYKA | **System of a Down** | PGE Narodowy | Warszawa

eprasa.pl 5357578c79

KALENDARIUM WYDARZEŃ: LATO

23.07 | MUZYKA | **Suede** | Letnia Scena Progresji | Warszawa
23.07–2.08 | TEATR | **30. Festiwal Szekspirowski** | Gdańsk
23.07–2.08 | FILM | **Międzynarodowy Festiwal Filmowy Tauron Nowe Horyzonty** | Wrocław
23–26.07 | CYRK | **Carnaval Sztukmistrzów** | Lublin
24.07–5.09 | MUZYKA | **Erste Letnie Brzmienia** | Kraków, Warszawa, Gdańsk, Wrocław, Poznań
25.07–3.08 | MUZYKA | **Międzynarodowy Festiwal Muzyki Karola Szymanowskiego** | Zakopane
25.07–25.10 | SZTUKA | **Kiki Smith** | MOCAK | Kraków
28.07 | MUZYKA | **Judas Priest** | Torwar | Warszawa
30.07–1.08 | MUZYKA | **Pol'and'Rock Festival** | Lotnisko Czaplinek-Broczyno
31.07–1.08 | MUZYKA | **Biedowo Music Fest**
31.07–1.08 | MUZYKA | **Salt Wave Festival** | Jastarnia
31.07–2.08 | MUZYKA | **Break in Classic** | Otwock Wielki
31.07–2.08 | MUZYKA | **12. Kromer Biecz Festival** | Biecz


Lorde (Bittersweet)

© LORDE PRESS, MP (2)

SIERPIEŃ

1–31.08 | MUZYKA | **10. WarszeMuzik** | Warszawa
3–9.08 | TEATR | **Ogólnopolski Festiwal Teatralny „Pociąg do miasta 2026 – Stacja Wspólnotowość"** | Gdynia
3–8.08 | MUZYKA | **Festiwal Muzyki Sakralnej Musica Divina** | Kraków
4.08 | MUZYKA | **Moby** | Letnia Scena Progresji | Warszawa
6.08 | MUZYKA | **Primus** | Letnia Scena Progresji | Warszawa
6–9.08 | MUZYKA | **12. Sanatorium Dźwięku** | Sokołowsko
7–9.08 | MUZYKA | **Off Festival** | Dolina Trzech Stawów | Katowice
7–15.08 | MUZYKA | **81. Międzynarodowy Festiwal Chopinowski** | Duszniki-Zdrój
7–16.08 | FILM | **Ińskie Lato Filmowe** | Ińsko
8–15.08 | MUZYKA | **59. Festiwal im. Jana Kiepury** | Krynica-Zdrój
9–16.08 | FILM | **Letnia Akademia Filmowa w Zwierzyńcu**
11–16.08 | FILM | **Octopus Film Festival** | Gdańsk
12–23.08 | MUZYKA | **24. Festiwal Muzyki Dawnej Muzyka w Raju** | Brody, Międzyrzecz, Gorzów Wielkopolski, Świebodzin
13–15.08 | MUZYKA | **Bittersweet Festival** | Poznań
14–16.08 | MUZYKA | **Olsztyn Green Festival** | CRS Ukiel | Olsztyn
15–25.08 | MUZYKA | **33. Festiwal Muzyki Dawnej Pieśń Naszych Korzeni** | Jarosław
16–22.08 | MUZYKA | **21. Międzynarodowy Festiwal Mozartowski Mozartiana** | Gdańsk
18–30.08 | MUZYKA | **Festiwal Muzyki Kameralnej Krzyżowa Music** | Krzyżowa i Dolny Śląsk
22–30.08 | INTERDYSCYPLINARNE | **23. Festiwal Warszawa Singera**
23.08–6.09 | MUZYKA | **22. Festiwal Chopin i Jego Europa** | Warszawa
26.08–7.09 | MUZYKA | **23. Festiwal Ensemble** | Radziejowice
27–30.08 | FILM | **Festiwal Filmowy Hommage à Kieślowski** | Sokołowsko
28–30.08 | MUZYKA | **Fajer Festiwal** | Stadion Śląski | Chorzów
28.08–6.09 | MUZYKA | **20. Festiwal Goldbergowski** | Gdańsk

WRZESIEŃ

3–5.09 | MUZYKA | **Summer Dying Loud** | Aleksandrów Łódzki
3–13.09 | MUZYKA | **61. Międzynarodowy Festiwal Wratislavia Cantans** | Wrocław
11.09 | MUZYKA | **Śląskie – Rytmy Industrii** | Rynek | Tarnowskie Góry
12–13.09 | KOMIKS | **Małopolski Festiwal Komiksu** | Kraków
13.09 | MUZYKA | **ASAP Rocky** | Atlas Arena | Łódź
17–20.09 | TANIEC | **Polska Platforma Tańca** | Wrocław
17–20.09 | MUZYKA | **45. Międzynarodowy Festiwal Chopin w barwach jesieni** | Antonin
18–26.09 | MUZYKA | **69. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej Warszawska Jesień** | Warszawa
18–27.09 | TEATR | **XXX Ogólnopolski Festiwal Komedii Talia** | Tarnów
19–20.09 | KOMIKS | **Międzynarodowy Festiwal Komiksu i Gier** | Łódź
21–26.09 | FILM | **Festiwal Polskich Filmów Fabularnych** | Gdynia
22–27.09 | MUZYKA | **16. Szalone Dni Muzyki** | Warszawa

REKLAMA



eprasa.pl 5357578c79

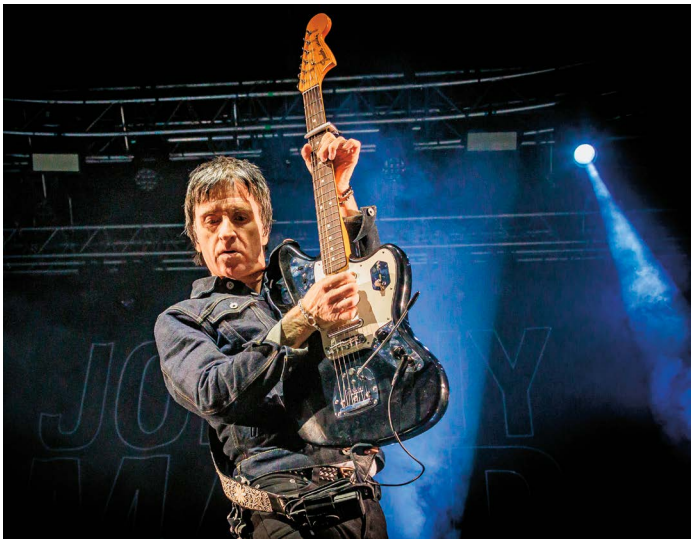



Kowalscy w separacji

Piosenki The Smiths biorą na sztandary kolejne pokolenia. Byłby to idealny moment na reaktywację. Ale Johnny'ego Marra i Morrisseya, dawnych liderów grupy, więcej dziś dzieli, niż łączy, więc wystąpią w Polsce osobno.

MICHAŁ KLIMKO

Polscy fani marzący o wznowieniu działalności The Smiths dostaną tego lata sporą nagrodę pocieszenia. 9 lipca w warszawskiej Progresji koncert zagra Morrissey, wokalista zespołu, a dokładnie miesiąc później jedną z gwiazd katowickiego Off Festivalu będzie Johnny Marr, gitarzysta i muzyczny lider Kowalskich, jak chętnie tłumaczono w Polsce nazwę legendarnej formacji z Manchesteru.

Wspólny występ oryginalnego składu jest fizycznie niemożliwy – w 2023 r. zmarł basista Andy Rourke, a perkusista Mike Joyce po latach batalii sądowych o sprawiedliwy podział tantiem otrzymał od Morrisseya zaległe honoraria wraz z życzeniami „wszystkiego, co najgorsze, na całą resztę życia". Mimo to dla wielu fanów The Smiths to przede wszystkim autorski twór Morrisseya i Marra.

Ich spotkanie w maju 1982 r., które dało początek grupie, weszło do kanonu wielkich mitów muzyki pop – oto nastoletni wirtuoz gitary puka do drzwi znanego głównie ze słyszenia amatorskiego wokalisty i autora tekstów, a przy tym pogrążonego w depresji samotnika, by zaproponować mu sformowanie zespołu, który odmieni brytyjską muzykę gitarową. Wieczorek zapoznawczy spędzili jednak głównie na słuchaniu płyt z muzyką kobiecych zespołów z lat 60. „Tak nas widziałem – coś pomiędzy The Rolling Stones a grupami dziewczęcymi" – mówił po latach Marr.

Sam Morrissey zdawał się przygotowywać na ten moment przez całe życie, gromadząc nie tylko szkolne traumy i miłosne rozczarowania, które stały się podstawą wielu tekstów późniejszych przebojów, ale też uciekając od trudnej rzeczywistości w świat popkultury – od XIX-wiecznych poetów, poprzez filmy z Jamesem Deanem, aż po telewizyjne opery mydlane lat 60. Znalazło to swoje miejsce w nostalgicznej estetyce grupy, tak innej od wszystkiego, co kojarzyło się wówczas ze stereotypowo męską muzyką gitarową.

„Po raz pierwszy w moim życiu przyszłość stała się ważniejsza niż przeszłość" – wspominał ten moment w swojej autobiografii. „Perkusja uderza z siłą bomb, wybuchają akordy, bas wzywa na wojnę, a nad tym wszystkim ja, wolny jak ptak, maluję wokalem płótno tak, jak mi się tylko podoba. To dar od Boga".

Kowalscy mieli być jak rodzina, ale wytrzymali ze sobą zaledwie pięć lat. Na przeszkodzie stanęły konflikty personalne, spory o pieniądze i wizję dalszej działalności grupy, która nie doczekała się nawet stałego menedżera – większość obowiązków związanych z zarządzaniem zespołem spadała na jej 20-letniego gitarzystę, a przy tym głównego kompozytora.

The Smiths pozostawili po sobie legendę, która z czasem przerosła muzyczny dorobek. Stali się archetypem zespołu niezależnego – zaangażowanego politycznie, wydającego w małej wytwórni Rough Trade (czego szybko pożałowali), a mimo to odnoszącego sukcesy dzięki silnej społeczności fanów i doskonałej muzyce. Teksty Morrisseya do dziś stanowią elementarz dla osób zaczynających się konfrontować z problemami dorosłości – poczuciem zagubienia, miłosnymi rozczarowaniami czy brakiem perspektyw („Szukałem pracy i w końcu ją znalazłem/ Boże, jaki jestem nieszczęśliwy" – kto choć raz nie chciałby się pod tym podpisać?).

Ta uniwersalność piosenek The Smiths sprawiła, że na sztandary biorą je kolejne pokolenia słuchaczy i muzyków. W latach 90. do twórczości Marra i Morrisseya wprost nawiązywali liderzy zespołów britpopowych – wokalista Blur Damon Albarn nazywał The Smiths „najlepszym zespołem na świecie", a muzycy Suede, poszukujący perkusisty „lubiącego The Smiths", nie

eprasa.pl 5357578c79

kryli zdziwienia, gdy na anons odpowiedział... były bębniarz grupy Mike Joyce.

W kolejnej dekadzie grupa Morrisseya i Marra stała się ulubionym zespołem nowej fali gitarowego indie rocka – nie tylko w Wielkiej Brytanii. „Rozejrzyj się dookoła, tu nie zmienia się nic/ Te melodie, które słyszysz, to piosenki The Smiths/ To jest Londyn i Manchester, miejsca, w których chciałbym żyć" – śpiewał łódzki zespół Cool Kids of Death. Dzisiaj fanów The Smiths spotkamy nawet na TikToku. Wiralem stał się fragment komedii „500 dni miłości", w której spotkanie w windzie dwojga słuchaczy zespołu staje się początkiem romantycznej epopei – oczywiście skomplikowanej, jak na prawdziwych fanów The Smiths przystało.

– *W moim odczuciu The Smiths byli u nas zawsze zespołem spoza głównego alternatywnego kanonu, kapel jak Depeche Mode, The Cure czy Joy Division. Kiedy jednak zacząłem grać ich numery na imprezach, reakcje zawsze były entuzjastyczne. Okazało się, że młodzież świetnie zna te teksty i chce się bawić do takiej muzyki* – mówi Sebastian Pakulski, znany jako DJ Nebaz, współtwórca imprez poświęconych muzyce The Smiths, które od 2017 r. odbywały się w kultowym warszawskim Pogłosie. – *Cały klub był zarzucony kwiatami, które były nieodłącznym elementem koncertów The Smiths. To było jak spotkanie rodzinne, czuło się, że ludzie darzą ten zespół autentyczną miłością.*

Cykl imprez zatrzymała najpierw pandemia, a później zamknięcie klubu, ale nie były to jedyne problemy, z jakimi mierzyli się organizatorzy. – *Początkowo nazwaliśmy ten cykl The Smiths and Morrissey Party, ale z czasem usunęliśmy nazwisko Morrisseya – po którejś z kolejnych kontrowersyjnych wypowiedzi, od których się odcinaliśmy.*

Rzeczywiście, skandale ciągną się za Morrisseyem od początku kariery – już premierze pierwszych utworów The Smiths towarzyszyło wzburzenie tabloidów, doszukujących się w tekstach ukrytych wątków pedofilskich. Bardziej sensowne powody do protestów mogli mieć zwolennicy Margaret Thatcher, którą lider grupy dosłownie wysyłał na szafot, czy rodziny królewskiej, której nie szczędził kąśliwych uwag (najsłynniejsza płyta grupy nosi zresztą tytuł „Queen is dead" – królowa nie żyje).

Wyraziste deklaracje polityczne lidera pomagały w budowaniu lewicowego wizerunku grupy – radykalnie wegetariańskiej (Morrissey zakazywał jedzenia mięsa nawet technicznym), otwartej na mniejszości seksualne czy osoby z niepełnosprawnością. Już wówczas konfuzję mogły jednak budzić wypowiedzi krytykujące czarnych wykonawców, z którymi grupa ścigała się na listach przebojów. Ich echa znalazły się w słynnym wezwaniu z piosenki „Panic": „Spalić dyskotekę! Powiesić DJ-a! Piosenki, które tam grają, nie mówią nic o moim życiu!".

Gdy na początku lat 90. Morrissey nawiązał w solowym utworze „National Front Disco" do faszystowskiego ugrupowania Front Narodowy, fani mogli bronić go przewrotnością tekstu – choć dziś w komentarzach pod piosenką na YouTube znajdują się głównie ksenofobiczne wpisy. Złudzenia prysły, gdy w 2019 r. wokalista wystąpił w telewizyjnym show Jimmy'ego Fallona z przypinką antyislamskiej partii For Britain, komplementował też lidera kampanii na rzecz brexitu Nigela Farage'a jako „dobrego kandydata na premiera".

W tej sytuacji wielu fanów The Smiths kontynuatora wrażliwości grupy upatruje w Johnnym Marrze. „Ideologicznie nie mamy ze sobą nic wspólnego" – mówił gitarzysta, przyznając, że kwestie światopoglądowe są jednym z głównych powodów, dla których konsekwentnie odmawia intratnych ofert reaktywacji grupy. W przeciwieństwie do Morrisseya, po rozpadzie The Smiths wolał się trzymać w cieniu, użyczając swojego brzmienia zespołom The Pretenders, Modest Mouse czy The Cribs, jak i pracując z marką Fender nad autorskim modelem gitary. Koncert w Katowicach będzie jego pierwszym solowym występem w Polsce. W repertuarach Marra i Morrisseya znajdują się rzecz jasna również utwory The Smiths, w tym ich największy przebój „There Is a Light That Never Goes Out" – jest gdzieś światło, które nigdy nie gaśnie. Czasem tylko dzieli się na dwa.

W pracy nad tekstem korzystałem m.in. z książki „Piosenki o twoim życiu" Macieja Koprowicza, pierwszej polskiej biografii The Smiths, której autor (jak i niżej podpisany) reprezentuje milenialską frakcję fanów grupy.

© SERGIONE INFUSO/CORBIS/GETTY IMAGES, JIM DYSON/GETTY IMAGES

REKLAMA



eprasa.pl 5357578c79

WINIARY BOOKINGS PRZEDSTAWIA



KUPUJ BILETY NA: WINIARYBOOKINGS.PL

PATRONEM WYBRANYCH KONCERTÓW JEST ANTYRADIO

REKLAMA

Polskie letnie festiwale muzyczne są może w większości miejskie, ale mimo to bardzo zielone.

Co w trawie gra



Dlaczego nie ma w tym roku festiwalu Glastonbury? Bo raz na kilka lat ziemia na słynnej angielskiej farmie Michaela Eavisa musi odpocząć. A miejscowa flora, z trawą na czele, jest nieodłącznym składnikiem festiwalowego ekosystemu. Tym się zasadniczo różnią imprezy letnie od tych organizowanych przez pozostałą część roku: na górze niebo, pod nogami świeża trawa.

Inaczej niż ulokowane na farmach Woodstock, Glastonbury czy nawet Roskilde, największe polskie letnie imprezy – z wyjątkiem Pol'and'Rocka, który pod wieloma względami jest osobny, także jako darmowa impreza – szukały dla siebie miejsc w dużych miastach. I tak Open'er (w tym roku 1–4 lipca, z bardzo atrakcyjnym programem, m.in. The Cure, Nick Cave, David Byrne i Jennie) po starcie w Warszawie na lata związał się z Gdynią, wykorzystując przestrzeń położonego na jej obrzeżach lotniska. Jego najnowszy konkurent Bittersweet Festival (13–15 sierpnia, m.in. **Gorillaz**, Robbie Williams i Lorde) odbywa się z kolei w wielkim, 100-hektarowym Parku Cytadela blisko centrum Poznania.

Ich odpowiednik poświęcony muzyce elektronicznej, Audioriver, impreza z długą, już 20-letnią historią (w tym roku 10–12 lipca, w programie Marlon Hoffstadt, The Prodigy, Disclosure, Ben Klock, Boys Noize i in.), obecnie odbywa się na potężnych Błoniach Łódzkich. Wcześniej przez lata gościł w Płocku, na malowniczym dzikim brzegu Wisły. Alternatywny Off Festival w Katowicach (7–9 sierpnia; Oklou, The Flaming Lips, Johnny Marr i in.) ma miejsce w śląskim kompleksie rekreacyjnym Dolina Trzech Stawów. Zielone i miejskie są też darmowe Inne Brzmienia w Lublinie (2–5 lipca, Therapy?, Sun Ra Arkestra, Marcin Masecki i in.). Każda z tych imprez ma swoją publiczność i już utrwaloną pozycję.

W ten wielkomiejski trend wpisują się objazdowe cykle koncertowe, podróżujące od miasta do miasta: startujące 24 lipca Erste Letnie Brzmienia (Kaśka Sochacka, Brodka, Mrozu i in.) oraz rozpoczynające się jeszcze w czerwcu Męskie Granie (Kult, PRO8L3M gra Kazika i in.). Dzięki tym imprezom możemy się też przekonać, jak zielone są polskie miasta. A ciągle – mimo miejskości – przynoszą rzadki w tych czasach rodzaj społecznego doświadczenia – wspólnota festiwalowa od zarania budowana jest na bezpośrednim kontakcie z innymi, nawiązywaniu przypadkowych znajomości i rozmowach podczas parodniowych wydarzeń, co dziś szczególnie cenne.

Są też latem imprezy, które przesuwają akcent jeszcze mocniej w stronę doświadczeń pozamuzycznych i przenoszą publiczność do mniejszych, za to malowniczych ośrodków. Do takich należą Kazimiernikejszyn w Kazimierzu Dolnym czy awangardowe Sanatorium Dźwięku w Sokołowsku, Barn+Field Festival w Bielsku Podlaskim, a wreszcie Biedowo Music Fest w maleńkiej miejscowości uwiecznionej w nazwie.

Jasno w stronę ekologii idzie festiwal z zielenią w nazwie (Olsztyn Green Festival, 14–16 sierpnia). A dla tych, którzy naprawdę kontaktu z naturą potrzebują, jest jeszcze Defender Salt Wave Festival, impreza organizowana od siedmiu lat na lotnisku w Jastarni. Tutaj różnorodny program muzyczny (m.in. Crystal Fighters, Sokół, Vito Bambino, w tym roku 31 lipca–1 sierpnia) łączy się z urokliwym krajobrazem Półwyspu Helskiego, a za noclegownię służy miejscowe pole

eprasa.pl 5357578c79



© PER OLE HAGEN/REDFERNS/GETTY IMAGES

namiotowe. Z coraz modniejszą na letnich festiwalach opcją glampingu, czyli namiotów wyposażonych w dywany, oświetlenie i łóżka z pościelą. Ciągle tańszą niż miejsca hotelowe w Jastarni, ze sceną festiwalową w zasięgu wzroku, no i z atrakcyjną opcją śniadania na trawie.

Problem zieleni i trawy pojawił się w tym sezonie wcześnie – już na początku sezonu, gdy organizatorzy imprezy tanecznej Circoloco zniszczyli zieleń przed zabytkowym Pałacem Króla Jana III Sobieskiego w Wilanowie (w efekcie, po internetowej burzy, zwolniono dyrektora pałacowego muzeum). A zakończone już wiosenne festiwale – takie jak Orange Warsaw czy Mystic Festival – pokazały, że o ile program letnich zjazdów muzycznych wzbudza w tym roku entuzjazm, o tyle już ceny karnetów mogą być dla niektórych powodem do frasunku. Czterodniowy Open'er to ok. 1,2 tys. zł, trzydniowy Bittersweet – 1 tys. zł, a dwa dni objazdowego Męskiego Grania – 522 zł. Co i tak – w przeliczeniu na poszczególne koncerty – okazuje się bardziej oszczędnym sposobem płacenia za muzykę niż w wypadku stadionowych koncertów gwiazd.

Nieco inaczej jest z atrakcjami dodatkowymi: festiwalowicze – przez wiele godzin wyjęci z normalnego kontekstu, ekonomicznie zależni od terenu imprezy – mają przed sobą wydatki ponad 20 zł za kubek piwa (w tym kilkanaście złotych opłaty za sam kubek), 25 zł za frytki i ponad 30 zł za zapiekankę. I o ile same festiwale utrzymują jasną cenę za karnet czy jednodniowy wstęp, w większości też proponują tanie pola namiotowe (tegoroczna rezygnacja z pola przez Off sprowokowała głosy gorącej krytyki), o tyle już rynek hoteli i mieszkań do wynajęcia bezwzględnie wykorzystuje zainteresowanie poszczególnymi miastami. Tu wprowadzane są ceny dynamicznie – w terminach wielkich imprez hotelowa dwójka w Gdyni czy Poznaniu potrafi kosztować ponad 1 tys. zł za noc.

Po drugiej stronie mamy ideowe zaplecze, które też towarzyszy letnim imprezom muzycznym od początku: recykling i wielorazowe kubki to już powszechność, rekultywacja terenu po imprezie to coś, co nie wydarza się tylko przed pałacem w Wilanowie, włączanie transportu publicznego w organizację to konieczny aspekt funkcjonowania, a dostęp do miejskiej kranówki i współpraca z zielenią miejską czy to w Poznaniu (Bittersweet), czy w Łodzi (Audioriver) nie jest już dawno deklaracją na wyrost. Wszystko po to, żeby teren nie musiał odpoczywać w kolejnym sezonie, i żeby letnie imprezy mogły zachować ciągłość. BCH

REKLAMA



PKO Bank Polski
×
OPEN'ER
1–4 lipca, Gdynia
Nadajemy ton festiwalowemu latu

eprasa.pl 5357578c79



DJ Próvaí – prawdziwe nazwisko JJ Ó Dochartaigh – jest członkiem hiphopowego tria **Kneecap** z Irlandii Północnej. Grupa wspiera Palestyńczyków i potępia działania Izraela w Gazie, jednocześnie odcina się od wszelkich ekstremizmów. Promuje także ideę zjednoczenia Irlandii jako niepodległego państwa – DJ Próvaí, który był nauczycielem języka irlandzkiego w liceum, występuje na scenie w kominiarce w kolorach irlandzkiej flagi. Historię zespołu opowiada nagradzana na festiwalach komedia „Kneecap. Hiphopowa rewolucja" z 2024 r.

Wkurzamy właściwych ludzi

Rozmowa z DJ-em Próvaí z głośnej irlandzkiej grupy Kneecap, która w lipcu zagra na festiwalu Open'er.

MARIUSZ HERMA: **– Śledziliście kwietniowe wybory na Węgrzech?**

DJ PRÓVAÍ: – Kochany Viktor Orbán. Zakazał nam na trzy lata wjazdu na Węgry.

I przez to nie zagraliście na festiwalu Sziget w Budapeszcie.

Wiesz, to człowiek, który wyprowadził swój kraj z Międzynarodowego Trybunału Karnego tylko po to, aby mógł zaprosić do siebie Beniamina Netanjahu, człowieka poszukiwanego przez MTK pod zarzutem popełnienia zbrodni wojennych. Jeśli kogoś takiego jak Netanjahu przyjmujesz z otwartymi ramionami, a kapeli takiej jak nasza zabraniasz wjazdu, to może powinieneś spojrzeć w lustro i zastanowić się, jakim człowiekiem jesteś.

Kiedy Mo Chara, twój kolega z zespołu, zamachał na scenie flagą Hezbollahu, także Kanada zabroniła wam wjazdu, w Niemczech i Austrii odwołano część waszych koncertów.

Dygnitarze z branży muzycznej rozsyłali w sekrecie listy, próbując doprowadzić do tego, by Kneecap usunięto z programu dosłownie każdego festiwalu. Na szczęście te listy ujawniono i pewne wysoko postawione osoby straciły swoje stanowiska. Tym się kończą próby cenzury. Jesteśmy zespołem muzycznym, a nie partią polityczną. Skoro jednak tacy ludzie czują się zagrożeni tym, o czym mówimy, to chyba robimy właściwą rzecz, wkurzamy właściwych ludzi.

Wkurzyliście też brytyjski rząd.

Mo Chara miał w ubiegłym roku sprawę przed londyńskim sądem, rząd Keira Starmera oskarżył go o terroryzm.

Właśnie za wspomnianą flagę Hezbollahu, choć on sam twierdzi, że była to jedynie prowokacja. I podkreśla, że odcinacie się od terroryzmu i wszelkich ekstremizmów.

I londyński sąd go uniewinnił. Rząd złożył apelację, ale znowu przegrał. Trochę nas tym procesem przeczołgali, przyznaję, ale Irlandczycy mają długą historię bycia ciąganymi po brytyjskich sądach. I to właśnie z oskarżeniami o terroryzm. Gdy władza próbuje uciszać artystów, trzeba się temu stanowczo przeciwstawiać. Setki osób zgromadziły się pod sądem, aby nas wspierać.

Ich okrzyk „Free Mo Chara!" nawet nagraliście i teraz można go usłyszeć na waszej nowej płycie „Fenian".

Tak, w utworze „Carnival". Opowiada o karnawale rozproszeń, jakim są próby odciągania uwagi od tego, co się naprawdę dzieje w Palestynie i na całym Bliskim Wschodzie. I częścią tego był wytoczony nam proces – zamiast mówić o Gazie, brytyjskie media zajmowały się sporem rządu z Kneecap. Ale to doświadczenie stało się dla nas jedną z inspiracji przy tworzeniu „Feniana".

W utworze „Palestine" z kolei rysujecie paralele pomiędzy Irlandią a Palestyną.

Kiedy dorastałem w Belfaście, na ulicach spotykało się mnóstwo palestyńskich flag i murali przedstawiających Palestyńczyków więzionych przez Izrael. Czujemy naturalną sympatię do Palestyńczyków, bo Irlandczycy wiedzą, co to znaczy żyć pod okupacją, być głodzonym, wypędzanym z domów. Wspieraliśmy Palestynę, zanim jeszcze powstał Kneecap. Chodziliśmy na marsze, wywieszaliśmy flagi, wspieraliśmy bojkoty konsumenckie, pisaliśmy do naszych braci i sióstr w Palestynie listy, wysyłaliśmy im płyty z muzyką. Po inwazji na Gazę znów wyjęliśmy te palestyńskie flagi, aby głośno mówić, jak dramatycznie wygląda tam sytuacja.

We wspomnianym utworze pojawia się palestyński raper Fawzi, skąd ta znajomość?

Móglaí Bap, jeden z członków zespołu, ma starszego brata, który od lat mieszka w Ramallah. W tamtejszym obozie dla uchodźców prowadzi siłownię, kiedyś wraz z innymi zespołami zorganizowaliśmy zbiórkę pieniędzy na jej budowę i zakup sprzętu. Chciał dać tamtejszym dzieciakom odrobinę normalności. I to on powiedział nam, że poznał ciekawego lokalnego rapera. Przysłał nam muzykę Fawziego, bardzo nam się spodobała. A zależało nam na tym, aby Palestyna miała na naszej płycie swojego reprezentanta.

© LEON NEAL/GETTY IMAGES

eprasa.pl 5357578c79

Jak z nim współpracowaliście?

Zdalnie, przesyłając sobie pliki. Ale mam nadzieję, że wkrótce zagramy wspólnie koncert w wolnej Palestynie.

Drugą obok Palestyny sprawą, o którą od początku istnienia zespołu walczycie, jest język irlandzki – dominuje w waszej muzyce.

Bo odzyskiwanie języka jest punktem startowym do odzyskania tożsamości. Wiąże cię z twoimi przodkami, historią, ziemią. Pokazuje, skąd pochodzisz. A język irlandzki został niemal całkowicie wyrugowany po ośmiu wiekach brytyjskiej okupacji, trzy albo cztery pokolenia nie miały szansy go poznać. Był już na granicy wyginięcia, gdy odratowano go za sprawą systemu irlandzkich szkół, które zaczęły się pojawiać na północy w latach 70. Teraz wychowujemy w tym języku własne dzieci. Młodzi chodzą do klubów, w których mówi się po irlandzku, podobnie jest na koncertach czy meczach piłkarskich. Nawet liczba uczących się tego języka w aplikacji Duolingo przekroczyła milion. Chyba należą nam się jakieś honoraria?

Wam i kilku innym zespołom. Właśnie: czy muzycy też dziś bardziej stawiają na irlandzki niż angielski?

Zdecydowanie tak, to się dopiero rozkręca, ale za pięć, dziesięć lat możesz się spodziewać całej fali irlandzkojęzycznych wykonawców. Choć już w tej chwili mamy takie zespoły jak Fontaines D.C., The Mary Wallopers, Lankum – wszyscy śpiewają po irlandzku, a świetnie sobie radzą na światowych scenach.

Wy też objechaliście ostatnio świat, zagraliście nawet na Wembley, zresztą w trakcie nagrywania płyty.

Gdy graliśmy w małych klubach dla kilkudziesięciu osób, miałem taki jajcarski zwyczaj wychodzenia na scenę z okrzykiem „Hello Wembley!". No bo to był scenariusz, który nie mógł się wydarzyć. A tu patrz: jakaś kapelka rapująca po irlandzku jeszcze niedawno dla garstki ludzi kończy na ogromnym stadionie!

Dlaczego irlandzki nie stanowi eksportowej przeszkody dla waszej muzyki ani muzyki innych wykonawców?

Ludzi przyciąga autentyczność. Przez wiele lat piosenkarze w Irlandii śpiewali po angielsku z cudzym akcentem, angielskim czy amerykańskim, udawali kogoś innego. A my na co dzień i w zespole, i w domach posługujemy się irlandzkim, więc to dla nas naturalne trzymać się go i na scenie. Słuchacze czują, że się nim pasjonujemy. Ta pasja przechodzi z nas na nich. Nie ma więc aż tak wielkiego znaczenia, że 95 proc. publiczności nie rozumie, o czym dokładnie rapujemy – zresztą, nawet jak to robimy po angielsku, też nie rozumie, bo za szybko nawijamy.

A co oznacza „Fenian", tytuł waszego nowego albumu?

To słowo wywodzi się z irlandzkich legend sprzed półtora tysiąca lat. Oznaczało grupę dzielnych wojowników. Podczas powstań w XIX w. zmieniło nieco znaczenie, niektórzy buntownicy nazywali siebie Fenianami. A później Anglicy i Szkoci zaczęli używać tego określenia jako obelgi wobec Irlandczyków, coś w rodzaju „barbarzyńcy" czy „buraka". I tak było do niedawna. Po ukazaniu się albumu w brytyjskich stacjach słowo to zagościło w pozytywnym kontekście, a niektórzy Irlandczycy zaczęli sami z dumą nazywać siebie Fenianami. Historia tego słowa zatoczyła koło – wróciło do swego pierwotnego znaczenia.

ROZMAWIAŁ MARIUSZ HERMA

REKLAMA

POLSKA PRAPREMIERA MUSICALU NA PODSTAWIE NAGRODZONEGO OSCAREM FILMU

JAMES LAPINE I WILLIAM FINN

MAŁA MISS

LITTLE MISS SUNSHINE

REŻ. AGNIESZKA PŁOSZAJSKA

KUJAWSKO-POMORSKI TEATR MUZYCZNY W TORUNIU



PREMIERA: 10 I 11 LIPCA 2026

Maria Domska/ Zofia Zacharek, Katarzyna Walczak, Paweł Mielewczyk/ Maciej Podgórzak, Marek Richter, Jędrzej CzerwonogrodzkiJeremiasz Gzyl/ Sebastian Machalski, Wojciech Daniel, Małgorzata Regent, Berenika Staszkiewicz, Michał Zacharek

WWW.TEATRMUZYCZNY.TORUN.PL

Toruń, ul. Żeglarska 8 /teatrmuzycznytorun

eprasa.pl 5337578c79



Rytmy transformacji

Muzyką też można opowiedzieć przemiany, jakie w ostatnich dekadach przeszedł Śląsk. Szczególnie gdy zabierze się ją do miejsc, które są owej transformacji symbolem.

MARIUSZ HERMA

Muzeum Hutnictwa w Chorzowie, kiedyś hala elektrowni Huty Kościuszko. Kopalnia Guido w Zabrzu, uruchomiona w połowie XIX w., obecnie część Muzeum Górnictwa Węglowego. Teatr Rozbark w Bytomiu, niegdyś cechownia tamtejszej kopalni. Kopalnia Ignacy w Rybniku i wkrótce – konkretnie 5 lipca – także dawna kopalnia Katowice, obecnie katowickie Muzeum Śląskie.

To zabytki śląskiego przemysłu i symbole przemian, jakie ten region przeszedł w ostatnich dekadach. Niedwno połączyło je jednak coś jeszcze: były scenami cyklu koncertów Śląskie – Rytmy Industrii, organizowanych przez Filharmonię Śląską im. Henryka Mikołaja Góreckiego.

– *Rytmy Industrii budują coś nowego w oparciu o historię. Pokazujemy, jak Śląsk się transformuje. Kiedyś to była huta, kopalnia czy fabryka, obecnie to miejsca spotkań ludzi, instytucje kultury, przestrzenie pokazywania tego, co człowiek tworzy* – tłumaczy Adam Wesołowski, dyrektor katowickiej filharmonii. – *Każde z tych miejsc ma piękną historię, a my staramy się ją opowiedzieć muzycznie, jednocześnie myśląc o przyszłości* – dodaje Wesołowski, który dyryguje większością z tych koncertów. Śląsk to też motyw przewodni repertuaru prezentowanego w ramach Rytmów Industrii. To echo ubiegłorocznych obchodów 80-lecia Filharmonii Śląskiej: jubileuszowy sezon przebiegał pod hasłem „Usłysz Śląsk" i przez cały rok na każdym z koncertów grano utwór przynajmniej jednego śląskiego kompozytora. – *Tak odkryliśmy ok. 50 znakomitych kompozytorów, którzy tworzyli na tej ziemi od baroku po dziś* – mówi Wesołowski. – *Najbardziej znamy Wojciecha Kilara czy Henryka Mikołaja Góreckiego, ale jest więcej ciekawych twórców. Już w samym baroku mamy Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego, który jest nazywany polskim Händlem – to jedna z najważniejszych postaci w Polsce tego okresu.*

Oprócz wymienionych twórców można więc w dawnych kopalniach czy hutach usłyszeć kompozycje Jana Wincentego Hawla czy Józefa Świdra, Ślązaków z urodzenia, ale i pochodzących spoza regionu

© KAROL FATYGA

REKLAMA



Witolda Lutosławskiego („5 melodii ludowych") czy Grażyny Bacewicz („Oberek").

– *Staramy się promować rodzimych twórców lub utwory nawiązujące do Śląska, mające jakiś pierwiastek śląskości, np. przez odwołanie do tutejszych tańców* – wyjaśnia Wesołowski. W programie pojawiają się także jego dwie symfonie industrialne na orkiestrę i multimedia, przez to połączenie tradycji z nowoczesnością wpisujące się w opowieść o transformacji (no i kompozytor sam jest Ślązakiem). W Bytomiu można było również usłyszeć III Koncert brandenburski Bacha oraz „Bolero" Ravela w opracowaniach industrialnych.

Architektura poprzemysłowych zabytków okazała się znakomicie współgrać z industrialnym repertuarem, ale muzyków zaskoczyła też świetna akustyka większości z miejsc. – *Jedynym minusem jest to, że z uwagi na ich kubatury nie zawsze możemy zaprosić na koncert tyle osób, ile byśmy chcieli. W Kopalni Guido, gdzie zjeżdżaliśmy 300 m pod ziemię, mogliśmy zmieścić na widowni ok. 250 osób, a chętnych było kilkakrotnie więcej* – mówi Wesołowski.

Wyjście z koncertami poza mury filharmonii przyciągnęło uwagę publiczności, która w mniej formalnych miejscach czuje się bardziej komfortowo, takie nieoczywiste miejsca ciekawią też młodych odbiorców. Ale nie bez znaczenia jest również fakt, że wstęp na większość koncertów z cyklu Rytmy Industrii jest bezpłatny.

Darmowy wstęp możliwy jest dzięki współpracy Filharmonii Śląskiej z koncernem budowlanym Strabag, głównym partnerem cyklu. Firma od początku uczestniczyła w pracach nad kształtem Rytmów Industrii. Pierwszy koncert z cyklu w październiku ub.r. odbył się bowiem nie w którymś z postindustrialnych zabytków Śląska, lecz w dopiero co otwartej **Walcowni**. Strabag postawił ją na zamówienie spółki Cognor w Siemianowicach Śląskich – i to zapewne pierwszy taki obiekt zbudowany w Polsce po okresie transformacji.

– *Trzy lata temu Strabag rozpoczął największy w historii firmy i prawdopodobnie całej branży budowlanej projekt wspierania kultury. Ponieważ jesteśmy obecni we wszystkich regionach Polski, postanowiliśmy w nich rozpocząć współpracę z instytucjami kulturalnymi. Wytypowaliśmy 21 instytucji z 12 miast, które wydawały nam się wyjątkowo kreatywne i gdzie dzieją się ciekawe rzeczy* – opowiada Maciej Tomaszewski, rzecznik firmy.

Pierwszą okazją do współpracy z Filharmonią Śląską był XI Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga, ale kluczowy dla jej rozszerzenia stał się zainaugurowany kilka miesięcy później Game Music Fest – festiwal muzyki z gier wideo, którego kulminacja co roku odbywa się w Spodku. – *Filharmonia Śląska u siebie w siedzibie jest świątynią muzyki klasycznej, a poza siedzibą realizujemy wydarzenia unikatowe* – mówi Wesołowski. Firmę Strabag zaciekawił oryginalny charakter imprezy dla miłośników gier, ale także sami oni. – *Jako firma budowlana poszukujemy kadr. Chcieliśmy dotrzeć do nowego odbiorcy, który mógłby być naszym pracownikiem* – tłumaczy Tomaszewski.

Kolejnym wspólnym projektem była „Symfonia Tysiąca", gdy w 80. urodziny Filharmonii Śląskiej rzeczywiście ponad tysiąc wykonawców wykonało w katowickim Spodku monumentalne dzieło Gustava Mahlera. Wtedy też na scenie pojawiły się maszyny górnicze, dołączając do orkiestry. Pomysł ten Filharmonia zamierza rozwijać w przyszłym sezonie – perkusiści będą wykorzystywać sprzęty poprzemysłowe, które już stoją w danym miejscu.

Kolejne odsłony cyklu Rytmy Industrii zaplanowane są już do połowy przyszłego roku (miejsca i program będą stopniowo ujawniane), choć Filharmonia chętnie przyspieszyłaby ich tempo. – *Na razie gramy co dwa miesiące, ale zainteresowanie jest tak duże, że chcielibyśmy to robić nawet co miesiąc* – zapowiada Wesołowski. Plany może utrudnić to, co stanowi o wyjątkowości Rytmów: występy poza murami filharmonii to spory wysiłek logistyczno-organizacyjny. Czasem trzeba zbudować scenę czy widownię albo zainstalować oświetlenie. Jednak zagęszczenia koncertów chciałaby nie tylko publiczność.

– *Sami muzycy przyznają, że chętnie wróciliby do niektórych z tych miejsc. Mieliśmy taki przypadek po koncercie w Teatrze Rozbark w Bytomiu. Byli oczarowani entourage'em, akustyką, kontaktem z publicznością. I rzeczywiście dostaliśmy już zaproszenie do wystąpienia tu ponownie w listopadzie, już poza Rytmami Industrii* – mówi Wesołowski. – *To potwierdza, że wyjście do takich miejsc stanowi szansę dla wszystkich: i dla publiczności, i dla nas.* ■

REKLAMA



eprasa.pl 5357578c79

Klasyka pod gołym niebem

Nadchodzi lato, ludzie ruszają w świat, a za nimi muzyka. W miastach i kurortach, w parkach i zabytkowych miejscach.

DOROTA SZWARCMAN

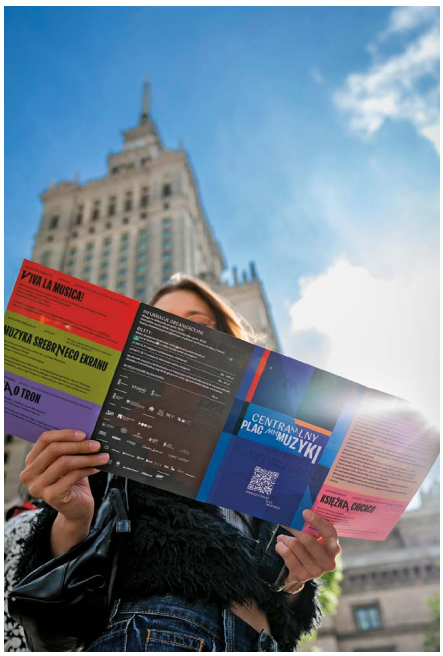

Najsłynniejsze są festiwale operowe w zabytkach z czasów rzymskich: Arenie w Weronie, amfiteatrach we francuskim Orange czy w tureckim Aspendos. Z kolei amfiteatr w Torre del Lago, w którym od prawie stu lat odbywa się Festiwal Pucciniego, został specjalnie wybudowany w pobliżu willi nad jeziorem, w której mieszkał i tworzył kompozytor. Również w austriackiej Bregencji na ogromnej amfiteatralnej widowni nad Jeziorem Bodeńskim ogląda się spektakle operowe; tu scenografia budowana jest na wodzie. W Polsce nie ma rzymskich amfiteatrów, ale przybywa u nas miejsc, które stają się domem dla letnich festiwali muzyki poważnej.

Lato w Warszawie

Ledwie skończył się pierwszy etap budowy Placu Centralnego (dawnego Placu Defilad), a Teatr Studio wraz z warszawskimi instytucjami muzycznymi organizuje nową serię wydarzeń pod tytułem **Centralny Plac Muzyki**. W cieniu Pałacu Kultury, na specjalnie zbudowanej scenie, będziemy podziwiać spektakle operowe, operetkowe i musicalowe, inscenizowane i w wersjach koncertowych. Przedstawią się: Filharmonia Narodowa, Sinfonia Varsovia, Orkiestra Polskiego Radia, Polska Orkiestra Sinfonia Iuventus, Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina, Polska Opera Królewska, Warszawska Opera Kameralna, Operetka, Teatr Muzyczny Roma i sam Teatr Studio. Nie zabraknie uwielbianych solistów, jak śpiewacy Joyce DiDonato, Sonya Yoncheva i Jonathan Tetelman czy pianiści Lang Lang i Kate Liu.

Odwrotnością tych widowisk są skromne koncerty chopinowskie w Łazienkach, przed pomnikiem kompozytora, które od ponad pół wieku wrosły w letni pejzaż muzyczny Warszawy. Publiczność tak pokochała te wydarzenia, że gdy z powodu remontu pomnika przesunięto w tym roku rozpoczęcie sezonu o dwa miesiące, powstała petycja „Nie odbierajcie nam Chopina!".

Zupełnie inną miejską imprezą plenerową, związaną z określoną lokalizacją, jest sierpniowy festiwal Warszemuzik. W soboty na podwórkach przedwojennych kamienic-ostańców z terenów warszawskiego getta, w niedziele wewnątrz pomnika Umschlagplatz upamiętniającego miejsce, skąd hitlerowcy wywozili transporty Żydów do Treblinki lub Auschwitz, odbywają się koncerty kameralne. Najczęściej rozbrzmiewa tu muzyka urodzonego w Warszawie Mieczysława Wajnberga, który mieszkał przy pobliskiej ul. Żelaznej. W obecnym, jubileuszowym (10.) roku repertuar będzie dużo szerszy, a na inauguracji wystąpi słynny klarnecista David Krakauer.

Na zamku i w parku

Od kilku lat cieszymy się Baltic Opera Festival, który częściowo również odbywa się na wolnym powietrzu – w sopockiej Operze Leśnej. Ale o wiele wcześniej już zaistniał Letni Festiwal Opery Krakowskiej – w tym roku odbędzie się po raz 27. Opera grywa wówczas również pod własnym dachem, ale największą atrakcją są spektakle na dziedzińcu wewnętrznym Wawelu. W tym roku zagrana tam zostanie „Bona Sforza" Zygmunta Krauzego (także w Nowym Wiśniczu i Niepołomicach), „Tosca", a także „Aida" (z Aleksandrą Kurzak i Rafałem Siwkiem) i „Nabucco". Opera Krakowska wchodzi też do Ogrodu Botanicznego z „New York Music Show".

Nieśmiało w ramach swojego letniego festiwalu wychodzi w tym roku w plener związana z warszawskimi Łazienkami Polska Opera Królewska: w odnowionym Amfiteatrze wystawi operę Mozarta „Idomeneo".

Z muzyką operową związane są festiwale uzdrowiskowe, jedne z najstarszych w kraju: im. Krystyny Jamroz w Busku, im. Jana Kiepury w Krynicy i im. Stanisława Moniuszki w Kudowie. Tradycyjne występy na deptakach i w muszlach koncertowych to głównie koncerty wokalne. Z zupełnie innym repertuarem spotkamy się w sierpniu na dziedzińcu Pałacu Opatów w Oliwie, gdzie co roku odbywają się Mozartiana – już sama nazwa wskazuje, czyjej muzyki się tam słucha.

Także nowa inicjatywa Jakuba Józefa Orlińskiego i Aleksandra Dębicza Break in Classic (w tym roku po raz drugi) prezentuje postawę: półżartem, półserio. Jej miejscem jest park przed pałacem w Otwocku Wielkim pod Warszawą (siedziba Muzeum Wnętrz). Jak tłumaczą twórcy festiwalu, słowo *break* nawiązuje tu zarówno do przerwy, odpoczynku, jak i do przełamywania schematów w dziedzinie słuchania muzyki klasycznej. To koncerty na luzie, relaksujące, jednak trzymają wysoki poziom. Już dobór wykonawców o tym świadczy: Avi Avital, który wykazuje, że mandolina może być atrakcyjnym instrumentem, Théotime Langlois de Swarte – młody gwiazdor skrzypiec barokowych, Marcin Zdunik – wiolonczelista, improwizator i kompozytor, a także zespoły: Vision String Quartet, kobiecy zespół wokalny Lyyra i przede wszystkim AUKSO – Orkiestra Kameralna Miasta Tychy, która będzie towarzyszyć niektórym artystom, w tym obojgu dyrektorom artystycznym. Zeszłoroczna edycja tak się spodobała, że na tegoroczną miejsc już prawie brak. ■

© GRZESIEK MART, CAMILLA WINTHER

eprasa.pl 5357578c79



Od Wagnera do Pendereckiego

Na czwartym Baltic Opera Festival w sopockiej Operze Leśnej zabrzmi wyłącznie muzyka Richarda Wagnera. W tym roku mija 150 lat od prapremiery cyklu „Pierścień Nibelunga" i to jedyne miejsce w Polsce, gdzie rocznicę będzie się świętować. Zostanie wystawiona druga część Tetralogii „Walkiria" (2 i 5 lipca); to dalszy ciąg cyklu, który rozpoczęło tu koncertowe wykonanie „Złota Renu" w 2009 r. Jednak i „Złoto" będzie w tym roku pokazane, ale w skróconej formie dla dzieci. **Inscenizacja „Walkirii" przyjedzie z Kopenhagi.** Dyrektor artystyczny festiwalu Tomasz Konieczny nieraz występował w niej jako Wotan. W Sopocie zademonstruje swą koronną rolę w Polsce. Towarzyszyć mu będą inni wybitni śpiewacy oraz zespoły Opery Bałtyckiej i Filharmonii Lwowskiej.

Drugą premierą festiwalową na deskach Opery Bałtyckiej będzie „Polskie wesele" Józefa Beera. Ten autor operetek i oper komicznych wychował się we Lwowie, studiował w Wiedniu, a związał się z Zurychem, gdzie odbyło się parę prapremier jego dzieł, w tym w 1937 r. „Polskiego wesela". W tym samym roku wystawiono je w Bydgoszczy, po czym zniknęło na lata – Beer jako Żyd znalazł się na indeksie. Dopiero w 2012 r. odbyła się wiedeńska premiera, a w 2020 r. w Krakowie wykonano wersję koncertową. Wystawienie w Gdańsku przez zespoły Opery Wrocławskiej będzie pierwszym w Polsce wykonaniem scenicznym.

Trzecim punktem festiwalu będzie koncert poświęcony pamięci Elżbiety i Krzysztofa Pendereckich, którzy wspierali orkiestrę Sinfonietta Cracovia. Jej dyrektorem naczelnym jest obecnie Rafał Kokot, zarazem dyrektor naczelny Baltic Opera Festival. „Muzeum człowieka" – to była choreografia Mariana Żaka do Partity Pendereckiego, wystawiona w 1986 r. w Operze Śląskiej w Bytomiu. Do niej nawiąże wydarzenie z 6 lipca w Operze Bałtyckiej z udziałem Sinfonietty Cracovii i tancerzy Opery Krakowskiej. Usłyszymy różne stylistycznie utwory Pendereckiego: stylizowane tańce barokowe („Trzy utwory w dawnym stylu"), dzieła neoromantyczne (Chaconne z „Polskiego Requiem" i Sinfonietta nr 2), a w końcu obejrzymy ową choreografię do Partity na klawesyn i zespół, powstałej jeszcze w awangardowym okresie twórczości kompozytora. DSZ

REKLAMA

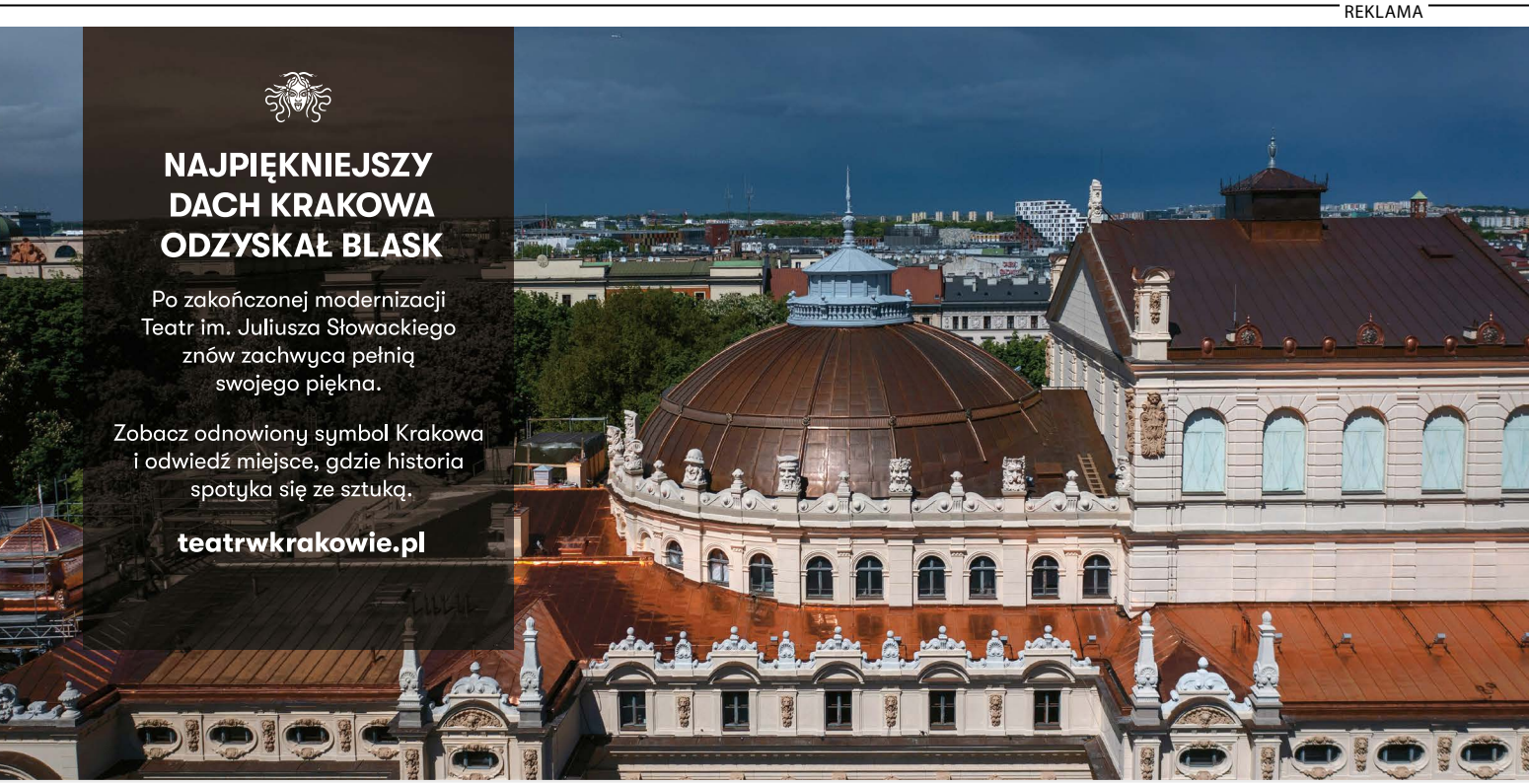

Prace zostały sfinansowane w ramach projektu „Kompleksowa modernizacja infrastruktury obiektów Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie – kontynuacja" w ramach działania FENX.07.01-IP.04-0057/24 Infrastruktura kultury i turystyki kulturowej, priorytet FENX.07 Kultura, Program Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko 2021–2027.

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko
Rzeczpospolita Polska
Dofinansowane przez Unię Europejską
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 5357578c79



Klucze do Zamku

Jak Zamek Królewski w Warszawie wprowadza sztukę współczesną do historycznych wnętrz, pokazując, że stare miejsce wciąż żyje.

Do końca października otwarta będzie w Zamku Królewskim rekomendowana już przez nas na Afiszu malarska wystawa Łukasza Stokłosy. A tylko do końca czerwca można obejrzeć dwie inne prezentacje. O jednej z nich – „Ostatni zamek. Zamczystość" – także pisaliśmy na naszych łamach. Druga to właściwie projekt artystyczny, realizowany pod intrygującym tytułem „Klucz w Zamku" od 2022 r. Jak pisze o nim jego kuratorka Monika Przypkowska, „celem jest wprowadzenie perspektywy sztuki współczesnej do historycznej tkanki ekspozycyjnej". Idea nie jest nowa. Na świecie sporo rezydencji bawi się w takie mieszanie tradycji z nowoczesnością, w tym tak znane, jak pałac w Wersalu czy Belweder w Wiedniu. A w Polsce choćby Zamek na Wawelu. Każdy robi to jednak nieco inaczej, na ogół w ścisłej relacji z charakterem zbiorów i specyfiką miejsca.

Te interwencje (bo taką nazwę najczęściej stosuje się do owych praktyk) zrazu organizowano w stolicy jakby nieśmiało, bardziej na zasadzie 24-godzinnego performansu niż regularnej wystawy. Z czasem jednak projekt się utrwalał i do dzisiaj aż 15 twórców proponowało własny „klucz do zamku". Często wchodzili w dyskurs z ikonicznymi dziełami Jana Matejki (np. Jan Kiełbowicz, Tomasz Partyka) lub z narodowymi mitami (Wojciech Pietrasz). Były wątki feministyczne (Helena Stiasny, Agata Zbylut), dialogi z architekturą i przestrzenią Zamku Królewskiego (Piotr Mlącki), artystyczne komentarze dotyczące losu jednostki skonfrontowanej z mechanizmami polityki i władzy (Anna Baumgart). Artyści chętnie flirtowali z dziełami sztuki dawnej, jak Jan Mioduszewski z obrazem Cornelisa Gijsbrechtsa czy Maja Kitajewska z dziełem Paolo Uccello.

Obecnie oglądać można jedną z najbardziej efektownych prac z tego cyklu. To **„Memesis" Karoliny Jarzębak**, absolwentki ASP w Gdańsku i laureatki sprzed trzech lat Grand Prix konkursu Bielska Jesień, prezentowane w Nowej Sali Poselskiej zamku. Jej dzieło to swoisty rebus, w którym mieszają się elementy popkultury, internetowe przekazy, symbole religijne, a nawet teorie spiskowe i zmutowany człowiek-stonoga. Wygląda to nieco bajecznie, lekko dziwacznie, a cały ten świat oglądamy z perspektywy osoby kierującej samochodem, próbującej się przebić przez ów chaos wizualnych bodźców. I wbrew pozorom to uniwersum wcale nie jest zabawne, ale raczej niepokojące, dystopijne, nawet groźne. Kwintesencja czasów.

Na czym w tym przypadku polega dialog z przeszłością? Przede wszystkim na stosowanej przez artystkę pracochłonnej i efektownej technice intarsji. Niegdyś uchodzącej za wyrafinowany, elegancki i czysto estetyczny sposób zdobienia mebli. Symbol harmonii i piękna. W przypadku jej pracy wykorzystany do refleksji nad egzystencjalnymi pułapkami współczesności jako obraz postępującego chaosu atakujących nas zewsząd obrazów, przekazów, pokus.

Na tych artystycznych interwencjach wydają się korzystać wszyscy. Zwiedzający doświadczają zaskoczenia, a czasem estetycznej lub ideowej prowokacji, przekonując się, że rezydencja królów nie jest tylko świętą skarbnicą tradycji, ale miejscem dialogu. Zamek zaś wzbogaca swój wizerunek o współczesność, dając preteksty, by odwiedzać go częściej niż raz w życiu.

W sierpniu 1973 r., z inicjatywy Totalizatora Sportowego, został rozegrany mecz piłkarski między dwoma stołecznymi drużynami – Legią i Gwardią – a cały dochód z niego został przekazany na fundusz odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. W ramach totolotka zaś (dzisiejsze Lotto) regularnie organizowano specjalne zakłady, z których zyski zasilały w całości prace nad siedzibą polskich królów. Dziś królewskiej rezydencji nie trzeba już rekonstruować, ale pieniądze rzetelnego sponsora (od 2003 r. Lotto przekazało na Fundusz Promocji Kultury ponad 4,3 mln zł) zawsze się przydają. Ot, choćby na wystawy czasowe.

PIOTR SARZYŃSKI

© ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

eprasa.pl 5357578c79

TOTALIZATOR SPORTOWY

7 LAT

NAJWIĘKSZY MECENAS KULTURY I SPORTU W POLSCE



#GramyDlaKultury

Lwi koncert

Hakuna matata, jak cudownie to brzmi! Teraz także w wersji koncertowej.

W latach 90. mogło się wydawać, że musical jako gatunek filmowy przeszedł już do historii. Wtedy na pomoc ruszyli Elton John, Tim Rice oraz Hans Zimmer, pisząc ścieżkę dźwiękową do disnejowskiego „Króla Lwa". Obsypanej nagrodami muzyki z filmu będzie można posłuchać na żywo jesienią podczas czterech spektakli „Król Lew Live in Concert".

Początkowo do „Króla Lwa" muzykę mieli napisać Alan Menken i Tim Rice, którzy wcześniej pracowali przy animowanym „Aladynie". Menken był jednak nieosiągalny, więc Rice zaproponował producentom współpracę z ABBĄ, a gdy zespół odmówił z powodu innych zobowiązań, zasugerował Eltona Johna. Ten ochoczo się zgodził. „Napiszmy ultrapopowe piosenki, które spodobają się dzieciom, a później usłyszą je dorośli i będą z nich czerpać tę samą przyjemność. W końcu to oni kupują najwięcej płyt". I choć miewał chwile zwątpienia („Piszę piosenkę o cholernym guźcu, to koniec mojej kariery", wspominał), osiągnął



swój cel ze skutkiem wybitnym. Muzykę ilustracyjną skomponował Hanz Zimmer, który inspirował się tradycyjną muzyką zuluską i współpracował z południowoafrykańskim kompozytorem i aranżerem Lebo M. „Król Lew" otrzymał m.in. dwa Oscary – za najlepszą ścieżkę dźwiękową i piosenkę (a nominowane były aż trzy utwory z filmu!) – Złoty Glob i trzy nagrody Grammy, a wydany po premierze filmu album z muzyką do dziś jest największym bestsellerem spośród disnejowskich soundtracków. Film stał się też inspiracją do nieanimowanego remake'u i licznych spektakli teatralnych, w tym popularnego musicalu.

Widowisko „Król Lew Live in Concert" polska publiczność zobaczy w Rzeszowie, Katowicach, Warszawie i Toruniu między 17 a 26 listopada. Skupia się na muzyce, którą wykona orkiestra pod batutą Stephena Ellery'ego, dyrektora Polish Opera in London. Historię Simby, młodego lwa, który chce pomścić śmierć ojca i odebrać władzę okrutnemu wujowi Szramie, opowiadają na scenie piaskowe wizualizacje Aleksandry Konofalskiej. Jednak najważniejszym punktem programu są tu niezapomniane przeboje, które zabrzmią ze sceny po polsku, więc będzie można zaśpiewać razem z artystami „Circle of Life", „Can You Feel the Love Tonight" i oczywiście „Hakuna Matata". Elton John ma na koncie dziesiątki hitów, lecz mało który zdobył takie zasięgi jak piosenka o „cholernym guźcu". JD

Miss musicalowa

W 20. rocznicę premiery filmu „Mała miss" Kujawsko-Pomorski Teatr Muzyczny w Toruniu przygotowuje polską prapremierę wersji musicalowej.

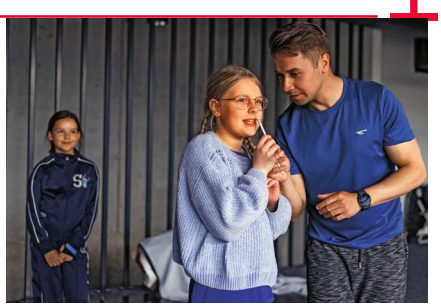

To było jedno z kinowych objawień 2006 r. W „Małej miss" w reż. Jonathana Daytona i Valerie Faris, filmie niezależnym i skromnym, ale obsadzonym gwiazdami, show kradła 10-letnia Abigail Breslin w roli pełnej niezmąconego optymizmu i pewności siebie siedmiolatki. Polskie tłumaczenie tytułu gubi grę znaczeń oryginalnego „Little Miss Sunshine", który ironicznie odnosił się do konkursu piękności dla dzieci, celu szaleńczej podróży filmowej rodziny Hooverów rozklekotanym Volkswagenem busem przez całe Stany, oddając zarazem pogodne usposobienie bohaterki i klimat filmu, w którym dramat łączy się z komedią. To opowieść o dysfunkcyjnej familii, której członkowie w czasie podróży muszą zaakceptować swoje słabości, by móc zbudować silną więź. Można tam też wyczytać sarkastyczny komentarz do amerykańskiej czy kapitalistycznej pogoni za sukcesem, z powtarzanym jak mantra „każdy jest kowalem swojego losu" w centrum. Film otrzymał cztery nominacje do Oscara, w tym dla Abigail Breslin, i zgarnął dwie statuetki: za scenariusz Michaela Arndta i drugoplanową rolę Alana Arkina.

Wersja musicalowa, z librettem Jamesa Lapine'a i piosenkami Williama Finna, miała premierę pięć lat później, w 2011 r. Teraz zaś, w 20. rocznicę powstania filmu, Kujawsko-Pomorski Teatr Muzyczny w Toruniu pokaże polską prapremierę **musicalu „Mała Miss"** w reż. Agnieszki Płoszajskiej. „Najważniejszym przesłaniem tej historii jest pokazanie, że w rodzinie można się potwornie kłócić, tkwić w nierozwiązywalnych konfliktach i zależnościach, a jednocześnie dawać sobie nawzajem ogromne wsparcie. Nie jest najważniejsze to, dokąd zmierzamy. Nie liczy się sam cel, ale wspólna podróż, którą przeżywamy" – mówi reżyserka. I obiecuje pełną energii, muzyki, humoru i wzruszeń podróż, „w której każdy widz może odnaleźć cząstkę własnej historii". Kierownictwo muzyczne sprawuje Bartosz Staszkiewicz, twórcą choreografii jest Michał Cyran. Premiera 10 i 11 lipca, kolejne dwa spektakle 12 lipca. AK

© MATERIAŁY PRASOWE, PIOTR MANASTERSKI

eprasa.pl 5357578c79

FESTIVAL

bittersweet

LINEUP A>Z

Gorillaz
Robbie Williams
Twenty One Pilots
Lorde
Major Lazer
Tom Odell

AND MANY MORE

WWW.BITTERSWEETFESTIVAL.PL

ORGANIZATOR: GOOD TASTE! | SPONSORZY GŁÓWNI: Bank Polski, Enea | SPONSORZY: Coca-Cola, SOMERSBY | PARTNER STRATEGICZNY | PARTNERZY MEDIALNI: onet, ZET, chillizet | BILETY: eventim

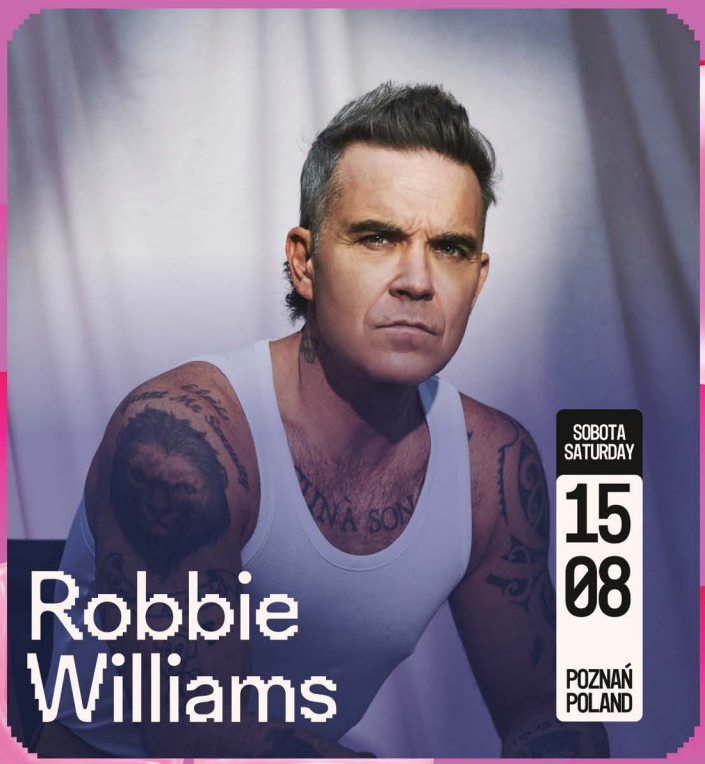

Robbie Williams

SOBOTA SATURDAY
15 08
POZNAŃ POLAND

13-15.08.26 | PARK CYTADELA | POZNAŃ, POLAND

ERSTE

LETNIE BRZMIENIA

CZUŁ LATO

KAŚKA SOCHACKA
VITO BAMBINO
MROZU (B&WD) ✶ BRODKA (GRA GRANDE)
GRZEGORZ TURNAU Z ORKIESTRĄ SYMFONICZNĄ
KACPERCZYK ✶ RALPH KAMINSKI
EWA FARNA ✶ NATALIA SZROEDER
JULIA WIENIAWA ✶ XXANAXX
KRÓL / TYSZKOWSKI (EWA KOC) ✶ BASS ASTRAL
MAKS.TACHASIUK

Babie Lato PROJEKT SPECJALNY

NATALIA GROSIAK • BELA • KATHIA

I WIELU INNYCH

KRAKÓW 24-25 LIPCA | WARSZAWA 7-8 SIERPNIA | GDAŃSK 21-22 SIERPNIA | WROCŁAW 28-29 SIERPNIA | POZNAŃ 4-5 WRZEŚNIA

SPRAWDŹ KTO GRA W TWOIM MIEŚCIE NA WWW.ERSTELETNIEBRZMIENIA.PL

ORGANIZATOR: GOOD TASTE! | SPONSOR TYTULARNY: ERSTE | SPONSORZY GŁÓWNI: mastercard, SOMERSBY | PARTNERZY: CASA MÚSICA, TERRAZZA | PATRONI MEDIALNI: RMF, ELLE, K MAG, onet

DEFENDER
SALT WAVE
FESTIVAL

31.07-1.08.2026
JASTARNIA | PÓŁWYSEP HELSKI



ZAGRAJĄ

CRYSTAL FIGHTERS
SALVATORE GANACCI
SOKÓŁ · JAN-RAPOWANIE
VITO BAMBINO

I WIELU INNYCH

ORGANIZATOR: GOOD TASTE! | SPONSOR TYTULARNY: DEFENDER | PATRONI MEDIALNI: chillizet, K MAG, CZWÓRKA, prestiż

WWW.SALTWAVE.PL

eprasa.pl 5357578c79

Otwarta i dyskretna

Grand Prix naszej Nagrody Architektonicznej otrzymała nowa siedziba Wydziału Psychologii UW: harmonijna, elegancka, funkcjonalna.





PIOTR SARZYŃSKI

W 15. edycji Nagrody Architektonicznej POLITYKI 15 jurorów 15 kwietnia wybrało zwycięzcę: nową siedzibę Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Chciałoby się do tej wyliczanki dorzucić kolejną efektowną piętnastkę, np. że tyle razy nowe realizacje budowli o przeznaczeniu edukacyjnym gościły w finałach naszej nagrody. Niestety, aż tylu ich nie było. Choć zaczęło się obiecująco – w pierwszej odsłonie Grand Prix powędrowało do katowickiego Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Akademickiej (CINiBA). Później jednak placówki oświatowe pojawiały się w najlepszej piątce roku zdecydowanie za rzadko: do 2024 r. zaledwie pięć razy (dla porównania obiekty kulturalne były nominowane aż 23 razy). Ale zawsze były to „wejścia smoka", które warto przypomnieć.

W 2017 r. Grand Prix zgarnął Wydział Radia i Telewizji w Katowicach, a trzy lata później – Pawilon Edukacyjny „Kamień" w Warszawie. Z kolei Sala Koncertowa Państwowej Szkoły Muzycznej w Jastrzębiu-Zdroju otrzymała Nagrodę Czytelników. Było jeszcze Przedszkole „Żółty Słonik" w Ostrowi Mazowieckiej (2015 r.) oraz Akademia High School w stolicy (2017 r.), wprawdzie bez najwyższego wyróżnienia, ale z bardzo dobrymi ocenami ekspertów, miłośników architektury i użytkowników. Warto odnotować, że przez finały naszej nagrody przewinęły się obiekty o różnym edukacyjnym profilu – od przedszkola, poprzez szkoły podstawowe i średnie, aż po edukację akademicką i pozaszkolną.

Wydaje się, że falę nowej edukacyjnej architektury zapoczątkowała biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego, zaprojektowana przez Marka Budzyńskiego i Zbigniewa Badowskiego, a oddana do użytku w 2000 r. Później były m.in. nowatorska szkoła w stołecznej Białołęce (Konior Studio, 2005 r.) czy kolorowy zespół szkolno-przedszkolny we Wrocławiu (Grupa Synergia, 2010 r.). Nigdy jednak wybitna nowa architektura dla edukacji nie była zjawiskiem tak masowym jak nowe obiekty muzealne czy koncertowe.

I oto nadeszło podsumowanie 2025 r., a wraz z nim do finałowej piątki Nagrody Architektonicznej POLITYKI trafiły

eprasa.pl 5357578c79







Siedziba Wydziału Psychologii UW, stworzona przez Projekt Praga, wyznacza standardy i zawstydza sąsiadów

© NATE COOK

aż cztery obiekty służące edukacji. Sytuacja wyjątkowa. A przecież do finału niemal dostały się jeszcze dwie bardzo ciekawe realizacje: Centrum Edukacyjne „Campus Bemke" w Kleczy Dolnej (proj. Medusa Group) i szkoła podstawowa oraz przedszkole przy ul. Świderskiej w Warszawie (Bujnowski Architekci). Czy jest to zapowiedź przełomu, czy jednorazowa koincydencja? Na razie trudno powiedzieć. Ale taki rezultat na pewno cieszy.

Biuro architektoniczne Projekt Praga, które stoi za tegoroczną zwycięską realizacją, w finale naszej nagrody pojawiło się po raz pierwszy, choć już rok temu otarło się o grono laureatów – za sprawą projektu akademika Uniwersytetu Warszawskiego. Założycielami pracowni są Karolina Tunajek i Marcin Garbacki, a działa ona od 2010 r. Początkowo realizowała nieduże i średnie projekty z zakresu rewitalizacji i adaptacji przestrzeni postindustrialnych, aranżacji lokali gastronomicznych, hoteli, biur. Przełom nastąpił wraz z dwoma wspomnianymi projektami Uniwersytetu Warszawskiego. Ale warto dodać, że właśnie rozpoczęto kolejną realizację ich następnego dużego przedsięwzięcia – siedziby Sądu Apelacyjnego w Warszawie, a lada moment otworzy się kolejny plac budowy – budynku dla Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Tempo dołączania do krajowej czołówki projektantów jest więc imponujące.

W 2017 r. został rozstrzygnięty konkurs na nową siedzibę Wydziału Psychologii UW. Konkurencja była bardzo silna. Dość powiedzieć, że w pokonanym polu znalazły się tak znaczące biura, jak JEMS Architekci, WXCA, Marek Budzyński czy ARÉ Stiasny/Wacławek. Do realizacji wybrano jednak projekt stosunkowo młodej, działającej dopiero od siedmiu lat i niemającej na swym koncie żadnych dużych realizacji pracowni. Zaprojektowany przez nią i zrealizowany budynek ma 26,6 tys. m kw. powierzchni użytkowej, 8 kondygnacji (w tym 6 naziemnych), 30 sal dydaktycznych, pomieszczenia do pracy cichej, laboratoria itd.

Gmach stanął na tak zwanym uniwersyteckim kampusie w dzielnicy Ochota, przy ul. Banacha. Świadomie piszę „tak zwanym", mamy tu bowiem do czynienia z dość bezładnym nagromadzeniem obiektów powstałych w różnych okresach i o bardzo różnej – z reguły kiepskiej – architekturze. Można więc bez ryzyka stwierdzić, że nowy obiekt, stworzony ▶

eprasa.pl 5357578c79



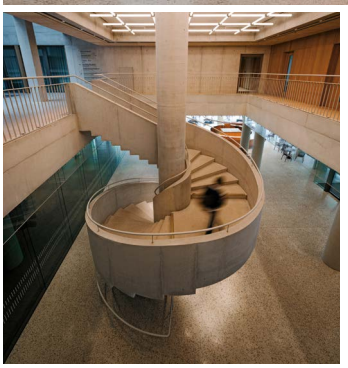
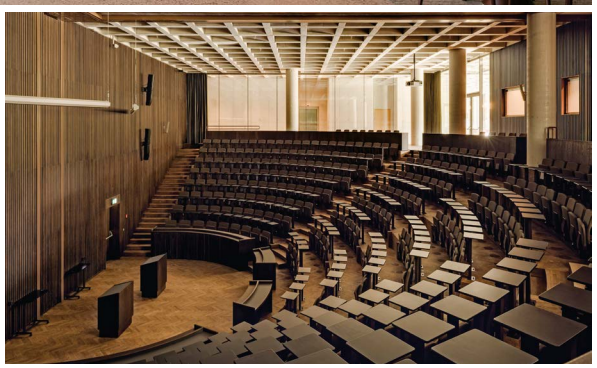

Wnętrza WP UW. Otwarty i przeszklony parter zachęca do kontaktów. W budynku zaplanowano też miejsca, które pozwalają na niezakłóconą pracę.

▶ przez Projekt Praga, w tym gronie zdecydowanie się wyróżnia, jaśnieje, wyznacza standardy i zawstydza sąsiadów.

I nie chodzi tu o jakąś niezwykłą estetykę, o aspirowanie do statusu ikony, ale o wartości podstawowe: harmonię, elegancję, prostotę, równowagę. Wzorem dominującym na elewacji, a następnie przeniesionym do wewnątrz (stropy, podłogi) wydaje się geometryczna siatka, doskonale podkreślająca owe walory. Świetnie sprawdza się tu stara modernistyczna reguła architektoniczna, sformułowana przez pioniera tego nurtu Miesa van der Rohego, że *less is more* (mniej znaczy więcej).

Do tych dostrzegalnych na pierwszy rzut oka wartości dochodzą kolejne, które decydują, że to obiekt wyjątkowy: otwartość, troska o użytkowników i idealne dopasowanie do ich potrzeb, dbałość o szczegóły. Ów ponadstandardowy charakter można dostrzec, już zbliżając się do budynku. Zaprojektowane wokół niego specjalne i ponadnormatywne zadaszenie jest dla przechodnia cichą zachętą, by schował się przed deszczem, zamiecią lub palącym słońcem, stanowi naturalny etap pośredni między tym, co na zewnątrz, a tym, co wewnątrz.

Psychologia to nauka, w której otwartość przenika się z dyskrecją, a kolektywizm z indywidualizmem. I ów dualizm projektanci starali się wyrazić w architekturze. Na pierwszy rzut oka przeważa otwartość, zaproszenie do wspólnotowości, do wzajemnej komunikacji. Tak jest z rozległym, otwartym, przeszklonym parterem i umieszczonymi tam kantyną i kawiarnią, zachęcającymi do kontaktów, relacji i interakcji. Podobnie jak na poziomie pierwszego piętra, na którym rozpościera się ogromne, imponujące patio z nowoczesnymi krużgankami, wyrazistymi schodami, przemyślanym doświetleniem naturalnym światłem i starannie dobranymi meblami wypoczynkowymi. To rodzaj współczesnej agory, gdzie najłatwiej kogoś spotkać.

Natomiast mieszany charakter – kiedy trzeba integrujący, a kiedy trzeba izolujący – ma taras na dachu budynku, pełen przemyślanie rozplanowanej zieleni, z alejkami i ławkami. Tu równie dobrze można się z kimś spotkać, jak i pogrążyć w samotnej lekturze, skrzyknąć kameralną grupę, ale i uciec od świata. W ogóle zaplanowano w budynku sporo miejsc, które pozwalają na izolację, dyskretną rozmowę, niezakłóconą pracę. Równocześnie poszczególne przestrzenie mają często charakter plastyczny, potrafią modyfikować swą funkcję w zależności od zmieniających się doraźnie lub trwale potrzeb.

Wydaje się, że jednym z najważniejszych kluczy do tego sukcesu funkcjonalno-przestrzennego była współpraca twórców z Projektu Praga z Biurem Innowacji Przestrzeni Akademickiej (BIPA). To biuro, dzięki pogłębionym analizom i badaniom oczekiwań oraz potrzeb przyszłych użytkowników, przygotowało rozbudowane wytyczne dla architektów, którzy mogli się skoncentrować na ich wdrożeniu.

Niezwykle ważnym walorem budynku jest jego estetyka. Wieloletnia praca nad projektem sprawiła, że był czas (ale i chęć), by przemyśleć wszystkie szczegóły, dopracować je, skoordynować. Począwszy od kolorów i faktur oraz zastosowanych materiałów, poprzez meble i identyfikację wizualną, aż po taki, często lekceważony, element jak aranżacja sanitariatów. Tu najlepiej widać doświadczenia architektów wyniesione z wcześniejszego planowania biur czy

eprasa.pl 5357578c79


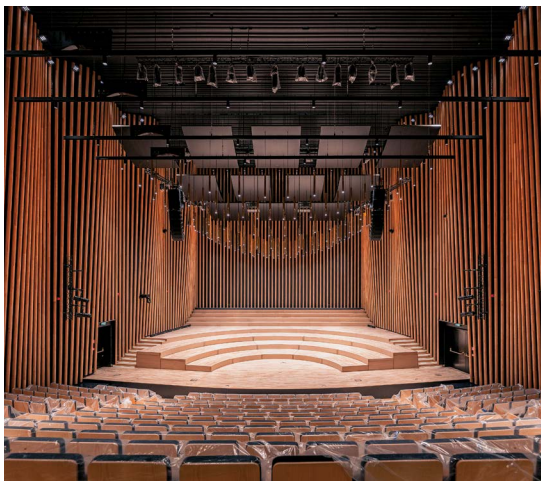

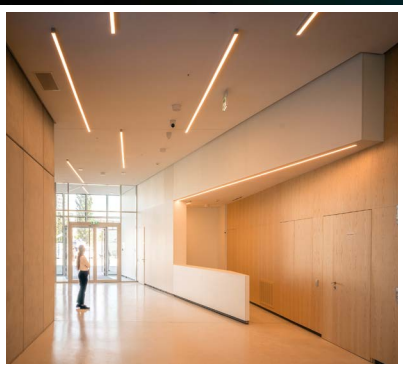

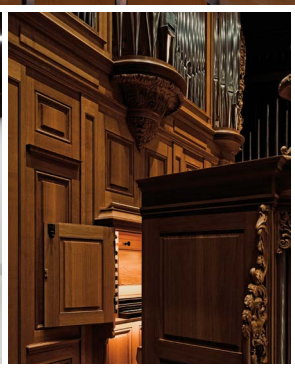

Wybór czytelników – spektakularna siedziba Akademii Muzycznej w Bydgoszczy projektu plus3-architektów

obiektów gastronomicznych, gdzie takie detale grają rolę pierwszoplanową.

W nowym gmachu Wydziału Psychologii pomieszczono przeróżne rozwiązania, które jeszcze niedawno stanowiły wartość dodaną, dziś zaś stają się standardem. Przygotowano 80 stanowisk do parkowania rowerów i miejsce na doładowanie samochodów elektrycznych. Zadbano o retencję wody, a zbierana deszczówka wykorzystywana jest do podlewania bogatej roślinności. Budynek jest energooszczędny i zaprojektowany tak, by maksymalnie spożytkować naturalne światło. Zadbano też o pełen dostęp do wszystkich pomieszczeń dla osób z niepełnosprawnościami.

A werdykt naszych czytelników? O ile profesjonalne jury nagrody postawiło na realizację umiarkowanie widowiskową, ale maksymalnie funkcjonalną, o tyle czytelnicy w swoim plebiscycie opowiedzieli się za architekturą spektakularną, aspirującą do miana jednej z ikon miasta. Mowa o nowej siedzibie Akademii Muzycznej w Bydgoszczy (projektu plus3-architektów), która ów plebiscyt wygrała z dużą przewagą. Drugie miejsce zajął Plac Centralny w Warszawie.

Choć teraz ogłaszamy laureata Nagrody Architektonicznej POLITYKI, trudno nie poświęcić kilku zdań wydarzeniu, które miało miejsce miesiąc temu. Mowa o Kongresie Architektury Polskiej, zorganizowanym po 18-letniej przerwie. To był bardzo ważny głos środowiska, od którego przecież zależy to, w jakim otoczeniu żyjemy, w jakich biurach pracujemy i w jakich apartamentowcach (dawniej: blokach) zasypiamy. I mocno wybrzmiało na Kongresie wezwanie, by władze wszelkich szczebli (centralne, ale i samorządowe) włączyły się w tworzenie spójnej i nowoczesnej polityki architektonicznej.

Sporo mówiło się na Kongresie o polityce mieszkaniowej (apel, by tereny mieszkaniowe stały się priorytetem inwestycyjnym państwa), o dbałości o zabytki, o uporządkowaniu kwestii urbanistycznych, ale też o wizualności małych miasteczek czy o... pięknie. Ważne, że mocno wybrzmiały takie wątki jak edukacja czy partycypacja społeczna w procesie zagospodarowywania miasta.

Architektura staje przed coraz poważniejszymi dylematami. Już nie wystarczy projektować efektownie czy funkcjonalnie. Trzeba brać pod uwagę skomplikowane procesy demograficzne, społeczne, ekonomiczne i ekologiczne, uwzględniać nie tylko teraźniejszość, ale też przeszłość (dziedzictwo) i przyszłość. Wydaje się, że nasz tegoroczny laureat może służyć jako dobry przykład obiektu, w którym wzięto pod uwagę wszystkie te aspekty.

PIOTR SARZYŃSKI

Zapraszamy po więcej na stronę:
polityka.pl/architektura

Sponsor Główny
Nagrody Architektonicznej
POLITYKI

ATLAS

© ONI STUDIO, HANNA KAZANTSEVA, MARIUSZ GUĆ, ADAM KUJAWSKI

eprasa.pl 5357578c79



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Andrzej Grabowski ujawnił, że propozycję roli Ferdka Kiepskiego otrzymali przed nim Janusz Gajos i Stanisław Tym. Wszystko wskazuje na to, że w przeciwieństwie do niego wcześniej przeczytali scenariusz.

●

„Sandra Kubicka pokazała nowego narzeczonego" – informują media zajmujące się pokazywaniem takich sytuacji. Sandra zaś lubi pokazywać, że jedyne wnioski, jakie wynosi z przeszłości, to te niewłaściwe.

●

Pojedynek Mai Chwalińskiej z tą drugą w finale turnieju Rolanda Garrosa oglądało w Polsce 3,5 mln widzów. W przeciwieństwie do piłki nożnej – nie po trzech setach.

●

Doda podczas występu w Opolu pokazała się w bieliźnie. To doskonały znak. Mam nadzieję, że przed prokuratorem też nie będzie miała nic do ukrycia.

●

Alicja Bachleda-Curuś w końcu ujawniła, jak jest naprawdę. Henry Tadeusz nie mówi dobrze po polsku. Szkoda go. Nigdy się nie dowie, co znaczy podwędzić podwędzoną rybę.

●

Jakub Rzeźniczak poinformował naród, że nie uprawia seksu przy teściowej, tylko normalnie idzie do sypialni i zatyka żonie usta, jak ta krzyczy. Proponuję rozpocząć podobną praktykę na sobie. Bez seksu.

Filip Chajzer już po bierzmowaniu, na którym przyjął imię Jerzy. Z sakramentów były już pokuta i pojednanie. Teraz czas na uleczenie.

●

Telewizja Republika planuje wejście na rynek telefonii komórkowej. Tomasz Sakiewicz zapowiedział powstanie sieci Republika Mobile. Teraz czas na apkę do apostazji.

●

Plotek ma informacje, jakich nie ma nikt. „Politycy oberwali od Neo-Nówki. Nawrockiemu poszło w pięty". No cóż. Jaki prezydent, taki zamach.

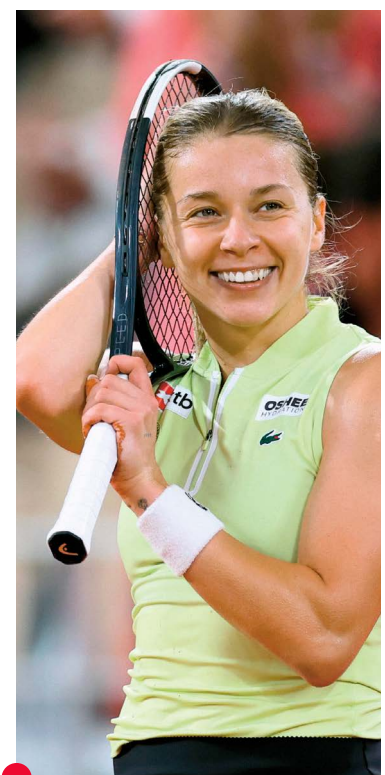

Maja Chwalińska w mistrzowskiej formie: „Może tak było, że dzwonił prezydent, ale nie odbieram telefonu od nieznajomych, tylko od mamy i taty". Niby dropszot, ale jednak w kort.

Krzysztof Stanowski w patriarchalnej ofensywie: „Ty babo głupia. Powinni cię trzymać na rynku, rozebraną do naga, przypiętą do jakiegoś słupa". Kanał Zero od dawna skazany był na pornografię.

●

Skoro już jesteśmy przy pornografii. Adrian Klarenbach z TV Republika z zarzutami – miał załatwiać dyplomy Collegium Humanum dla siebie, żony i znajomego. Fajnie, że chce mieć znajomych na poziomie.

●

Michał Wiśniewski wypowiedział się w sprawie ewentualnego powrotu do swojej pierwszej żony: „Jak dostanę zgodę na lądowanie". Uspokajam. Mandaryna ma zintegrowaną wieżę kontroli lotów.

●

„Nie dam 20 milionów euro rocznie 38-latkowi" – to Aziz Yildirim, szef tureckiego klubu Fanerbahce, o Robercie Lewandowskim. Skandal i chamstwo. Powinniśmy dać mu jakiś medal i natychmiast odebrać.

●

Media donoszą: „Marcin Hakiel ujawnił, jak wyglądało jego ostatnie spotkanie z Katarzyną Cichopek". Drugim najdłużej emitowanym polskim serialem jest „Klan".

●

Tomasz Włosok i Malwina Buss spodziewają się dziecka. Gratulacje. Zastanawiam się, który film Tomkowi się teraz bardziej przyda: „Akademia Pana Kleksa" czy „Król dopalaczy"?

●

Prezydent Karol Nawrocki otrzymał zaproszenie na urodziny Donalda Trumpa, podczas których ma być gościem gali UFC Freedom 250 w Białym Domu. Niestety godziny walki prezydenta nie ujawniono.

© IAN MACNICOL/GETTY IMAGES

eprasa.pl 5357578c79

FELIETON

Sulej



Kwiaty i otchłań

Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to kwiaty. Piwonie w rozkwicie stojące w plastikowych kubełkach na chodniku, ciężkie kiście akacji zwisające nad ulicami, szyldy kwiaciarni na każdym rogu, ludzie z pachnącymi bukietami w metrze i w autobusie. To dziwna pierwsza myśl, kiedy chcesz opisać miasto, które niemalże co noc jest bombardowane, nad którym latają Szahidy, w którym każdy zasypiający w swoim łóżku musi pamiętać, że najpewniej w środku nocy wstanie i półprzytomnie będzie szukać dwóch ścian oddzielających go od możliwej śmierci.

A jednak kiedy myślę o Kijowie, to te kwiaty pachną mi tak mocno, że mniej czuję wojnę. Zwierzam się z tego mojej koleżance, ukraińskiej dziennikarce.

– Ale wiesz, że tych kwiatów jest wszędzie tak dużo nie tylko dlatego, że jest wiosna i że kochamy dostawać kwiaty na randkach. Kwiaty sypie się też pod kondukt żałobny zabitego żołnierza, kładzie się na jego grób. To też jest zapach wojny, nie tylko życia.

Pojęłam, że tylko wydaje mi się, że coś rozumiem. Jestem tylko gościem w katastrofie – żeby przywołać świetny esej Tomasza Szerszenia o patrzeniu na obrazy wojny w Ukrainie. Z Zorianą rozumiemy się świetnie, a jednak między nami zalega otchłań. Ja żyję w kraju bez wojny, jej kraj jest ogarnięty wojną. Moje życie trwa bez tego znacznika, jej życie pozostanie przepasane czarną wstążką.

> Ukraina nie myśli o Polsce. Jakżeby mogła? Nie może myśleć, bo dzieje się tam coś, czego nie sposób nam pojąć.

Siedzę w kijowskiej kawiarni z moim kolegą. To Oleg, znany ukraiński pisarz. Mamy podobne poczucie humoru, oglądaliśmy te same filmy, milenialsi z tymi samymi poszukiwaniami na koncie. Opowiadam mu śmieszne anegdoty o mojej książce na temat Taylor Swift. Nagle zdaję sobie sprawę, że w jego rozbawieniu jest warstwa, której smutku nie zdołam przebić.

– Widzisz, to wszystko, czym zwykle jest samo życie, widzę teraz jako głupotki. I to też jest wielka strata – mówi.

Wojna jest najważniejszym, prymarnym punktem odniesienia. Zmieniła w Ukrainie filtr rzeczywistości. Nie jesteśmy (na szczęście) dziś w stanie tego zrozumieć. To zrozumienie bierze się bowiem jedynie ze współuczestnictwa. Jesteśmy od Ukraińców oddzieleni otchłanią ich egzystencjalnego, metafizycznego przeżycia osobistego i społecznego. Nie mamy prawa twierdzić, że coś o nich teraz wiemy. Pogrążeni w budowaniu kwiecistych przemówień o polityce historycznej zdajemy się zapominać, w jakich dyspozycjach do siebie nawzajem, my – Polacy i Ukraińcy – teraz mówimy.

Ukraina nie myśli o Polsce. Jakżeby mogła? Nie może myśleć, bo dzieje się tam coś, czego nie sposób pojąć, a co dopiero zderzyć z refleksją rodem z wystygłego świata. Tam kraj się pali, palą się sensy, palą relacje, znaczenie słów, gestów, wszystko sprowadza się do jednego azymutu – przetrwać, nie przegrać.

Wołyńskie zbrodnie sprzed 80 lat także naznaczyły polskie biografie czarną wstęgą na pokolenia. To sprawy, których nie można zrozumieć ani wybaczyć. Niezależnie od tego, jak chcemy dziś pamiętać krzywdę, nie możemy oczekiwać, że dialog będzie z nami prowadzić ktoś, kto właśnie krzywdy doświadcza. Nie prowadzi się rozmowy z osobą, która pali się w płonącym domu. Nie prowadzi się rozmów o śmierci sprzed dekad z kimś, kto kojarzy róże ze świeżym grobem własnego dziecka. To nie jest moment na pouczanie, polityczne zagrywki, na szukanie we własnych szeregach „wrogów", którzy mają czelność okazać empatię, spojrzeć w otchłań między ludźmi i zdać sobie z niej sprawę.

Polityka historyczna wobec Wołynia ma u nas inne tempo i inny odcień niż w Ukrainie, gdzie też pozostanie na zawsze naznaczona aktualną wojną. Niczego nie kasuje, niczego nie wymazuje, z niczego nie zwalnia, po prostu zmieniła filtr tamtejszej rzeczywistości. Trzeba sobie z tego zdać sprawę, żeby móc rozmawiać po partnersku, wydawać wyroki, formułować postawy. Trzeba się zdobyć na wysiłek spotkania z człowiekiem z kraju ogarniętego wojną, wysiłek taki zwykły, ludzki.

I tak, Ukraina – kiedy już będzie mogła złapać oddech w walce – też będzie musiała taki wysiłek wykonać. Oni również patrzą na nasz Wołyń przez otchłań – nie są w stanie zrozumieć, że dla nas, tak po ludzku, to nie jest kłótnia o definicję ludobójstwa ani polityczna przepychanka, tylko nasz filtr czasu cierpienia, kiedy inaczej nam pachniały kwietne łąki, czym innym smakował chleb i codzienne błahostki życia.

Jak pogodzić życie ze śmiercią? Te kwiaty w Kijowie przecież także, no naprawdę, pachną wiosną i romantyczną randką. I przecież Oleg naprawdę serdecznie się zaśmiewał z mojego umiłowania do popowych piosenek Taylor Swift. Ponoć z otchłani może rodzić się światło – tak gdzieś czytaliśmy, prawda?

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl 5357578c79



Selfie spod ruskiej granicy

Czerwcówkę spędziłam na Mierzei Wiślanej przy granicy z obwodem kaliningradzkim. Granica przecina mierzeję na pół. Jej znaki to szlaban i siatka. Po rosyjskiej stronie pusto: życie się stamtąd wyniosło, wyparte przez wojsko. Za to u nas tłoczno i wesoło: tłumy walą pod szlaban rowerową ceprostradą po obowiązkową fotkę. „Stoję pod ruską granicą!" – nadaje przez telefon podekscytowany gość w średnim wieku. Zachowuje się tak, jakby czuł się bohaterem.

Pomyślało mi się, że ruska granica nie wszędzie jest tak nieszkodliwa. W Ukrainie zdjęcie ze szlabanem kosztowałoby go więcej: życie, a co najmniej awaryjną zmianę bielizny. Czy jest jednym z tych, którzy przedwczoraj obudzili się nagle jako Wołyniacy i zapłonęli świętym oburzeniem? Dogoniły mnie myśli sprzed wyjazdu. Jak to możliwe, że kiedy Kijów znowu nocuje w schronach, Warszawa robi dramę o nazwę pododdziału?

Nie pochodzę z Wołynia, znałam jednak Polaka z Równego. Ukraińscy sąsiedzi uratowali go z rzezi, ale przed traumą uchronić nie mogli. Obrazy odrąbanych dłoni; strach powracający w koszmarach. Szanuję ból ofiar rzezi wołyńskiej i nie są to tylko słowa. Jednak to nie Wołyniacy rozgrywają dzisiaj „pamięć o Wołyniu". Piłkę na boisko wrzuciła prawica, która ukradła ich cierpienie. Wyciągają lepkie rączki po Wołyń jak wcześniej po powstanie warszawskie. Chcą rzucić Ukrainę na kolana, a Moskwa im klaszcze. Powidoki czystki, wokół których rośnie kula śniegowa nienawiści, to tylko pretekst.

> To nie Wołyniacy rozgrywają dzisiaj „pamięć o Wołyniu". Piłkę na boisko wrzuciła prawica, która ukradła ich cierpienie.

Działa tu taki sam mechanizm jak w przypadku Gazy – szlachetne odruchy nielicznych uwierzytelniają falę emocji, która pozwala innym bezkarnie manifestować uprzedzenia. Narażanie na szwank obecnych i przyszłych relacji z Ukrainą z powodu zbrodni sprzed 83 lat jest szkodliwe. Dla nas, nie dla nich. Żądanie, by Zełenski cedził świat przez sitko polskiej wrażliwości, brzmi jak dobry początek długoterminowej terapii. Naszej, nie ich.

Nie mamy pojęcia, czym jest realna wojna. Ukraińcy ją znają. Piąty rok walczą z Rosją nie tylko w obronie terytorium, ale też o siebie jako odrębny naród wywodzący się z Rusi Kijowskiej. Umierają za zniesienie monopolu Rosji na kulturowe dziedzictwo Imperium Rosyjskiego i Związku Radzieckiego, w którym etniczni Rosjanie mieli mały udział. Wiążąc siły Moskwy, sponsorują nam bezkosztowe fotki spod ruskiej granicy. Pomoc od Zachodu jest istotna, jednak wciąż warta mniej niż życie, którym za nią płacą. Muszą już być cholernie zmęczeni. Mobilizują wszystkie zasoby, które pomagają wytrwać, w tym pamięć o UPA. Bohaterstwo upowców walczących z Sowietami ma we współczesnych ukraińskich oczach niewielki związek z rzezią, która dla nas jest elementem centralnym. Dla zajadłych nacjonalistów w typie Bąkiewicza pewnie związek ma; nic dziwnego: ukraińska tożsamość wykuwała się między Polską i Rosją. Ten margines również walczy i umiera.

Nie wiem, czy po wojnie nasze państwa będą się kochać; zaczniemy pewnie rywalizować o pozycję w regionie. Jednak osłabianie Ukrainy teraz, kiedy wojna trwa, wpisuje nas w stereotyp zdradzieckich Lachów i nie leży w naszym interesie. Pouczanie, co i jak Ukraińcy powinni pamiętać, tylko szkodzi: ożywia emocje, które w 1943 r. stały się motorem rzezi. Tym bardziej że wiarygodność Polski w roli dobrodziejki mocno podupadła, odkąd odcięliśmy ukraińskie uchodźczynie od pomocy społecznej. Na decyzję Zełenskiego należało zareagować o wiele spokojniej. Ekshumacje i pogrzeby na Wołyniu trwają pomimo wojny. Ukraina jednak szanuje naszą wrażliwość.

Nieprawda, że ze swoją pamięcią o UPA Ukraińcy nie pasują do Unii Europejskiej. W Unii podobnych historii jest mnóstwo. Francuzi czczą Napoleona, który masakrował Hiszpanów. Łotysze mają Legion Łotewski SS – formację utworzoną przez Himmlera, która walczyła z Armią Czerwoną, jednak oskarżana jest o mordy także na Żydach i Białorusinach. Dzień Legionu Łotwa obchodzi 16 marca – od 1998 r. jako święto narodowe, po 2000 r. jako zwykły dzień pamięci. Rzecz ciekawa, na obniżenie rangi naciskała głównie Rosja i łotewscy Rosjanie.

Z kolei w Polsce w 2011 r. Bronisław Komorowski ustanowił święto „żołnierzy wyklętych", nie przejmując się, że mordowali nie tylko Sowietów, ale też Białorusinów i Żydów, a ponadto regularnie grabili polskie wsie. Brygada Świętokrzyska kolaborowała z Niemcami; bandyterką trudniły się przy okazji innych działań także pozostałości AK. Każdy najbardziej lubi się bić w cudze piersi.

Idąc w ślady Trumpa i J.D. Vance'a, żądamy od Ukraińców wdzięczności aż do zaparcia się siebie. Niektórzy zdążyli się ośmieszyć: Lech Wałęsa usuwający z klapy znaczek ukraińskiej flagi i Karol Nawrocki grożący Zełenskiemu odebraniem orderu mają zapewnione miejsce w historii groteski. Gdyby to była powieść, prezydent Ukrainy mógłby odesłać Orła Białego dronem Baba Jaga. Co Kozakowi po orderze od Lachów?

RENATA LIS

eprasa.pl 5357578c79

FELIETON

Witkowski



Rzeczpospolita Merkantylna

Za Polakami nie nadążysz. Raz kładą się Rejtanem w obronie interesów najbogatszych, zapewne na wypadek, gdyby kiedyś też stali się najbogatsi. Zaklinają rzeczywistość, jak w jednym z najbardziej bezsensownych przesądów: o zmarłych tylko dobrze, bo – w domyśle – nie ma co drażnić śmierci. A o miliarderach z troską, bo i po co prowokować bożka Mammona?

Innym razem reagują wysypką na samą wzmiankę o jakimkolwiek wsparciu socjalnym. Posuwają (posuwamy?) się przy tym do światotwórstwa o tolkienowskim rozmachu. Na przykład ostatnio, w związku z projektem ustawy o wsparciu składkowo-emerytalnym dla artystów, wymyślili sobie nową rasę tudzież klasę. Jej charakter jest proteuszowy, bo zależnie od tego, w którym miejscu zdania się znajdujemy, jest ona syta i cyniczna, ale i uboga, mało zaradna. Podobnie z twórczością jej przedstawicieli: zbyt hermetyczna, zupełnie dla nikogo, ale i masowa, ot, zwykła papka dla intelektualnie szczerbatych.

Szczególna troska, jaką otaczamy najbogatszych, tyczy się głównie przedsiębiorców, bo „wzięli przed się", „podatki to kradzież" i „dlaczego mamy kogokolwiek karać za zaradność?". Na taryfę ulgową nie mogą liczyć jednak estradowcy. I dobrze, bo naprawdę nie widzę powodu, żeby człowiek zarabiający pensję minimalną miał łamać sobie głowę nad emeryturą Maryli Rodowicz.

> Jesteśmy społeczeństwem, które przejęło logikę i optykę wielkich biznesów, tylko bez ich stanu posiadania i sił sprawczych.

Oczywiście w planowanej ustawie nie chodzi wcale o Marylę Rodowicz i podobnie zasobnych artystów. Sprawę rzeczowo opisała m.in. Aleksandra Żelazińska w POLITYCE 24. Zwróciła też uwagę na fiasko komunikacyjne ministerstwa oraz na fakt, że narrację przejęli populiści-wolnorynkowcy. Interesuje mnie jednak, dlaczego tak łatwo do tego doszło. Dlaczego ziarenko czy pestka wypluta przez piosenkarza Skolima czy Krzysztofa Stanowskiego, multimilionerski „głos ludu", momentalnie dała plony?

Jeśli mam o coś, jako osoba urodzona w 1989 r., żal do PRL-u i ówczesnych decydentów, to o to, jak skutecznie udało się im skompromitować ideę dobra wspólnego. A jeśli uwiera mnie coś w przypadku przodowników polskiej transformacji – mnie, ząbkującego w cieniu reformy Balcerowicza – to jest to utwardzenie przekonania, że „wspólne" to mrzonka. Że teraz każdy sobie, że jesteśmy wysepkami, z których za cholerę nie sklei się żadnego archipelagu.

Tocząca się właśnie dyskusja o artystach – realnie istniejących lub wyobrażonych – doskonale tego dowodzi. Jedni są zbyt bogaci, żeby im dopłacać (spokojnie: nikt nie planuje!), drudzy natomiast zbyt bełkotliwi, niepotrzebni. Jeśli nikt nie chce im zapłacić za ich sztukę tyle, ile potrzeba, by nie drżeli na myśl o starości (albo młodości, w której trzeba się wybrać do szpitala na operację), to znaczy, że są niepotrzebni.

Problem rozwiązany, można już wracać do komputera i studiować kursy bitcoinów. Wiadomo bowiem, że rynek zweryfikuje i zawsze można zmienić zawód (pardon: „zmienić pracę i wziąć kredyt"). Rzecz to straszna, ale jak najbardziej realna i aktualna. Jesteśmy społeczeństwem, które przejęło logikę i optykę wielkich biznesów, tylko bez ich stanu posiadania i sił sprawczych. Ogranym na starcie, jeżeli za start przyjmiemy przełom sprzed ponad trzech dekad. Pozwoliliśmy na merkantylizację relacji międzyludzkich, przyjmując kryterium opłacalności jako nadrzędne. I oto zbieramy robaczywe owoce.

W przypadku sztuki problem ten wydaje się szczególnie jaskrawy, bo wtłaczanie jej w rynkową grę i wnioskowanie w ten sposób o jej wartości (również: wartości dla wspólnoty) prowadzi na manowce. Mógłbym wstawić tu truizm o Van Goghu, który za życia sprzedawał się, hm, nienajlepiej, ale nie chodzi przecież o zbyt późno rozpoznanych geniuszy. Osoby wykonujące zawody okołoartystyczne stanowią szerokie spektrum, a długofalowych skutków ich pracy nie da się określić ad hoc ani zbyć prostym „ale ile naprawdę to jest warte?".

W dyskusji pojawia się też mityczna postać artysty hochsztaplera, który skleił ze sobą trzy sprzęty AGD, przekonał innych, by wyczytali w nich intelektualne przesłanie, i sprzedał je za miliony dolarów. Przypomina mi się odcinek „Świata według Kiepskich" pod tytułem „Kreatura mody", w którym Ferdek stał się gwiazdą haute couture. Tyle że tam było zabawnie („kreacja męża kobiety-węża" – pamiętamy). Tu jest zwyczajnie przykro. I lepiej nie będzie, skoro funkcje życiowe ograniczamy do harowania niemal najciężej w Unii Europejskiej. Na zadanie sobie w sprawie kultury i sztuki pytania „co nam to robi?" (zamiast „a po ile to?") może zwyczajnie zabraknąć czasu.

Przy okazji, Polacy (za którymi się nie nadąży) zapałali miłością do wszystkich niezamożnych, którzy zawodów artystycznych nie uprawiają. Okazuje się, że nie są już oni „darmozjadami żyjącymi z 800+". Sytuacja jest więc dynamiczna, jednak pewne rzeczy niech pozostaną niezmienne. Narzekanie na biadolące osoby rodowiczoidalne jest naszym świętym prawem. Podobnie jak możliwość opłacenia rachunku za prąd i kupienia sobie leków, gdy znikniemy na dobre z rynku.

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl 5357578c79



Obrażony orzeł

Według jednych odebranie prezydentowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego będzie wielkim błędem, według innych wielkim błędem było wcześniejsze danie mu tego orderu. Wygląda na to, że z punktu widzenia Polski fakt, że Zełenski order ma, jest tak samo niekorzystny jak fakt, że zostanie go pozbawiony. Uważam, że w tej sytuacji chyba najlepszym rozwiązaniem jest, żeby Zełenski Order Orła Białego miał, ale żeby prezydent RP, premier i opozycja się z tym nie zgadzali i grozili, że mu go zabiorą, żeby swoim posiadaniem Zełenski go nie obrażał.

Przyznaję: nadanie prezydentowi Ukrainy najważniejszego polskiego orderu było sprytnym posunięciem, bo najpierw trzeba coś dać, żeby potem można było grozić, że się to zabierze. Przypadek Zełenskiego pokazuje, że dawanie i zabieranie Orderu Orła Białego (a także innych orderów) to ważny instrument bieżącej polityki zagranicznej. Prawica stoi na stanowisku, że taka polityka dobrze służy wzmocnieniu powagi i prestiżu Polski na arenie międzynarodowej i że Polska – 20. gospodarka świata i lider obrony wschodniej flanki NATO – musi pokazać swoją siłę, odbierając Ukraińcom wszystko, co z powodu ich niewdzięczności im się nie należy. Jednocześnie moim zdaniem Polska powinna się powstrzymać od przyjmowania od Ukrainy czegokolwiek w prezencie, aby uchronić się przed sytuacją, że zostanie jej to odebrane, albo że nagle wystrzeli w gabinecie jak granatnik, podstępnie podarowany komendantowi głównemu policji.

Padają słuszne postulaty, żeby oprócz orderów odebrać Ukraińcom np. doktoraty honoris causa i inne uzyskane w Polsce stopnie naukowe, a także przekazane w bezinteresownym porywie serca generatory, autobusy, koce, śpiwory, ubrania i środki czystości, za które nie okazali wdzięczności. Być może Polska powinna także wycofać się ze wzniosłych słów poparcia i solidarności pod adresem narodu i władz Ukrainy w celu zastąpienia ich słowami powszechnie wiadomymi i mniej wzniosłymi.

Wśród prawicowych radykałów przeważa opinia, że podszywającym się pod Polaków Ukraińcom, takim jak panowie Szeptycki, Bodnar czy Kowal, należy poodbierać ministerstwa, polskie obywatelstwo i inne nienależne przywileje. Uważam, że posła Kowala dodatkowo trzeba także pozbawić polskobrzmiącego nazwiska, którym próbuje zmylić nas w celu ukrycia przynależności do kierownictwa banderowskiej piątej kolumny. Z kolei członkowie rządu o najbardziej antypolskich nazwiskach powinni zostać skonfrontowani z posłem Kowalskim, który po tych nazwiskach, rysach twarzy i kształcie nosa szybko ustali, kim naprawdę są i od którego pokolenia.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Polmint Leipa passion process technology

eprasa.pl 5357578c79

Osiemnaste Ogrody

„Impreza jest dorosła” – powiedział prezydent Elbląga Michał Missan, otwierając 12 czerwca wraz z redaktorem naczelnym naszego tygodnika Jerzym Baczyńskim 18. już edycję Festiwalu Ogrody POLITYKI. Przy powitaniu red. Baczyński podkreślił inteligencki charakter Festiwalu, co dotyczy zarówno charakterystyki publiczności, jak i oferty imprezy. No i faktu, że Ogrody odbywają się w szacownej **Bibliotece Elbląskiej**, czego nawet nie musiał przypominać jej dyrektor Jacek Nowiński, bo przecież w tym miejscu zawsze jest okazja do spotkania i sensownej rozmowy.

Rzeczywiście, rozmowy z zaproszonymi gośćmi tudzież występy sceniczne dawały szczególną satysfakcję odbiorczą. Zaczęło się od przeprowadzonej przez Juliusza Ćwielucha rozmowy z pisarzem Mikołajem Grynbergiem o jego najnowszej książce „Rok, w którym nie umarłem” – o przeżyciach związanych z zawałem serca. Potem przyszedł czas na debatę poświęconą poprawianiu (upiększaniu) ciała z udziałem: socjologa prof. Tomasza Szlendaka, chirurga plastycznego prof. Jerzego Jankaua i Michała Bonarowskiego, dziennikarza, który opowiadał o swojej walce z otyłością. Natomiast wieczorem odbył się znakomity koncert Mai Kleszcz z jej wersjami piosenek napisanych przez Agnieszkę Osiecką i Bogdana Loebla.



© DOMINIK ŻYŁOWSKI/BIBLIOTEKA ELBLĄSKA

Ważnym wydarzeniem następnego dnia było spotkanie z muzykiem Tomkiem Lipińskim à propos jego dwutomowej, bardzo interesującej autobiografii, po którym Tomek wykonał kilka swoich najbardziej znanych piosenek (m.in. „Nie wierzę politykom”, „Jeszcze będzie przepięknie”, „Szare koszmary”). Potem w spektaklu improwizowanym wystąpił Klub Komediowy z filozofem Tomaszem Stawiszyńskim (odczytywane ze sceny fragmenty jego książki stanowiły kanwę aktorskich improwizacji).

W niedzielę 14 czerwca nasza redakcyjna koleżanka Justyna Sobolewska o książkach na lato rozmawiała z pisarką Sylwią Chutnik i literaturoznawczynią prof. Bernadettą Darską, wieczorem zaś odbył się spektakl muzyczno-teatralny Arkadiusza Jakubika „Romeo i Julia żyją”. Po raz kolejny przekonaliśmy się, że Arek to nie tylko wybitny aktor, ale też doskonały wokalista. (MPĘCZ)

Organizatorami Ogrodów byli Biblioteka Elbląska, tygodnik POLITYKA i Miasto Elbląg.



Zapraszamy do Krakowa

Czy da się opowiadać o zmianach klimatu bez przedstawiania apokalipsy? Czy film może wpłynąć na proekologiczne postawy odbiorców? Czy popkultura jest w ogóle dobrym narzędziem w tego typu dyskusjach? O tym m.in. będziemy rozmawiać podczas kolejnego spotkania z cyklu „Podróż po wiedzę” we **wtorek 30 czerwca o godz. 18 w Nowohuckim Centrum Kultury w Krakowie** (Al. Jana Pawła II 232). Gośćmi pulsara będą: Ewa Ewart, dziennikarka i dokumentalistka, prof. Szymon Malinowski, fizyk atmosfery z Uniwersytetu Warszawskiego, oraz dr Jagoda Mytych, medioznawczyni z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Spotkanie poprowadzi dziennikarka POLITYKI i pulsara Katarzyna Czarnecka.

Sponsorem cyklu spotkań jest ENEA.

Srebro dla Bondarowicza

Miło nam poinformować, że współpracujący z POLITYKĄ rysownik i ilustrator Marcin Bondarowicz został kolejny raz wyróżniony – tym razem podczas międzynarodowego festiwalu rysunku satyrycznego „Red Man” International Humour Art Biennial w Pekinie. Marcin został jednym z laureatów srebrnego medalu za dwie prace w temacie: Człowiek pierwotny.

W sprawie fiksy

Po tekście „Fiksa na wiksę” (POLITYKA 17) dostaliśmy list od pani Elżbiety Katarzyny Chmiel z Warszawy. Nasza stała czytelniczka (jak sama podkreśla, od pierwszego numeru!) wytknęła nam zignorowanie innych źródeł słowa „fiksa”:

„Proszę zajrzeć choćby do »Słówek« Boya: » (…) Raz ją poznał jeden malarz,/ Który często pijał alasz./ Jak ją zobaczył na fiksie,/ Zaraz w niej zakochał w mig się (…)«. I do Władysława Kopalińskiego „Słownika wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych” (Warszawa 1999): (s. 243) jour fixe (fr.) – żurfix (przest.) – stały dzień (przyjęć towarzyskich [dosł. Dzień ustalony]), potocznie: fiks, na fiksie.

A więc słowo znane już od końca XIX w. (choć dziś nieużywane) i niemające nic wspólnego z fikaniem”.

Pani Elżbiecie dziękujemy za zwrócenie uwagi, a przede wszystkim za to, że przez te wszystkie lata jest z nami!

REDAKCJA

eprasa.pl 5357578c79



I cóż, że ze Stanów

To nie pierwsza torba, która stała się symbolem. Jednak ta najnowsza it-bag ma logo amerykańskiego sklepu spożywczego Trader Joe's i kosztuje zaledwie 3 dolary.

TREND

Torby Trader Joe's nie da się kupić poza siecią 600 sklepów spożywczych Trader Joe's w USA. Ale od czego są platformy odsprzedażowe. Po internecie krążą screeny z aukcji na eBayu, na których ktoś wystawił egzemplarz za kilka tysięcy euro. Na Vinted torbę można kupić za kilkadziesiąt do kilkuset złotych, w zależności od tego, czy to model z serii limitowanej, czy tradycyjna „tote bag". Cały czas mowa o pojemnej i wytrzymałej – lekko trapezowatej w kształcie i z długimi uszami do noszenia na ramieniu – torbie na... zakupy z supermarketu. „Bloomberg", „Forbes" i „Wall Street Journal" zgodnie piszą o niej jako o jednym z najgorętszych towarów eksportowych Ameryki. Publicysta „Guardiana" zaś z brytyjskim sakrazmem – jako o ostańcu gasnącej amerykańskiej soft power.

Skąd ten fenomen? Po raz kolejny mistrzowsko wykorzystano to, co zwykle skutecznie działa na konsumentów, czyli regułę niedostępności. Ale tym razem połączono ją z ekstremalnie niską ceną. Do tego klasyczne metody: wypuszczanie limitowanych serii i „dropów", tworzenie aury przedmiotu pożądanego – tak kreuje się wyznaczniki statusu. Chodzi o poczucie bycia wtajemniczonym i przynależność do elitarnego grona. Jedni snobują się na intelektualistę i człowieka obytego, idąc do piekarni z płócienną torbą z logo „New Yorkera". Inni – na znawcę wiralowych trendów, nosząc reklamową torbę supermarketu TJ's.



Grażyna Morek – dziennikarka prasowa i radiowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl", teraz w Radiu 357. Zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

Tą torbą można powiedzieć, że byłeś w Stanach, nie mówiąc, że byłeś w Stanach. Albo udawać, że byłeś (o ile nie uważasz, że na razie latać tam nie wypada). „Siatka za 2,99 niesie więcej kapitału kulturowego niż torba za 4 tysiące" – przekonuje Kian Bakhtiari, dziennikarz piszący o marketingu i społeczeństwie w „Forbes". I zalicza torbę Trader Joe's do przykładów „little treat economy". Wyjaśnia to tak: moda na nią to kpina z ostentacyjnego bogactwa; przeciętnej zetki nie stać na kupno domu, mieszkania, samochodu ani luksusowych ubrań czy dodatków, więc kupi sobie chociaż szminkę Diora. Albo torbę, którą nagle wszyscy chcą mieć, „bo tak".

Dlaczego akurat Trader Joe's, a nie inne amerykańskie sieci, jak Costco, Walmart czy Target? Nie wiadomo. Torba TJ's niczym się nie wyróżnia – w klasycznej wersji jest biała ze spodem i uszami w kolorach granatowym, czerwonym lub ciemnozielonym. Ta z limitowanych serii może być w kolorze cukierkowego różu, błękitu, szałwii albo w liliowym odcieniu. Jej projektant celował z dizajnem między *college* a *preppy*, styl studentów elitarnych amerykańskich uczelni (z tzw. Ivy League), oraz *american casual*, kojarzący się z tamtejszą klasą średnią z wybrzeża i markami takimi jak Tommy Hilfiger albo Ralph Lauren. Niektórzy wręcz twierdzą, że torba wygląda jak tania podróbka tej kultowej (i dziesięć razy droższej) płóciennej Boat and Tote marki L.L. Bean.

Tymczasem przedstawiciele Trader Joe's podkreślają, że firma nie miała ambicji, aby wypuścić jakościowy ani tym bardziej kultowy produkt. To miała być tylko jedna z siatek na zakupy z logo (inny model, z cienkiej bawełny, ma byle jak nadrukowany rysunek puszki sardynek, na kolejnym widnieje kawałek żółtego sera).

Niedawno „Financial Times" ogłosił, że amerykańskie marki nie są już cool i powołał się na statystyki: dwie trzecie Niemców deklarowało w zeszłym roku, że nie zamierza kupować amerykańskich produktów; podobny bojkot zapowiedziało 70 proc. Włochów, Szwajcarów i Austriaków, a na początku tego roku – 83 proc. ankietowanych Szwedów przyznało, że nie kupuje już niczego, co pochodzi z Ameryki. Do tego w ub.r. USA odwiedziło 11 mln mniej zagranicznych turystów niż wcześniej, a wpływy z turystyki spadły o jedną piątą.

Czy jednak wieści o upadku brandów „made in America" nie wydają się przesadzone? „Financial Times" podaje też dane na temat eksportu amerykańskich whiskey i bourbonu – spadek o ok. 17 proc. w ciągu roku. Z drugiej strony wystarczy zapytać pierwszego lepszego nastolatka, czy kojarzy ciuchy marki Supreme. Tymczasem Trader Joe's wypuścił kolejną limitowaną kolekcję swoich toreb, tym razem w rozmiarze mikro. Będzie kolejny wiral? ■

© NICK LACHANCE/TORUNTO STAR/GETTY IMAGES, LESZEK ZYCH, AN, FACEBOOK.COM/KONFEDERACJA 2019

eprasa.pl 5357578c79

Chwalińskiej chwila chwały

WIRAL



Maja Chwalińska podbiła Paryż i social media. Jeszcze kilka tygodni temu śledziło ją na Instagramie 25 tys. osób – dziś to już półmilionowa społeczność. Mirra Andriejewa, jej rywalka w finale Rolanda Garrosa, takiego skoku popularności nie zaliczyła (choć zgromadziła 690 tys. fanów). Iga Świątek ma 2,3 mln obserwatorów.

Jak mawiają komentatorzy sportowi: „najniespodziewaniej w świecie" to mniej utytułowana Polka okazała się sensacją tegorocznej edycji French Open. Niespodzianki zdarzają się rzecz jasna na każdym turnieju, ale Maja skradła serca kibiców rzadko już spotykanym kombinacyjnym stylem gry i temperamentem (pisaliśmy o tym w poprzedniej POLITYCE). Dlatego jej paryski wyczyn to jeden wielki wiral ostatnich tygodni. Jak podaje Instytut Monitorowania Mediów, przeciętny Polak podczas trwania turnieju usłyszał o Mai 55 razy, w social mediach ukazało się 139,5 tys. wzmianek na jej temat, a media (prasa, telewizja, radio, portale internetowe) opublikowały 32 tys. materiałów. Ale zejdźmy na ziemię – wieści o makaronie z truskawkami, ulubionej potrawie Igi Świątek, poniosły się przed rokiem szerzej, dotarły do 25 mln internautów za granicą. (Swoją drogą, Amerykanie odkryli właśnie kompot z owoców; to jeden z aktualnych tiktokowych trendów).

Jeśli Chwalińska na czas turnieju wylogowała się z social mediów, to po powrocie do kraju musiała być oszołomiona, witana przez tłumy na lotnisku. W trakcie rozgrywek przyznała, że ubiera się na mecze w takie stroje, na jakie ją stać, dziś „Vogue" donosi, że kreuje trendy. Legendarny Andre Agassi wrzucił do sieci ich wspólne zdjęcie (popularny fanpage „Z kortu" pyta: „Dlaczego to nie może być para prezydencka?"), a eksperci wciąż próbują ustalić, co konkretnie w tej w Polsce robimy, że tak dobrze gramy w tenisa. Odpowiedzi są memiczne: wszyscy kiedyś trzepaliśmy dywany. Rosyjskie rywalki Mai rozkładają na to ręce i boleją: „Ja nie pani maju".

Przez lata w polskiej memosferze to Igę Świątek zestawiano z Robertem Lewandowskim: kiedy niepozorna „gówniara z paletką" odnosiła sukcesy, nasz najlepszy napastnik łykał gorycz porażki po kolejnych występach reprezentacji. Dziś **Lewy ma podwójny ból głowy**, a Iga zeszła chwilowo na drugi plan. Takie memy to w Polsce najwyższa forma uznania.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Kto breją wojuje...

SŁOWO

Konfederacja wygenerowała minutowy filmik. **Animację w stylu „Toy Story"** o tym, jak minister kultury z premierem rządu, pod flagą unijną i niemieckim godłem, wykradają pieniądze zwykłym ludziom pracy, by oddać je tęczowym artystom, których nikt nie lubi. Był to oczywiście dowód pewnej konsekwencji: kampanię na rzecz niepomagania biedującym artystom prawicowa partia zrealizowała, nie zatrudniając żadnego artysty. Co doczekało się komentarza, bo dziś nawet sami artyści, także ci lubiani, jak Olga Tokarczuk czy Dawid Podsiadło, trafiają szybko pod pręgierz za użycie AI. „Zatrudnijcie grafika, a nie produkujecie obs...any ai goyslop" – krytykował jeden z komentatorów na platformie X. Na co inna internautka: „Goyslop młodzieżowe słowo roku, zapiszcie to".

Zapisałem, owszem – bo to słowo nie pada pierwszy raz. Całkiem niedawno hasłem „plastikowy goyslop" opisano Minas Tirith z klocków sprzedawaną za 650 dol. Podobnie opisano dosładzany napój udający piwo, jak ktoś ujął: „alkoholową wersję parówek".

Angielskie słowo *goyslop* ma bowiem rodowód złożony jak ta parówka. Od lat oznacza bowiem produkt żywieniowy – zwykle wysoko przetworzony i niezdrowy – mający status papki, którą elita karmi masy, żeby się wzbogacić. *Slop* oznacza tu właśnie papkę, breję – jak przy popularnym haśle *AI slop*.



Z czasem poza żywnością mianem goyslopu określano także popularne franczyzy kulturalne, które w opinii mas schodzą na psy – jak „Gwiezdne wojny" – albo tanie produkcje platform streamingowych i niskiej jakości, ale masowo promowaną muzykę. Skąd w takim razie cząstka „goy"? Od goja, czyli nie-Żyda, określenia używanego od wieków przez Żydów, neutralnego lub lekceważącego, w zależności od kontekstu. W tym kontekście niestety wpisującego się w traktowane z mniejszym lub większym dystansem (słowo *goyslop* przywędrowało z memów na popularnym 4chanie) amerykańskie teorie o spisku elit, z powracającym tropem elit żydowskich. W tym językowym paradoksie historii polska skrajna prawica sama oberwała więc hasłem o antysemickim rodowodzie.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Nie zabrała mnie kariera, a i tak ciągle zbieram punkty.
Śmieszna scena: ja, bez pucy, nie szukam w raperach kumpli.
Vkie, Nie na próżno, 2026 r.
puca – chwalenie się, blaga

eprasa.pl 5357578c79



Zamiast planować jeden wielki urlop, z którego wrócimy jeszcze bardziej zmęczeni, niż byliśmy przed wyjazdem, lepiej postawić na krótkie wyprawy. Na przykład na Spisz.

14 wsi, 7 kultur



Aleksandra Wojtaszek – bałkanistka, dziennikarka, tłumaczka, doktor literaturoznawstwa. Autorka monografii naukowej „Topografie przestrzeni wyobrażonych. Serbska i chorwacka fantastyka gatunkowa" oraz zbioru reportaży „Fjaka. Sezon na Chorwację" (Czarne 2023).

Według oficjalnych danych pracujemy tygodniowo niemal o trzy godziny dłużej niż europejska średnia. Zupełnie niestereotypowo wyprzedzają nas Serbowie, Chorwaci i Grecy, podczas gdy najwięcej czasu poza pracą spędzają Holendrzy, Niemcy i Duńczycy. Statystyka pokazuje, że zapał do pracy nie jest kwestią mentalności, ale bytu, który określa świadomość, i walki o niego, czyli tzw. dorobku. Jako remedium na zabieganie coraz częściej się poleca, aby zamiast na jeden wielki urlop – z którego zazwyczaj wracamy bardziej zmęczeni, niż byliśmy przed wyjazdem – udawać się na krótkie wyprawy.

I dlatego rekomenduję wizytę w pewnej uroczej, ale słabo znanej części Polski, na jej południowych obrzeżach. Kiedy odpowiadam na pytanie, skąd pochodzę, reakcje są dwojakie. Zwykle to pełne zakłopotania spojrzenie: „Czy może przespałem tę lekcję z geografii?". Uspokajam wtedy, że przecież nie ma obowiązku wiedzieć, gdzie leży Spisz. To maleńki region: po polskiej stronie obejmuje zaledwie 14 wsi, jego pozostała część leży zaś na Słowacji. Czasem jednak trafiam na kogoś, kto Spisz już odwiedził, i wtedy zazwyczaj zachwytom nie ma końca.

Choć niezwykle malowniczy, położony jest w cieniu znacznie słynniejszego Podhala. Nie zaznał jego sławy, ale dzięki temu uniknął także większości bolączek: przede wszystkim nadmiaru turystów oraz niszczenia krajobrazu niekontrolowanym rozrostem infrastruktury i wszechobecnymi reklamami (na początku czerwca Zakopane przyjęło wreszcie ustawę krajobrazową). Zamek w Niedzicy oraz znajdujący się nad Jeziorem Czorsztyńskim fragment trasy rowerowej Velo Dunajec przyciągają coraz więcej odwiedzających, różnica jest jednak widoczna gołym okiem. A moja ulga po powrocie z Podhala na Spisz – niewymierna, choć może przemawia przeze mnie lokalny patriotyzm tudzież zawiść wobec sąsiadów, że umieli swoją kulturę lepiej wypromować i w efekcie utrwalili wizerunek jedynego słusznego polskiego górala.

Ze Spiszem sprawa nie jest taka prosta, nawet w kontekście polskości: historycznie była to kraina aż siedmiu kultur. Dziedzictwo tego regionu przez wieki tworzyli nie tylko Polacy i Słowacy, ale także Węgrzy, Niemcy, Rusini, Żydzi i Romowie; widoczne są tu też ślady obecności wołoskiej. Przez większość swojej historii Spisz stanowił część Węgier, natomiast po rozpadzie czarno-żółtej monarchii razem z Orawą i Śląskiem Cieszyńskim stał się przedmiotem sporu Polski i Czechosłowacji. Kryterium miało być etniczne, ale na pograniczach to nie takie oczywiste (jeszcze mój dziadek, choć w sumie uważał się za Polaka, na Gorce mówił „polskie góry"). Ludność była przede wszystkim tutejsza i po obu stronach dzisiejszej granicy posługiwała się podobnym dialektem, aż w XX w. przyszli budziciele świadomości narodowej i kazali się biednym chłopom określać.

Wśród miłośników historii Spisz znany jest z innego i niezbyt chlubnego faktu. To region, w którym najdłużej na ziemiach polskich utrzymała się pewna forma pańszczyzny nazywana zelarką – polski sejm musiał znieść ją specjalną ustawą, i to dopiero w 1931 r. Fascynujących historii jest tu mnóstwo, a każda wieś posiada swoje unikatowe zabytki, stroje czy przyśpiewki. Przykładowo we Frydmanie zachowała się częściowo wrzecionowata struktura rynku, zwiedzać można XIX-wieczne piwnice winne, które aż proszą się, by zorganizować w nich festiwal rave. Z kolei w gotyckim kościele parafialnym znajduje się niezwykła ośmiokątna kaplica z centralnym ołtarzem i sklepieniem niebieskim. Miłośnicy przyrody z pewnością docenią widok z **Łapszanki**, a także Przełom Białki w Nowej Białej – w tutejszej Jaskini Obłazowej odnaleziono nie tylko kości nosorożca włochatego, ale też najstarszy bumerang na świecie.

To tylko początek wyliczanki, a przecież pozostaje nam jeszcze 95 proc. Spisza, które znajduje się po słowackiej stronie... Tam wybierzemy się następnym razem. Kiedy tylko odzyskamy te kilka godzin odpoczynku dzielące nas od Niemców i Skandynawów. ■

© RAFAŁ KANISZEWSKI/AMAZING AERIAL/FORUM, ALICJA ROKICKA, ARCHIWUM PRYWATNE (2)

eprasa.pl 5357578c79



Aksamitna zupa krem z ziemniaków dzięki aromatycznym, zielonym akcentom staje się symbolem prostoty i świeżości.

KUCHNIA

Moc ziół

Jeszcze kilka lat temu świeże zioła kojarzyły się głównie z dodatkiem do dań albo ozdobą na talerzu. Dziś coraz częściej to one grają główną rolę w kuchni. Bazylia stała się symbolem prostych, letnich smaków, rukola dodaje charakteru sałatkom i makaronom, a mięta czy kolendra potrafią całkowicie odmienić nawet przeciętne danie. Popularnością cieszą się zioła w doniczkach. Uprawiamy je na parapetach i balkonach, bo nic nie smakuje tak dobrze, jak świeżo zerwane liście dodane do obiadu chwilę przed podaniem. Zioła są wyjątkowe nie tylko ze względu na smak i aromat, lecz również właściwości. Bazylia działa przeciwzapalnie i wspiera trawienie, rukola zawiera mnóstwo witamin oraz antyoksydantów, a natka pietruszki i koper pomagają podnieść poziom żelaza, są pełne witaminy C i minerałów.

Z ziół najczęściej przygotowuje się pesto: klasycznie – bazyliowe, ale takie samo zastosowanie mają rukola, natka pietruszki czy liście rzodkiewki. Wystarczy dodać do nich oliwę i orzechy, zblendować, a później w takiej formie można pesto zamrozić lub przechowywać w słoiku w lodówce.



Alicja Rokicka
– autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, miłośniczka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Zupa krem z ziemniaków i ziół doskonale wpisuje się późnowiosenny klimat. Delikatna, aksamitna, a jednocześnie wyrazista dzięki aromatycznym zielonym akcentom, jest symbolem prostoty i świeżości. To danie, które przypomina, że czasem niewielki dodatek potrafi całkowicie odmienić codzienny posiłek. Obecność ciecierzycy w zupie sprawia zaś, że danie jest pełnowartościowe, bo zawiera białko. Jednak zamiast dodawać ciecierzycę do zupy i blendować ją z resztą składników, można przygotować z niej chrupiące niby grzanki. Zupę krem najczęściej podaje się z grzankami z pieczywa lub kromką chleba, ewentualnie z groszkiem ptysiowym. Alternatywa w postaci upieczonych strączków bije je jednak na głowę. Zamiast ciecierzycy można sięgnąć po fasolę, a nawet drobną soczewicę (tylko wówczas trzeba ją piec zdecydowanie krócej). By strączki były wyjątkowe w smaku i naprawdę chrupiące, oprócz przypraw dodaję do nich łyżkę mąki pszennej, która tworzy chrupiącą osłonkę.

Co jednak, jeśli nie mamy świeżej bazylii? Zupa wyjdzie też wspaniała z dodatkiem każdych liści! Do garnka można wrzucić rukolę, koperek, a nawet świeże liście rzodkiewki. ■

Składniki:

- 5 średnich ziemniaków
- 1 cebula
- garść świeżych liści bazylii
- garść rukoli
- 1 litr bulionu warzywnego
- sól
- pieprz
- gałka muszkatołowa
- oliwa
- 300 g ugotowanej ciecierzycy
- 1 łyżka mąki pszennej
- 1 łyżeczka słodkiej papryki
- 1/2 łyżeczki ostrej papryki
- sól
- sok z 1/3 cytryny

Wykonanie:

- Cebulę posiekaj w plastry. Ziemniaki obierz i pokrój w kostkę. W garnku rozgrzej 3 łyżki oliwy. Zacznij smażyć cebulę. Kiedy zmięknie (nie musi być rumiana), dodaj ziemniaki i przemieszaj. Duś przez 30 sek. Zalej bulionem i doprowadź do wrzenia. Gotuj ok. 20 min, aż ziemniaki zmiękną. Wrzuć wybrane zioła i liście; niech gotują się około minuty. Zostaw zupę do wystygnięcia. Nie blenduj gorących ziemniaków, bo to sprawi, że wyjdzie bardzo gęsty skrobiowy klej – zrób to dopiero po ich wystygnięciu.
- Po zblendowaniu dopraw zupę solą, pieprzem i gałką muszkatołową. Jeśli jest za gęsta, dodaj więcej bulionu.
- Jeśli używasz ciecierzycy z puszki, odsącz ją z wody i osusz na ręczniku. Wsyp ciecierzycę do miski. Dodaj 3 łyżki oliwy, mąkę, słodką i ostrą paprykę, trochę soli oraz sok z połowy cytryny. Wymieszaj. Na blaszce do pieczenia rozłóż arkusz papieru do pieczenia. Rozsyp ciecierzycę. Zapiekaj w 200 st. przez ok. 25 min (po 15 min przemieszaj). Ciecierzyca powinna się zarumienić i zrobić chrupiąca.
- Zupę podawaj z pieczoną ciecierzycą. Smacznego.

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Na skrwawionych ziemiach



Na marginesie sporu o UPA i orderu dla Wołodymyra Zełenskiego w Polsce znów narastają antyukraińskie emocje. „Jakie stanowisko powinni zająć ludzie racjonalnie myślący?", pyta na polityka.pl Marek Ostrowski.

To prawda, że żyjemy na „skrwawionych ziemiach". To sformułowanie Timothy'ego Snydera, który radził przed laty pamiętać o ofiarach, ale nie dziedziczyć winy. Więcej podpowiedzi w naszym tekście.



W dawnych czasach zaproszenie na urodziny prezydenta USA byłoby zaszczytem, ale gdy najwyższy urząd piastuje Donald Trump, który urządza w Białym Domu pokaz walk MMA, sytuacja nie jest tak jednoznaczna. **„Inwestycja w relacje z Trumpem to polityczny hazard", pisze na polityka.pl Michał Danielewski.** Nawrockiemu zamiłowanie do boksu i nieprzewidywalnego lidera Ameryki może się zupełnie nie opłacić.

Jak zginęło miasto



W podkaście „Polityka o historii" kontynuujemy rozmowy z laureatami i laureatkami naszych Nagród Historycznych. W najnowszym odcinku gości Karolina Panz, autorka książki „Chciałabym opowiedzieć jak zginęło miasto. Zagłada żydowskich mieszkańców Nowego Targu", rozpoczynającej się od anegdoty o Leninie. W rozmowie wyjaśniamy, dlaczego ta publikacja była i jest wydarzeniem nie tylko na Podhalu.

Jak namierzyć hejtera



Nie jesteśmy w sieci tacy anonimowi, jak nam się wydaje. W „Podkaście psychologicznym" rozmawiamy o tym z Janiną Bąk, influencerką i popularyzatorką nauki. Nawet jeśli posługujemy się w internecie fałszywym nazwiskiem, da się nas na różne sposoby namierzyć. To nie instruktaż namierzania hejtera, ale garść przydatnych informacji, ostrzeżeń i porad na przykładach: niebanalnych i z życia wziętych.

Jak nas zmienia rower



„Rower był gender, zanim było gender", twierdzi Juliusz Ćwieluch, gospodarz podkastu „Rowery, nie bajki". W nowym odcinku zaglądamy do historii wynalazku jednośladu wspólnie z Piotrem Kubkowskim (historyk kultury) i Przemkiem Żebrowskim (właściciel manufaktury rowerowej Antymateria). Jak rowery wyjechały ze wsi i dlaczego dały się w miastach wyprzeć samochodom – to wszystko w naszej rozmowie.

© POLITYKA, GETTY IMAGES, LESZEK ZYCH (3)

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 5357578c79

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 5357578c79

STRABAG
WORK ON PROGRESS

BUDUJEMY KLIMAT KULTURY

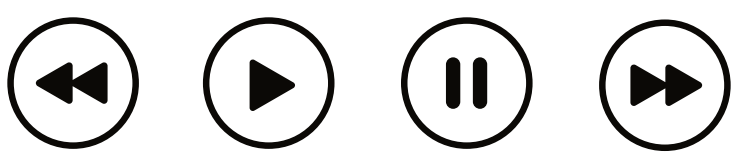

Mecenas
instytucji kultury i wydarzeń artystycznych
w Polsce

eprasa.pl 5357578c79